

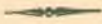
TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWEJ

Tom XXVIII.

Meir Ezofowicz.



WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1898

ELIZA PRZESZKOWA.

MEIR EZOFOWICZ.

POWIEŚĆ

w dwóch tomach

Tom pierwszy.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Swiat Nr. 41.

1898.

Wszystkim ziomkom moim,
z dobrą wiarą i wolą pragnącym
światła i pokoju, bez względu na
to, gdzie i jak oddają oni cześć
Bogu, — powieść tę poświęcam.

Autorka.

WSTĘP.

U szczytów cywilizacyi zbiegają się i zgodnie łączą z sobą różnorodne gałęzie wielkiego drzewa Ludzkości. Oświata najlepszym jest apostołem powszechnego braterstwa. Wygładza ona chropowatości zewnętrzne i ścina wewnętrzne wybujałości; dozwala przyrodzonym cechom plemion różnych rozwijać się obok siebie we wzajemnem poszanowaniu; same nawet religijne wierzenia oczyszcza z narośli, wytworzonych przez zmienne czasy, a sprowadzając je do najprostszego ich wyrazu, sprawia, iż spotykają się one z sobą bez wstrętów i szkód.

Inaczéj dzieje się w głębokościach, w społecznych dolinach, nad któremi nie świeci słońce wiedzy. Tam ludzie są jeszcze dziś takimi, jakimi byli w odległych

stuleciach. Czas, kopiąc mogiły przodkom ich, nie zagrzebał wraz z nimi form i treści, które, wciąż odradzając się, tworzą pośród zdumionych społeczeństw niepojęte już anachronizmy. Tam istnieją odrębności, ostremi kantami odpychające wszystko, co nie jest niemi; czołgają się nędze fizyczne i moralne, z imienia nawet nieznane tym, którzy stanęli u szczytów. Tam są zbiorowiska ciemnych postaci, odskakujące od jasnego tła reszty świata, w mętnych zarysach Sfinksów, strzegących grobów, i szeroko rozkładają się skamieniałości wiar, uczuć i obyczajów, istnieniem swém zdające się świadczyć o tém, że geniusze wielu stuleci jednocześnie nad światem panować mogą.

Patrycyat i plebs, przeistaczając z upływem czasu naturę swą i racją swego bytu, zamieniły dziś dawne swe role. Pierwszy stał się obrońcą i krzewicielem równości, drugi uparcie trwa przy wyróżnieniach i odrębnościach; i jeżeli niegdyś przemoc i ucisk przybywały od tych, którzy stali wysoko, ku tym, którzy w prochu i pokorze roili się na głębokościach, teraz z głębokości podnoszą się niezdrowe wyziewy te i ciężkie kamienie obrazy, które zatruwają życie i utrudniają drogi wybrańcom cywilizacji.

Nieszcześnie i unieszczęśliwiające doliny takie, otoczone i od reszty świata oddzielone grubym łańcuchem gór z mgieł i ciemności, istnieją w społeczeństwie izraelskiem również jak i w innych, a nawet

jest ich tam nierównie więcej niż w innych. Nazbyt przedłużające istnienie ich wynikiem jest wielu przyczyn dziejowych i cech plemiennych. Dziś są one zjawiskami wabiącemi ku sobie wzrok myśliciela i artysty niezmiernym wpływem, który wywierają dokoła, i niepospolitością kolorytu swego, na który składają się mroki tajemnicze i przerynające je jaskrawe ognie. A jednak — któż bada je i zna? Ci nawet, których jedność krwi i tradycyi pociągnąć-by powinna ku miejscom tym, zagubionym w ciemnościach, nie posyłają ku nim malarzy ni apostołów, nie zawsze nawet wierzyć chcą w ich istnienie.

Jakże, na przykład, zdziwionem byłoby towarzystwo izraelskie, zgromadzone w największem z miast krajowych, złożone z mężczyzn wykształconych, uczonych, oddających się zawodom stojącym na czele umysłowości ludzkiej, i kobiet, które we wdzięku, wykwinności, dowcipie nie ustępują częstokroć najwydatniejszym postaciom kobiecym innych społeczeństw—jakże zdziwionem byłoby towarzystwo to, ubrane w czarne fraki i jedwabne suknie, gdyby ktokolwiek opowiadać mu zaczął nagle o tem: co to jest Szybow i co się dzieje w Szybowie!

Szybów? Na jakiej planecie znajduje się miejsce to? a jeżeli na naszej, jaka je zamieszkuje ludność? z białych, czarnych, czy brunatnych ludzi złożona?

Otóż, czytelnicy, podejmuję się zaznajomić Was z tą głęboką, bardzo głęboką doliną społeczną, która

nosi tylko co wymienioną nazwę. Niedawno odegrał się w niej dramat ciekawy, godny życzliwego spojrzenia waszego, silnego uderzenia serca i długiej, smętnej chwili zadumy. Że jednak, dla pełnego uwydatnienia faktów i postaci, należy ukazać je na tle, wśród którego powstały one i rozwinęły się, i w którego głębokich perspektywach mieszczą się żywioły będące przyczyną ich bytu—pozwólcie, abym przed odsłonięciem zasłony, ukrywającej pierwsze sceny dramatu, opowiedziała wam, w krótkich rysach zawartą, *historią małego miasteczka*.

*

*

*

Daleko, daleko od tej gałęzi kolei żelaznych, która przerzyna Białoruskie strony, daleko nawet od przebiegającej je splawniej rzeki Dźwiny, w jednym z najustronniejszych zakątów, jakie dotąd jeszcze istnieć mogą w Europie, pośród gładkich, cichych, rozległych równin, na zbiegu dwóch szerokich, piaszczystych dróg, które, wywijając się z pod skłonów bladego nieba, znikają w głębiach czarnego lasu, szarzeje gromada kilkuset domostw mniejszych i większych, tak ściśle zbliżonych ku sobie, że, patrząc na nie, możnaby rzec, iż były one kiedyś w wielkiej jakiejś trwodze, i zbiegły się raz, aby w skupionej gromadce móżd łatwiej zamieniać się szeptami i łzami.

Jest to Szybów, miasteczko zamieszkiwane przez ludność izraelską, wyłącznie jeszcze niż wiele innych miejsc podobnych, całkiem prawie wyłącznie, bo tylko z wyjątkiem jednej uliczki, znajdującej się na samym skraju miasteczka, przy której w kilku chatkach i dworach mieszka kilkudziesięciu bardzo ubogich mieszczan i bardzo cichych, starych emerytów.

Jedyna też to jest uliczka, wśród której panuje cisza i w lecie kwitną skromne kwiaty. Gdzieindziej niema kwiatów, ale panuje wielki i nieustanny gwar. Gwarzą tam ludzie i ruszają się tam nieustannie, zapobiegliwie, namiętnie we wnętrzach domostw i na ciasnych, błotnistych przejściach, noszących nazwę ulic, i na okrągłym, dość obszernym rynku, pośrodku miasteczka umieszczonym, dokoła którego otwierają się niskie drzwiczki cuchnących kramików, na którym po całotygodniowych targach, sprowadzających okoliczną ludność, pozostaje niezmierna i nieprzebrana ilość błota i śmieci, nad którym, наконец, panuje wysoki, ciemny, dziwnego kształtu dom modlitwy.

Budowa ta jest jednym z rzadkich już dziś okazów starej architektury izraelskiej. Malarz i archeolog mogą zatrzymywać na niej wzrok swój z jednakową ciekawością. Od pierwszego zaraz rzutu oka poznać można, że jest to świątynia, jakkolwiek pozór jej czyni ją niepodobną do wszelkich innych świątyń. Cztery jej grube, wysokie, ciężkie ściany zarysowują monotonne linie ogromnego czworokąta i mają ciemno-

brunatną barwę, przyoblekającą je piętnem powagi, starości i smutku. Stare téż to są, odwieczne ściany niezawodnie, bo podłużnemi pasy porasta je tu i owdzie zielonawy mech. U góry, wysoko, przerzyna je szereg długich, wązkich, głęboko osadzonych okien, przypominających kształtem swym strzelnice warownych murów; powyżej zaś całą budowę okrywa dach, którego trzy ciężkie, jedno na drugie spadające piętra podobnemi wydają się do trzech brunatnych, omszonych, olbrzymich grzybów.

Wszystko, co tylko pokaźniejszy posiada pozór do ogólnego użytku służy, skupiło się tu i chroni pod osłonę brunatnych ścian świątyni i grzybiastego jej dachu. Tu, dokoła obszernych dziedzińców, stoją przyszkółki, hedery, miejsca zgromadzeń zwierzchności kahalnej; tu przysiadł niziuchny, czarny domek o dwóch okienkach, istna lepianka, którą od kilku już wieków i wielu pokoleń zamieszkują Rabbini, ze słynnej w gminie i daleko po za gminą rodziny Todrosów pochodzący; tu, наконец, panuje zawsze czystość wzorowa, a choć gdzieindziej, w jesienniej szczególniej i wiosennej porze, ludzie topią się niemal w błocie i zagrzebują w śmieciach, podwórze szkolne okrywają zawsze suche i białe kamienie; żdźbła słomy nawet trudno-by na nich dopatrzeć, bo jeśli znajdzie się jakie, wnet je podnosi ręka przechodnia, dbałego o piękność miejsc ścielących się do stóp świątyni.

Jakie znaczenie Szybów posiada dla ludności izraelskiej, zamieszkałej w stronach Białoruskich, a nawet dalej jeszcze, na szerokich przestrzeniach Litwy, wniesć można z kłopotliwego dość wydarzenia, które spotkało pewnego, bardziej wesołego niż mądrego szlachcica w rozmowie z pewnym żydkim faktorem, bardziej jednak dowcipnym niż pokornym.

Żydek faktor stał u drzwi gabinetu pańskiego, pochylony nieco ku pańskiemu obliczu, uśmiechniony, gotów zawsze do sprężystego poskoku, w celu usłużenia panu, i dowcipnego słówka, w celu obudzenia dobrego jego humoru.

Pan był w dobrym humorze i żartował z żydka.

— Chaimku — mówił — czy byłeś w Krakowie?

— Nie byłem, Jaśnie Panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek uklonił się.

— Chaimku, czy byłeś ty w Rzymie?

— Nie byłem, Jaśnie Panie!

— Toś ty, Chaimku, bardzo niemądry!

Chaimek uklonił się powtórnie, ale zarazem o dwa kroki bliżej do pana przystąpił. Na ustach zaigrał mu jeden z tych uśmiechów, właściwych ludziom jego plemienia, sprytnych, przebiegłych, o których powiedzieć na pewno nie można: czy się maluje w nich pokora, czy też tajemny tryumf, — pochlebstwo, czy szyderstwo?

— Przepraszam Jasnego Pana—rzekł z cicha — czy Jasny Pan był w Szybowie?

Szybów odległym był od miejsca, na którem toczyła się rozmowa, o jakich mil dwadzieścia. Szlachcic odpowiedział:

— Nie byłem.

— A co to teraz będzie?—ciszej jeszcze szepnął Chaimek.

Podanie zamilcza o tém, co na kłopotliwe zapytanie to odpowiedział wesóły szlachcic; ale z posłuszenia się Szybowem, jako argumentem odpierającym ubliżające twierdzenia, a raczej wywzajemniającym się za nie, wniesć można, iż dla Chaimek Szybów był tém, czém dla szlachcica były Kraków i Rzym, więc miejscem skupiającém w sobie i przedstawiającém cywilne i religijne powagi.

Gdyby ktokolwiek zapytał był podówczas żydka faktora: dla czego tak wysokie znaczenie przywiązuje do miésciny małej, zapadłej wśród głuchych równin? — wymieniłby prawdopodobnie dwa tylko nazwiska, będące nazwiskami dwóch tylko rodów, od wieków w Szybowie zamieszkałych: Ezofowiczów i Todrosów. Pomiędzy dwoma rodami temi taka zachodziła różnica i taki wytworzył się podział, że Ezofowiczowie przedstawiali do wysokiego stopnia spotęgowany żywioł świeckich świetności, jako to: licznego rozrodzenia się i zestosunkowania, bogactwa i bystrzej zręczności w robieniu interesów i powiększaniu ma-

jątku; Todrosowie zaś przedstawicielami byli żywiołu duchowego: pobożności, religijnej uczoności, surowej, aż do ascetyzmu, czystości życia...

Być może nawet, iż Chaimek, zapytany o przyczynę znaczenia przywiązywanego do małej miejsciny, zapomniałby wymienić Ezofowiczów; jakkolwiek bowiem bogactwem i wpływami rodu tego chlubili się Izraelici wszyscy na wiele dziesiątków mil dokoła, niby jedną ze swych chwał narodowych, blask ten jednak, czysto światowy, bladł przy promieniach duchowej świętości, któremi otoczone było od niezmiernie dawna imię Todrosów.

Todrosowie uważani byli od dawien dawna przez całą ludność izraelską, Białoruś i Litwę zamieszkującą, za skończony wzór i nienaruszoną arkę prawowierności religijnej. Czy było tak w istocie? Znajdowali się tu i ówdzie uczeni talmudyści, którzy, na wzmiankę o talmudycznej prawowierności Todrosów, uśmiechali się jakoś dziwnie i, gdy się zeszli z sobą, smutnie coś o niej szeptali. Wiele, wiele do myślenia dawała uczonym talmudystom owa sławiona prawowierność talmudyczna Todrosów. Stanowili oni przecież ogromną mniejszość; kilku ich było za ledwie lub kilkunastu wątpiących wobec wierzących tłumów. Tłumy wierzyły, wielbiły i do Szybowa dążyły, jako do miejsca uświęconego, z pokłonem, po naukę, radę, pociechy i leki.

Nie zawsze przecież Szybów posiadał taką siłę

prawowierności. Owszem, pierwszymi założycielami jego byli odszczepieńcy, przedstawiciele w Izraelu ducha opozycji i rozbioru, Karaici. Niegdyś, bardzo dawno temu, nawrócili oni byli na wiarę swą, możny lud, zamieszkujący płynącą winem i złotem ziemię Chersonesu, i stali się jój królami. Potem, ze wspomnieniami królowania tego, z jedyną religijną i prawodawczą księgą swą, Biblią, powędrowali w świat podwójni wygnańcy Palestyny i Krymu, a mała częśćka ich, sprowadzona na Litwę przez W. Ks. Litewskiego Witolda, posunęła się aż na Białoruś i tam osiadła w gromadce domków i lepiarek, którą nazwano Szybowem.

Natenczas w piątkowe i sobotnie wieczory panowała w miasteczku głucha cisza i ciemność; Karaici bowiem, wbrew talmudystom, nie spotykali świętego dnia sabbatu światłem rzęsiśtym, gwarnem weselem i obfitemi ucztami, ale witali go ciemnością, milczeniem, smutkiem i rozmyślaniem nad upadkiem świątyni, chwały i mocy ojczystej. Wtedy z czarnych wnętrzy domostw, z za małych mętnych okienek, wypływały na zewnątrz przyciszone, przeciągłe, śpiewne i żałosne dźwięki, któremi ojcowie opowiadali dzieciom swym: o prorokach, którzy nad rzekami Babilonu tłukli harfy swe i ucinali palce u rąk, aby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu w niewoli; o błogosławionej krainie, Chawili, kędyś, jakoby na południu Arabii położonej, w której dziesięć pokoleń izraelskich mie-

szkało w swobodzie, w szczęściu i pokoju, nie znając co to kłótnia albo miecz; o świętej rzece Sabbathonu, kryjącej izraelskich tułaczy przed oczyma ich wrogów.

Przyszła jednak pora, w której tu i ówdzie, w piątkowe wieczory, okienka domków błyskać poczęły światłami i rzucać na zewnątrz gwar głośnych rozmów i chóralnych modlitw. Rabbanici przybywali. Czciciele talmudycznych powag, przedstawiciele ślepej wiary w podania ustne, zebrane i przekazane przez Kohenów, Tanaitów i Gaonów, nachodzili i wypierali z siedlisk garstkę kacerzy i rozbitków. Pod wpływem najścia tego gmina Karaicka topniała zwolna; ostatni cios zadał jej mąż, znany w dziejach Izraelitów polskich, Michał Ezofowicz „Senior”.

Pierwszy to był Ezofowicz, którego imię wyłoniło się z cieniów niewiadomości. Rodzina jego, niezmiernie dawno w Polsce osiadła, jedną z tych była, która za królów Jagiellonów, pod wpływem praw i zwyczajów, wytworzonych przy niezwykle wysokim na one czasy stanie oświaty w Polsce, życzliwemi węzły połączyły się z miejscową ludnością. „Seniorem”, czyli „starszym” nad żydami wszystkimi, Litwę i Białoruś zamieszkującymi, mianował go król Zygmunt I-szy, dyplomem, którego ustęp główny brzmiał, jak następuje:

„My Zygmunt, z Bożej Łaski i t. d...., wiadomem czynimy wszystkim Żydom, zamieszkałym w państwie, Ojczyźnie naszej... Zważywszy na wierne ku Nam

zasługi żyda, Michała Ezofowicza, i bacząc, abyście w sprawach waszych z Nami w niczem nie doznawali przeszkody i opóźnienia, według sprawiedliwości stanowimy: aby Michał Ezofowicz wszystkie wasze sprawy przy Nas załatwiał i był nad wami wszystkimi starszym, a wy macie za Jego pośrednictwem do Nas się udawać i być jemu we wszystkiem uległymi. Będzie on was sądzić i rządzić wami, według zwyczaju waszego prawa i winnych karać z przyzwoleniem Naszém, każdego według zasługi...”

Z kilku wzmianek, które czyni o nim historia, łatwo poznać w Seniorze człowieka silnój i sprężystej woli. W pewną siebie dłoń ujął on powierzone mu nad współwyznawcami rządu, a na tych, którzy poddać się im nie chcieli, na Karaitów mianowicie, rzucił klątwę, wyłączającą ich z pośród społeczeństwa izraelskiego i odbierającą im prawo do współplemienniej pomocy i przyjaźni. Pod uderzeniem ciosu tego egzystencya dawnych mieszkańców Szybowa, dość smutna, uboga i bezczynna przedtém, ostatecznemu uległa rozprzężeniu. Potomkowie Chazarskich władców, kacerze, stanowiący, jak zwykle bywa, wśród społeczeństwa swego ogromną mniejszość i będący dlań przedmiotem niechęci i wstrętu, znękani i biedni, z upartém swém a wyłączném przywiązaniem do Biblii w sercu, ze swemi poetycznymi legendami na ustach, opuścili miejsce, które im dało chwilowy przytułek. Rozeszli się w świat szeroki i nieprzyjazny, za cały ślad dwu-

wiekowego pobytu swego w szarą gromadce domostw, rzuconej wśród Białoruskich rozlogów, pozostawiając kilka rodzin wytrwalszych, namiętnej przywiązanych do starych grobów, które schroniły kości ich ojców, i do wzgórza usianego gruzami świątyni ich, obalonej przez zwyciężkich Rabbanitów.

Rabbanici zajęli Szybów w posiadanie zupełne i, co prawda, czynnością swą, zapobiegliwością, ścisłą spójnością działań swych, które źródło siły swej czerpały z bezprzykładnej niemal wzajemnej pomocy, zamienili szarą mieścinę z miejsca ciszy, smutku i ubóstwa w miejsce ruchu, gwaru, zachodu i bogactw.

W ogóle zresztą, dobrze się działo w czasach onych żydom, poddanym władzy Seniora. Oprócz materyalnych powodzeń, świtać dla nich zaczęła nadzieja wydzwignięcia się z umysłowej ciemnoty i ze społecznego poniżenia. Senior posiadać musiał umysł bystry i jasny, skoro z za wiekowych uprzedzeń i przesądów dojrzeć potrafił ducha czasu i potrzeby ludu swego. Nie przez fanatyzm religijny zapewne, ale dla czysto administracyjnych lub i szerzej społecznych celów, odrzucił on był Karaitów od Izraelowego łona; jakkolwiek bowiem Rabbanitą był, więc obowiązany do bezwarunkowej czci i wiary względem religijnych powag, sceptycyzm, najlepsza ta, a może i jedyna, droga ku mądrości, nawiedzał niekiedy umysł jego. W jednym z podań swych do króla, odpierając zarzuty, które czyniono sprawiedliwości

dokonywanych przezeń sądów, smutnie i nieco ironicznie pisał:

„Księgi nasze różnie i różnie nakazują; nie wiemy często jak postąpić, kiedy Gamaliel tak, a Eliezer inaczej rozkazuje. W Babilonie jedna, w Jerozolimie druga jest prawda ¹⁾. My słuchamy drugiego Mojżesza ²⁾, a nowi nazywają go kacerzem. Zachęcam ja uczonych do pisania takich mądrych rzeczy, aby rozumni i głupi słuchać ich mogli.”

Była to właśnie pora, w której na Zachodzie, wśród Izraelitów osiadłych w Hiszpanii i Francyi, podniósł się wielki spór o to: czy nauka świecka wzbронioną lub dozwoloną ma być wyznawcom Biblii i Talmudu. Zdania ważyły się, lecz długo ważyć się nie mogły, gdyż stronnicy bezwarunkowego wyłączenia się Izraela z pośród umysłowych prac i dążeń Ludzkości stanowili większość ogromną. Na społeczeństwo każde nachodzą niekiedy chwile takiego zapadania w ciemność. Zdarza się to wtedy najczęściej, gdy żywotność i energia narodu zmęczoną uczuje się długim pasmem dokonywanych wysiłen i przetrwanych męczarni, osłabioną potokami wylanęj krwi. Żydzi zachodni, po kilku stuleciach istnienia w trwodze, tułactwie, we krwi i ogniu, przebywali w w. XVI

¹⁾ Dwa wydania Talmudu: Babilońskie i Jerozolimskie, niezupełnie z sobą zgodne.

²⁾ Majmonidesa.

chwilę taką. Dalekiemi już były od nich czasy te, w których z łona ich powstawali sławni doktorowie umiejętności świeckich, miłowani przez ludy, poważani przez samych królów; daleką od nich, zapomnianą już, wzgardzoną była szeroka i wysoka myśl Majmonidesa, który, oddając należną cześć izraelskiemu prawodawcy, wielbił też i greckich mędrców, który naukę biblijną i talmudyczną oprzeć i utrwalić usiłował na podstawach prawd matematycznych i astronomicznych; który otwarcie wyznawał pragnienie zawarcia 2500 arkuszy Talmudu w jednym chociażby, byle jasnym jak dzień, rozdziale; który mniemań nierozsądnych, religijnymi nawet nie usprawiedliwiając wierzeniami, utrzymywał, że „oczy umieszczone są z przodu głowy człowieka, nie zaś z tyłu, dlatego, aby wolno mu było patrzeć przed siebie“, i przepowiadał „że świat cały napelni się kiedyś wiedzą tak, jak wodą napelnione są otełłanie morza“.

Cztery wieki minęły, odkąd znikła z powierzchni świata poważna, słodka, wysoce sympatyczna postać izraelskiego myśliciela, który zresztą był jednym z największych w ogóle myślicieli Średnich Wieków. Olbrzyma z orlim wzrokiem i płomiennem sercem zastąpiły karły o piersi zmęczonej i przesyconej gorączką, z okiem spoglądającym na świat mętnie, ciasno, podejrzliwie.

— „Strzeż się mądrości greckiej—wołał do syna swego Józef Ezobi, — albowiem podobną ona jest do

Sodomskiej winnicy, lejącej w głowę człowieka pijaństwo i grzech“.— „Obcy ludzie wciskają się w bramy Syonu!“ — wyrzekał Abba-Mary, na wieść o żydowskiej młodzieży uczącej się u innowiereczych mistrzów. A wszyscy społem, rabbini i naczelnicy gmin żydowskich za Zachodzie, wydają rozkaz, ażeby nikt przed skończeniem 30 lat życia nie śmiał się krzątać około nauki świeckiej. — „Ten tylko bowiem, powiadają, który napełnił już umysł swój Biblią i Talmudem, posiada prawo ogrzewania się przy obcych płomieniach“.

— „Rabbi! — odpowiadali na to śmielsi nieco, lubo niemniej poddający się kornie rozporządzeniu duchownych zwierzchników swych, — a jakoż będziemy badali wiedzę świecką po 30 latach naszego życia, skoro do czasu tego umysły nasze stępieją, pamięć umęczy się i nie będziemy już mieli ochoty i siły młodości?“

Stało się przecież tak, jak nakazaném było. Umysły ich stępiły się, pamięć zmęczona omdlała, opadły z nich siły i chęci młodości. Gród Majmonidesa, milezący i nieruchomy, stał pośród morza ciemności, które rozlało się na lud, przez niego wiedziony ku światłu. Na pamięć jego rzucono klątwę, a zuchwała ręka starła mu z grobowca napis, pełny wdzięczności i chwały, zastępując go słowami suchechemi i okrutnemi, jak ciemnota i fanatyzm:

„Tu spoczywa Mojżesz Majmonides, wyklęty ka-

cerz.“ Takież same spory, w tymże samym czasie powstały i wśród Izraelitów w Polsce osiadłych; tylko że nie tyle znużeni udręczeniami, których doświadczyli nieskończenie mniej, niż współbracia ich na Zachodzie, swobodniejsi, pewniejsi praw swych do bytu i przyszłości, mniej namiętny wstręt okazowali oni do „obcych płomieni“.

Owszem, utworzyło się wśród nich dość liczne stronnictwo, które wielkim głosem wołało o naukę świecką, o pobratanie się z resztą Ludzkości w umysłowych trudach i dążeniach. Jednym z ludzi stojących na czele stronnictwa tego był Senior Litewski, Ezofowicz. Za jego-to przeważnie staraniem wydana została przez Synod żydowski, w czasie tym zgromadzony, odezwa do wszystkich Żydów polskich, której główny ustęp brzmiał, jak następuje:

„Jehowa ma liczne Sefiroty, Adam miał różne doskonałości wypływy. Izraelita też na jednej nauce (religijnej) przestawać nie powinien. Pierwsza jest święta nauka, ale dla tego innych się nie lekceważy. Najlepszy jest owoc rajske jabłko, aleć dla tego czyliż nie mamy mniej smacznego jeść jabłka?... Byli Żydzi u królów na dworze, Mardocheusz był uczonym, Ester była mądra, Nehemiasz był radcą perskim,—i lud wybawili z niewoli. Uczcie się, bądźcie użytecznymi królowi i panom: a będą was szanowali. Ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, tyle jest Żydów na świecie; ale nie świecą oni jak

gwiazdy: każdy ich depce jako piasek... Jednak rzuca wiatr nasiona różnych drzew, i nikt się nie pyta: z kąd najpyszniejsze drzewo ma pochod? czemużby i z nas cedr libański, miasto tarniny, powstać nie mógł?"

Mąż, pod którego natchnieniem napisana została odezwa, wzywająca Żydów polskich, aby obracali się twarzami w stronę, z której nadchodziły światła przyszłości, spotkał się oko w oko z człowiekiem zapatrzonym w przeszłość i ciemność.

Był nim, świeżo przybyły z Hiszpanii do Polski, a w Szybowie osiadły, Nehemiasz Todros, potomek onego słynnego Todrosa Abulaffi Halewiego, który, przez czas jakiś słynąc z talmudycznój mądrości swój i prawowierności, dał się potem unieść ponurym tajemnicom kabalistyki i, wspierając ją powagą swą, przyczynił się znacznie do wytworzenia w Izraelu jednego z najsroższych obłądów, jakiemu duch narodu uledez może. Wieść niesie, że tenże Nehemiasz Todros, noszący tytuł książęcy, *Nassi*, pierwszy przywiózł do Polski księgę *Zohar*, zawierającą w sobie wykład, a raczej kwintessencją zgubnój doktryny, i że odtąd właśnie datuje się w Polsce zmieszanie nauk talmudycznych z kabalistyką, które coraz ogólniej i szkodliwiej działać miało na umysły i życie Żydów polskich. Historia milczy o rozterkach i walkach, wznieconych innowacją tą wśród ludu, który już wybić się miał z ogarniających go długo

ciemności; ale podania, świątobliwie przechowywane w łonach rodzin, opiewają, iż w walce, która długo i zawzięcie toczyła się pomiędzy Michałem Ezofowiczem, Żydem zdawna polskim, a Nehemiaszem Todrosem, hiszpańskim przybyszem, pierwszy zwyciężonym został. Strawiony zgryzotą, którą sprawiał mu widok ludu jego, zwracającego się na drogi błędne, gnębiony intrygami, wzniecanemi przeciw niemu przez posępnego przeciwnika, umarł on w sile at i wieku. Imię jego przechowywane było w rodzie Ezofowiczów z pokolenia w pokolenie. Wszyscy oni szczylicili się wspomnieniem tém, jakkolwiek z upływem czasu coraz mniej rozumieli istotne jego znaczenie.

Od czasu-to owego datuje się wielka powaga Todrosów i stopniowe umniejszanie się wpływów moralnych wywieranych przez Ezofowiczów. Ci ostatni, wyparci przez pierwszych z dziedziny szerokich, społecznych działań, wszystkie zdolności swe zwrócili na pole starań i zabiegów mających na celu dobro materyalne. Spławne rzeki okrywały się rokrocznie statkami, będącemi ich własnością, a niosącemi ku dalekim portom ogromne zasoby przeróżnych przedmiotów handlu; dom ich, stojący wśród lichej miejsciny, stawał się coraz bardziej główném ogniskiem krajowego kredytu i przemysłu; ku nim, jak ku nowoczesnym Rotszyldom, zwracali się

wszyscy ci, którzy dla powodzenia zamiarów swych i przedsięwzięć potrzebowali złotej podpory.

Ezofowiczowie dumni byli zdobytą potęgą kruszcem i przestali całkiem troszczyć się o inną, o tę potęgę wpływów na ducha i los narodu, którą posiadał pradziad ich, a którą na zawsze, zda się, wydarli im z rąk Todrosowie, ci Todrosowie, którzy, ubodzy wiecznie, nędzarze niemal, zamieszkujący lichą chatkę u stóp świątyni przysiadła, gardzący wszystkiem, co miało pozór wykwintu, piękna, a choćby wygody—słynęli przecież szeroko na wsze strony kraju i pociągali ku sobie najpobożniejsze westchnienia, najgorętsze marzenia i tęsknoty ludu swego. I raz tylko w ciągu dwóch wieków jeden jeszcze Ezofowicz pokusił się, już nie tylko o materyalne, ale i o moralne dostojęństwo.

Zdarzyło się to w końcu zeszłego stulecia. W Warszawie zasiadał wielki sejm czteroletni. Odgłosy toczonych tam obrad doszły aż do Białoruskiej miejsciny. Ludność, zamieszkująca ją, ciekawie nadstawiała ucha, słuchała, czekała. Z ust do ust biegła wieść, nabrzmiała nadzieją i trwogą: radzą tam i o Żydach!

— Co tam o nas gadają? co tam o nas piszą? — zadawali sobie wzajem pytania długobrodzi przecho-dnie ciasnych uliczek Szybowa, ubrani w długie cha-laty i w wielkie futrzane czapki. Ciekawość wzra-stała z dniem każdym, tak bardzo, że aż powstrzy-

mywała, w sposób zupełnie niezwykły, ruch pieniężnych i handlowych interesów. Niektórzy puszczali się nawet w daleką i trudną podróż do Warszawy, aby znaleźć się bliżej źródła, z którego wychodziły wiadomości, a znalazłszy się tam, przesyłali współbraciom pozostałym w białoruskiej mieścinie długie listy, zmięte i wyplamione dzienniki, kartki powydzierane z rozlicznych broszur i książek.

Z pomiędzy tych wszystkich, którzy pozostali w miasteczku, najpilniej i najniespokojniej nadstawiali ucha dwaj ludzie: Nochim Todros, rabin, i Hersz Józefowicz, bogaty kupiec.

Stosunek wzajemny tych dwóch ludzi zawierał w sobie głuchą, tajemnie wrzącą niechęć. Nie lubili się. Na pozór zostawali z sobą w zgodzie, ale przy każdej ważniejszej sposobności wychodził na jaw i burzliwie nieraz wybuchał antagonizm, istniejący pomiędzy praprawnikiem Michała Seniora, Majmonidesowego ucznia, a potomkiem Nehemiasza Todrosa, fanatyka-kabalisty.

Raz nakoniec przybyła z Warszawy do Szybowa kartka papieru, żółtkłego i zmiętego w długiej podróży, a na niej wypisane były następujące wyrazy:

„Wszelkie różnice w ubiorze, języku i obyczajach, pomiędzy Żydami a miejscową ludnością zachodzące, znieść. Wszystko, co się religii tycze, pozostawić nietykalnym. Sekty nawet tolerować, jeżeli te nie będą wpływały szkodliwie na moralność. Żadne-

go Żyda, zanim dojdzie do lat dwudziestu życia, do chrztu nie przyjmować. Prawo do nabywania gruntów Żydom udzielić, a nawet tych, którzyby się rolnictwem zatrudniać chcieli, na pięć lat od podatków uwolnić i inwentarzem rolnym obdarzyć. Wzbronić zawierania małżeństw przed rokiem 20-tym dla mężczyzn, a 18-ym dla kobiet.”

Kartkę tę noszono po ulicach, placach i domach, czytano po setne razy, powiewano nią w powietrzu, niby chorągwią tryumfu lub żałoby, dopóty, aż w tych tysiącach rąk niecierpliwych i drżących rozpadła się w drobne szmatki, ulotniła w żółtawy pył — znikła.

Zdania jednak o tém, co przeczytane zostało, ludność Szybowa nie wyrażała zrazu. Cześć jej, znacznie mniejsza, pytające spojrzenia zwróciła ku Herszowi; inna, ogromnie większa, badała twarz Reba Nochima.

Reb Nochim wyszedł przed próg swej lepianki i chude ręce swe, na znak zgrozy i rozpacz, wznosząc nad głową, okrytą siwymi włosy, zawołał po razy kilka:

— Assybe! assybe! dajge!

— Niestety! nieszczęście! biada! — powtórzył za nim tłum, zalegający w dniu owym podwórze świątyni. Ale w tej samej chwili Hersz Ezofowicz, stojący u samych drzwi domu modlitwy, założył białą rękę za szeroki pas atlasowego chałata, drugą po-

wiódł po bujnej rudawej brodzie, podniósł wysoko głowę, okrytą cenną bobrową czapką, i mniej donośnie od Rabbina, innym tylko wcale głosem, zawołał:

— Ofenung! ofenung! frejd!

— Nadzieja! nadzieja! radość! — nieśmiało trochę zcicha i z ukośnem na Rabbina wejrzeniem powtórzyła za nim nieliczna gromadka jego przyjaciół.

Ale stary Rabbin słuch miał dobry: usłyszał. Biała broda jego zatrzęsa się, czarne oczy rzuciły w stronę Hersza wejrzenie pełne błyskawic.

— Rozkazą nam brody golić i krótkie suknie nosić! — zawołał żałośnie i gniewnie.

— Rozum nasz uczynią dłuższym i serce w pierśsiach naszych rozszerzą! — odpowiedział mu od drzwi świątyni doniosły głos Hersza.

— Zaprzęgą nas do pługów i każą nam uprawiać krainę wygnania! — krzyczał Reb Nochim.

— Otworzą przed nami skarby ziemi i rozkazą jej, aby ojczyzną nam była! — zawołał Hersz.

— Zabronią nam koszyry zachowywać i z Izraela uczynią lud chazarników!

— Dla dzieci naszych szkoły pobudują i z Izraela uczynią cedr libański, miasto tarniny!

— Twarze synów naszych brodami porosną, zanim wolno im będzie żony pojąć sobie!

— Kiedy pojną oni swe żony, rozum w ich głowach i siła w ich rękach będą już wyrosłe!

— Rozkażę nam grzać się przy obcych płomieniach i pić w Sodomskiej winnicy!

— Przybliżą do nas Jobel-ha-Gadel, święto radości, w którym jagnię bezpiecznie spoczywać będzie obok tygrysa!

— Herszu Ezofowiczu! Herszu Ezofowiczu! przez usta twoje mówi dusza pradziada twego, który wszystkich Żydów zaprowadzić chciał do cudzych płomieni!

— Reb Nochim! Reb Nochim! przez oczy twoje patrzy dusza twego pradziada, który wszystkich Żydów zatopił w wielkich ciemnościach!

Tak wśród ogólnej, głębokiej ciszy tłumu, zdala od siebie stojąc, rozmawiali z sobą dwaj ci ludzie. Głos Nochima stawał się coraz cieńszym i ostrzejszym,—Hersza brzmiał coraz silniejszymi, głębszym, tony. Żółte policzki starego Rabbina okryły się plamami ceglastych rumieńców; twarz Ezofowicza zbladła. Rabbini trząsł nad głową wyschłemi dłońmi rzucał postać w tył i naprzód, a srebrna broda jego rozwiała mu się na oba ramiona. Kupiec stał prosto i nieruchomo; w szarych oczach jego błyskało gniewne szyderstwo, a ręka, za pasem tkwiąca, odbijała białością od głębokiej czerni atłasu.

Parę tysięcy oczu szybkimi spojrzzeniami biegło od twarzy jednego z dwóch przewodców ludu ku twarzy drugiego, parę tysięcy ust drżało, lecz — milczało.

Nakoniec rozszedł się po podwórzu świątyni przyszywający powietrze, ostry, przeciągły krzyk Reb Nochima:

— Assybe! assybe! dajge! — jęczał starzec z łkającą piersią i załamanemi nad głową rękoma.

— Ofenung! ofenung! frejd! — podnosząc w górę białą rękę i głosem radością brzęcącym, wykrzyknął Hersz.

Tłum milczał jeszcze chwilę i stał nieruchomy; potem głowy jego pochylać się zaczęły ku sobie naksztalt fal kołysanych w przeciwne strony, i naksztalt wód szemrzących szemrać poczęły usta, aż nagle parę tysięcy rąk podniosło się w górę z gestem trwogi i bólu i parę tysięcy piersi wydało chórally ogromny okrzyk:

— Assybe! assybe! dajge!

Reb Nochim zwyciężył.

Hersz powiódł okiem dokoła. Stronnicy jego otaczali go ścieśnionem kołem. Nie powtarzali wprawdzie okrzyków tłumu, ale — milczeli. Pospuszczali głowy i nieśmiałe wzroki utkwili w ziemi.

Po ustach Hersza przeleciał uśmiech wzgardliwy — i kiedy lud, tłumną, jęczącą falą, cisnął się do świątyni; kiedy Reb Nochim, biegnąc na czele jego, potrzasał wciąż nad siwą głową żółtymi rękoma i przed progiem świątyni jeszcze rozpoczynał wielkim głosem modlitwę, odmawianą zazwyczaj w godzinie niebezpieczeństwa; kiedy nakoniec brunatne

ściany domu modlitwy rozbrzmiały ogromnym, lękającym krzykiem: „Boże ratuj naród twój! zbaw od zaguby ostatki Izraela!“ — młody kupiec stał długo nieruchomy, z głęboką zadumą w ziemię wpatrzony; potem, wolnym krokiem przeszedł obszerny rynek miasteczka i zniknął w głębi stojącego przy nim obszernego i okazałego domu.

Dom to był najobszerniejszy i najokazalszy w tym miasteczku, nowy jeszcze zupełnie, bo przez Hersza samego zbudowany, złotymi ścianami i jasnymi oknami błyszczący. We wnętrzu jego, w izbie dużej, na bardzo prostym drewnianym sprężcie Hersz przesiedział długo, z chmurnym wzrokiem i z czołem w dłoniach ukrytym. Podniósł potem głowę i zawołał:

— Frejda! — Frejda!

Na wołanie to otworzyły się drzwi sąsiedniej izby i w złotym oświetleniu ogniska, szeroko tam płonącego, ukazała się w progu młoda, wysmukła kobieta. Na głowie miała wielki biały zawój; biały fartuch spadał od szyi jej, zdobnej w kilka sznurów pereł, aż ku dołowi kwiecistej spódnicy. Ogromne czarne oczy świeciły wesolo i płomiennie pośród ściągłej, łagodnej twarzy. Stała naprzeciw męża i zapytywała go wzrokiem tylko.

Hersz wskazał jej oczyma ławę, na której też wnet usiadła.

— Frejdo! — zaczął, — czy ty słyszałaś o tym, co u nas dziś działo się w miasteczku?

— Słyszałam, — odpowiedziała z cicha — brat mój, Jozę, zachodził do mnie i mówił, że ty bardzo klócił się dziś z Reb Nochimem.

— On chce mnie zjeść, tak, jak pradziad jego zjadł mego pradziada.

W czarnych oczach Frejdy odmalowała się trwoga.

— Hersz! — zawołała, — ty z nim nie klóć się! on wielki i święty! za nim wszyscy będą!

— Nu, — po chwili milczenia odpowiedział z uśmiechem mąż, — już ty nie lękaj się! Teraz już inne czasy idą: on mnie nic nie zrobi! A ja nie mogę zamykać mych ust, kiedy moje serce głośno krzyczy na mnie, żebym ja gadał! i ja nie mogę patrzeć na to jak ten człowiek mówi, że to, co dobre, jest złe, a głupi naród patrzy w oczy i krzyczy potem to, co i on, choć nic nie rozumie. Nu! a zkad on ma co rozumieć? Czy Todrosy uczyli go kiedy rozpoznawać złe od dobrego, i to, co było, oddzielać od tego, co będzie?

Po chwilowém milczeniu Hersz zaczął znowu:

— Frejda!

— Co, Herszu?

— Czy ty nie zapomniałaś jeszcze tego, co ja tobie opowiadałem o Michale Seniorze?

Kobieta splotła nabożnie ręce.

— Na co ja miałam zapominać! — zawołała. — Ty mnie piękne historie o nim opowiadał.

— To był wielki, bardzo wielki człowiek! Todrosy go zjedli. Żeby go oni nie zjedli, on-by wielkie rzeczy dla Żydów zrobił. Ale to nic. Ja jego zapytam się: jak on chciał robić; to on mnie nauczy— i ja zrobię!

Frejda zbladła.

— A jak ty jego zapytasz się?—szepnęła z trwogą,—kiedy on już dawno nie żyje!

Tajemniczy uśmiech przeleciał po cienkich wargach kupca.

— Już ja wiem jak! Czasem Pan Bóg tak daje, że i ci, którzy dawno nie żyją, gadać mogą i uczyć prawnuków swoich.

— Frejda!—zaczął po chwili, — czy ty wiesz, co Michał Senior zrobił, gdy poczuł, że Todrosy zjedzą go, i że on umrze wprzód, nim inne czasy przyjdą?

— Nu! co on zrobił?

— On zamknął się w izbie sam jeden i długo tam siedział, nic nie jedząc, i nic nie pijąc, i nie śpiąc, i—tylko pisał. A co on pisał? tego jeszcze nikt nie dowiedział się, bo on pisanie swoje gdzieś schował bardzo głęboko; a kiedy jemu już źle było i poczuł, że będzie już po nim, to on swoim synom powiedział: „Ja napisał wszystko, co ja wiedział, i co czuł, i co ja zrobić myślał; ale pisanie moje schowałem przed wami, bo teraz takie czasy przyszły, że ono na nic się nie przyda. Todrosy panują i długo panować będą, i tak robią, że ani wy, ani wasze

dzieci i wnuki pisania mego zobaczyć nie zechcą, a gdyby i zobaczyli, toby rozszarpali je i wiatrom dali na zniszczenie, i mówiliby, że Michał Senior był *kofrym* (niedowiarek), i wyklęliby go tak, jak wyklęli drugiego Mojżesza. Ale przyjdzie znów czas taki, że praprawnuk mój będzie bardzo chciał pisanie moje mieć, żeby u niego zapytać się: co myśleć i jak robić, żeby Żydów z niewoli Todrosów wybawić, i do tego słońca zaprowadzić, przy którym grzeją się inne narody. Ten praprawnuk mój, co tego bardzo zechce, pisanie moje znajdzie, a wy tylko wszyscy mówcie w godzinę śmierci waszej najstarszym synom waszym, że ono jest, i że w niem bardzo mądre rzeczy napisane stoją. I niech tak będzie z pokolenia na pokolenie. Ja wam tak rozkazuję. Pamiętajcie posłusznymi być temu, którego dusza zasłużyła sobie na to, ażeby być nieśmiertelną!" ¹⁾

Hersz skończył mówić. Frejda siedziała nieruchoma, wpatrzona w twarz męża wzrokiem pełnym ciekawości.

— Ty tego pisma będziesz szukał? — zapytała z cicha.

¹⁾ Doktryna Mojżesza Majmonidesa o nieśmiertelności duszy ludzkiej, według której człowiek każdy kształceniem umysłu swego i doskonałością moralną, nieśmiertelność sobie zdobywać musiał, a karą złych czynów jego miało być — nicestwo.

— Ja jego będę szukał,—powtórzył mąż,—i ja znajdę, bo ja jestem ten praprawnuk, o którym mówił Michał Senior, kiedy umierał. Ja pisanie to znajdę. Ty, Frejdo, szukać mi pomagaj.

Kobieta stanęła, wyprostowana, rozpromieniona radością.

— Ty dobry jesteś, Hersz! — zawołała z głębi piersi, — ty dobry jesteś, że mnie, kobietę, do takich ważnych interesów i do takich wielkich myśli przypuszczasz!

— A czemu-bym ja ciebie przypuszczać do nich nie miał? Czy ty domu mego źle pilnujesz, albo dzieci moje źle hodujesz? Ty wszystko dobrze robisz, Frejdo, i twoja dusza taka piękna, jak twoje oczy!

Szkarłatnym płomieniem oblała się twarz młodej Izraelitki. Spuściła oczy, ale koralowe usta jej szeptały z cicha niedosłyszane wyrazy jakies — miłości czy dziękczynienia...

Hersz powstał.

— Gdzie my pisanie tego szukać będziemy? — zaczął w zamyśleniu.

— Gdzie?—powtórzyła kobieta.

— Frejda,—mówił mąż,—Michał Senior pisanie swego schować nie mógł w ziemi, bo on wiedział, że gdyby je schował w ziemi, robaki-by je zjadły, albo zamieniłoby się w proch. Czy to pisanie jest w ziemi?

— Nie,—odpowiedziała kobieta—jego w ziemi niema!

— I w ściany on go schować nie mógł, bo on wiedział, że ściany spróchnieją prędko i że je zrzucą, ażeby nowe postawić. Ja te nowe ściany sam stawiał i w starych ścianach szukał bardzo, ale pisania w nich żadnego nie było.

— Nie było!—z żalem ozwała się Frejda.

— I w dachu on go schować nie mógł, bo on wiedział, że dach zgnije i że go rozrzuca, żeby nowy zrobić. Jak ja urodził się, to już na starym domu naszym był dziesiąty może dach, ale mnie zdaje się, że pisania tego w dachu żadnym nie było.

— Nie było!—powtórzyła kobieta.

— To gdzie ono może być?

Zamyślili się oboje. Nagle, po dłuższej chwili-kobieta zawołała:

— Hersz! ja już wiem! te pisanie jest tam!

Mąż podniósł głowę. Kobieta wyciągniętym palcem wskazywała wielką oszkloną szafę, stojącą w rogu izby i zapełnioną od góry do dołu wielkimi księgami, w szarój, opylonej oprawie.

— Tam?—zapytał Hersz wahającym się głosem.

— Tam—stanowczo powtórzyła kobieta.—Czy ty mnie nie mówił, że to są książki Michała Seniora, i że je tu wszyscy Ezofowicze na pamiątkę po nim chowali; ale, że ich nikt nigdy nie czytał, bo takich książek Todrosy czytać nie pozwalają!

Hersz powiódł dłonią po czole; kobieta mówiła dalej:

— Michał Senior mądry był człowiek i przed oczyma jego widna była przyszłość. On wiedział, że tych książek długo nikt czytać nie będzie, i że ten tylko, kto czytać ich zechce, będzie tym prawnukiem jego, co innych czasów doczeka i pisanie jego znajdzie.

— Frejdo! Frejdo!—zawołał Hersz,—ty jesteś mądra kobieta!

Pod śnieżnym zawojem czarne oczy kobiece skromnie spuściły się ku ziemi.

— Herszu! ja pójdę zobaczę dzieci nasze, i za-kołyszę najmłodsze, które zapłakało. Rozdam robotę sługom naszym i zgasić każę ognisko, potem przyjdę tu—pomagać tobie w robocie twojej.

— Przyjdź!—rzekł Hersz, a gdy kobieta odchodziła do izby, w której gwarzyły głosy dzieci i domowników, wiódł za nią wzrokiem i półgłosem mówił:

— Mądra żona droższą jest nad złoto i perły. Przy niej serce męża spokojne!

Wróciła po chwili, zasunęła rygle u drzwi, i z cicha zapytała męża:—A gdzie klucz?

Hersz znalazł klucz od szafy pradziada, otworzył ją i zaczęli oboje zdejmować z półek wielkie księgi. Kładli je potem na ziemi, przysiadali nad niemi i powoli, z uwagą nadzwyczajną, odwracali, jedną po drugiej, karty żółtkie od wielkiej starości. Chmury

pyłu podnosiły się ze stosów papieru, nietkniętych przed wieki ręką niczyją, osiadły na śnieżnym zawoju Frejdy i szarą warstwą przysypywały złotawe włosy Hersza. Oni jednak pracowali niezmordowanie, a z tak uroczystym wyrazem na twarzach, że mogło się zdawać, iż rozkopywali grób pradziada, aby wydobyć zeń, zagrzebane z nim razem, wielkie jego myśli.

Dzień już miał się ku końcowi, kiedy nareszcie z piersi Hersza wydobył się krzyk, podobny do tego, jakim ludzie witają szczęście i zwycięstwo. Frejda nie nie rzekła, tylko z ziemi powstała i splecione ręce wyciągnęła wysoko nad głowę, dziękczynnym ruchem.

Potem widziano Hersza modlącego się długo i żarliwie przed oknem, z którego widać było wschodzące na niebo pierwsze gwiazdy nocy. Potem przez noc całą w oknie tём światło nie gasło, a przy stole, z głową na obu dłoniach wspartą, Hersz wczytywał się w żółte jakieś, wielkie, rozwarte przed nim arkusze. O świcie zaś, zaledwie wschodni kraniec nieba płonąć począł różowemi barwami, wyszedł przed próg domostwa swego, ubrany w płaszcz podróżny i wielką swą czapkę bobrową, usiadł na wóz usłany słomą i odjechał. Odjeżdżając, był tak zamyślony, że ani dzieci swych, ani domowników, tłoczących się w sieni domu, nie żegnał, tylko głową skinął ku Frejdzie, która stała na ganku w białym zawoju swym,

zróżowionym od świateł jutrzeńki, i czarnemi oczyma, pełnemi smutku i dumy zarazem, długo ścigała odjeżdżającego męża.

Dokąd Hersz pojechał? Za góry, za lasy, za rzeki... w daleką stronę kraju, kędy, wśród bagnistych równin i czarnych borów Pińszczyzny, mieszkał wymowny poplecznik sprawy równouprawnienia i cywilizacyi Żydów polskich, poseł sejmowy Butrymowicz. Szlachcie, karmazyn to był i—myśliciel. Widział jasno i daleko; nie tajnemi mu były, tajne dla innych, związki, czynniki i konieczności dziejowe.

Kiedy Hersz, wprowadzony do wnętrza szlacheckiego dworu, stanął przed poważnem obliczem mądrego posła, pokłonił mu się nisko i w sposób następujący mowę swą zaczął:

— Jestem Hersz Józefowicz, kupiec z Szybowa, pra-prawnuk Michała Ezofowicza, co nad wszystkimi Żydami starszym był i nazywał się, według rozkazu samego Króla, Seniorem. Przyjechałem ja zdaleka. A po co ja tu przyjechałem? Po to, żeby zobaczyć wielkiego posła i pogadać z wielkim autorem, z którego słów spadł na oczy moje i twarz blask taki jasny, jak od promieni słońca. Blask ten jest bardzo wielki, ale mnie nie oślepił, bo, jak roślina ziemską okręca się koło gałęzi wysokiego dębu, tak ja chcę, żeby myśl moja okręciła się około twojej wielkiej myśli, i żeby one obie rozpostarły się nad ludźmi jako

tęcza, po której nie będzie już na świecie kłótni, ani ciemności.

Kiedy na przemowę tę poseł odpowiedział uprzejmie i zachęcająco, Hersz ciągnął dalej:

— Jasny pan to powiedział, że trzeba zrobić wieczną zgodę pomiędzy dwoma narodami, które na jednej ziemi toczą z sobą wojnę?...

— Powiedziałem to—potwierdził poseł.

— Jasny pan to powiedział, że Żyd, porównany z chrześcijaninem we wszystkiém, nigdy szkodliwym nie będzie?

— Powiedziałem to.

— Jasny pan to powiedział, że Żydów ma za obywateli polskich, i że trzeba, ażeby oni dzieci swoje do świeckich szkół posyłali, i żeby oni mieli prawo ziemię kupować, i żeby między nimi skasowane były różne rzeczy, które ani dobre są, ani rozumne?

— Powiedziałem to—powtórzył poseł.

Wtedy wysoki, okazałej postaci Żyd, z dumnym czołem i rożumném wejrzeniem, pochylił się szybko, i zanim poseł miał czas obejrzeć się i obronić, rękę jego do ust swych przycisnął.

— Ja tu przybysz—rzekł z cicha—gość w tym kraju, młodszy brat..

Wyprostował się potem i, sięgnawszy do kieszeni atlasowego ubrania, wydobył z niej zwój żółtkłego papieru.

— Ot, co ja panu przywiozłem — rzekł — to droższe dla mnie nad wszystko złoto, perły i diamenty...

— Cóż to jest? — zapytał poseł.

Hersz uroczystym tonem odpowiedział:

— To testament przodka mego, Michała Ezofowicza Seniora.

Przez całą noc siedzieli we dwóch i przy świetle świec woskowych czytali. Potem przestali czytać, a zaczęli rozmawiać. Rozmawiali z cicha, z blisko ku sobie pochylonemi głowami, z twarzami pałającemi. Potem, przy świetle dnia już, powstali obaj razem, jednocześnie, wyciągnęli ku sobie dłonie i spoili je w silnym uścisku.

O czém przez noc całą czytali, o czém mówili, co uradzili, jakie uczucia zapału i nadziei połączyły ich ręce uściśnieniem przymierza? Nikt nie dowiedział się nigdy. Zapadło to w tę ciemną noc tajemnic dziejowych, na dzień której skryło się przed nami wiele słonecznych pragnień i myśli. Przeciwności je tam strąciły. Skryły się one, lecz nie przepadły. Zapytujemy siebie nieraz: zkąd błyskawice te myśli i pragnień, których nikt wprzód nie znał? i nie wiemy, że źródłem ich bywają często chwile, których na kartach żadnych nie zapisał żaden kronikarz. .

Nazajutrz przed ganek szlacheckiego dworu zajęła sześciokonna karoca. Wsiadł do niej dziedzic

dworu z izraelskim gościem swym — i pociągnęli w drogę daleką, do stolicy kraju.

Z Warszawy Hersz wrócił do Szybowa w parę miesięcy. Wróciwszy, ruszał się po miasteczku i okolicy żwawo i gorliwie, mówił, opowiadał, tłumaczył, przekonywał, jednał stronników dla przygotowujących się zmian i przekształceń we wszechstronném życiu swojego ludu. Potém wyjeżdżał znowu, wracał i wyjeżdżał... Trwało tak lat parę.

Nagle Hersz z podróży jednéj, ostatniéj, wrócił zmieniony bardzo, z mętным wzrokiem i z czołem zoraném troską. Wszedł do domu swego, ciężko opuszczył się na ławę i, podparłszy głowę ręką, głośno wzdychał.

Frejda stała przed nim zasmucona, niespokojna, lecz cicha i cierpliwa. Pytać nie śmiała; oczekiwała spojrzenia i zwierzenia męża. Podniósł nakoniec wzrok mętny, smutny, i wymówił:

— Wszystko przepadło!

— Dla czego przepadło? — zeicha szepnęła Frejda.

Hersz uczynił ręką giest, oznaczający upadanie czegoś wielkiego.

— Kiedy budowa jaka rozpada się w kawałki — rzekł — tym, którzy w niej mieszkają, belki padają na głowy i pył zasypuje oczy...

— To prawda! — potwierdziła kobieta.

— Jedna wielka budowa rozpadła się... belki

pospadały na wszystkie wielkie zadania i wielkie prace nasze, a proch przysypał je... na długo!

Wstał potém, spojrział na Frejdę oczyma, w których wielkie łzy stały, i rzekł:

— Trzeba schować testament Seniora, bo on znów na nic się nie przyda... Chodź, Frejdo, schowamy go bardzo głęboko... może go prawnuk jaki nasz szukać będzie, i znajdzie.

Od tego dnia Hersz starzał się widocznie. Oczy jego gasły, plecy garbiły się. Siadywał często na ławie godzinami całemi, przechylając postać całą z boku na bok, wzdychając głośno i często powtarzając:

— Assybe! assybe! assybe! dajge! Nieszczęście! nieszczęście! biada! — Dokoła smutnego człowieka tego cicho i troskliwie krążyła smutna postać niewieścia, w kwiecistej sukni i białym zawoju. Czarne oczy jej często napępniały się łzami, a krok był tak ostrożnym i lekkim, że perły nawet, zdobiące jej szyję, nie przerwały nigdy zadumy jego najłżejszém dzwoniem. Niekiedy Frejda ze zdumieniem patrzyła na męża. Smutek jego zasmucał ją, ale nie rozumiała go dobrze. Nad czémże biadał? Bogactwa jego nie umniejszały się, dzieci wzrastały zdrowo, wszystko było jak przedtém, jak przed dniem owęj wielkiej klótni z Reb Nochimem i wynalezienia owych starych, żółtych papierów! Nie rozumiała dobrze kobieta, kochająca i roztropna, lecz cały świat swój widząca

w czterech ścianach swego domu, że duch męża jej porwanym został w krąg wielkich idei i upodobał sobie w płomiennym tym świecie, a wygnany zeń siłą wrogich wypadków, uleczyć się nie mógł z tęsknoty i żalu po nim. Nie wiedziała ona, że są na ziemi tęsknoty i żale, nietyczące się ani rodziców, ni dzieci, ni żony, ni majątku, ni domu własnego, i że z takich tęsknot i żalów duchowi ludzkiemu, który zaznał ich raz, uleczyć się najtrudniiej...

W czarnej lepiance Reb Nochima tymczasem rozlegały się z kolei wykrzyki radości.

— Frejd! Frejd! Frejd! — wołał do ludu stary rabin, dowiedziawszy się, że „wszystko upadło”, że zatem ci, którzy mieli rozkazywać Żydom, aby brody golili i krótkie suknie nosili, krajowym językiem mówili i w szkołach krajowych się uczyli, roli się imali i w dzieciennym wieku małżeństw nie zawierali — rozkazywać już prawa nie mają.

— Frej! Frejd! Frejd! zbawione są brody i długie chałaty; zbawione są kahały, heremy, koszery; zbawione są od zetknięcia się z nauką Edoma święte księgi Miszny, Gemary i Zohar! Zbawione od ciągnięcia pługa dłonie wybranego ludu! zbawionym więc jest od zagłady lud Izraela!

Radował się Todros i do radowania się wzywał, wierzącą w mądrość jego i świętość, swą trzodę. Tryumfował, ale chciał tryumfować bardziej jeszcze; zniszczyć Ezofowiczów znaczyło to: odwrócić prąd,

dażący w przyszłość i walczący z tym, który usiłował wciąż zamienić lud w skamieniałość przeszłości. Któż więc, co stać się może kiedyś? czy z przekłętego rodu tego nie powstanie kiedy człowiek, dość mocny, aby zniszczyć całą, długowiekową robotę Todrosów? Wszak, gdyby wypadki przyjęły były inny obrót, dokonałby już tego Hersz sam, wraz ze swymi możliwymi przyjaciółmi, Edomitami!

Na Hersza Ezofowicza, jak niegdyś na przodka jego Michała, posypały się ze stron wszystkich oskarżenia, niechęci, przeciwności wszelkiego rodzaju. W domu modlitwy wykrzykiwano nań głośno, że sabbatów nie strzeże, że z Gojami się przyjaźni i, do stołu z nimi zasiadając, trefne mięso spożywa; że w sporach majątkowych sądów żydowskich unika, a do krajowych się udaje; że rozporządzeń kahalnej zwierzchności nie słucha i nieraz nawet głośno przyganiać im śmie; że powag izraelskich nie szanuje, Reb Nochimowi należnej czci nie oddając...

Dumnie bronił się Hersz, odpierając niektóre czynione sobie zarzuty, do innych przyznając się, lecz usprawiedliwiając je pobudkami, których przecież ani lud, ani przodownicy jego za słuszne uznać nie chcieli.

Trwało tak dość długo, w końcu trwać przestało. Umilkły obwinienia, znikły intrygi; umilkł — bo też i zniknął moralnie ten, kto był ich przedmiotem. Zestarzały przedwcześnie, zgorzkniały, zmęczony

jałowemi walkami, Hersz zamknął się szczelnie w obrębie prywatnego życia, zajmował się znowu handlem i różnemi interesami, które jednak nie szły mu tak dobrze jak innym, bo nie posiadał, tak jak inni, sympatyj i pomocy swych współbraci. Co czuł, o czém myślał w tych ostatnich latach życia swego, nikt nie wiedział, bo Hersz nie zwierzał się z tém nikomu. Przed śmiercią tylko miał z Frejdą długą rozmowę. Dzieci jego były jeszcze zbyt małe, aby powierzyć im mógł tajemnicę zawiedzionych pragnień swych, zmarnowanych starań i stłumionych bólów. Przekazywał ją im przez usta swjej żony. Ale czy Frejda zrozumiała i zapamiętała słowa konającego męża? czy chciała i potrafiła powtórzyć je potomkom jego?—nie wiadomo. To tylko pewna, że ona jedna pozostała w posiadaniu wiadomości o miejscu, w którym ukryty został testament Seniora, owo pisanie odwieczne, będące dziedzictwem, nie tylko rodu Ezofowiczów, ale całego izraelskiego ludu, dziedzictwem nieznanem i zaniedbywanem, lecz w którym—kto wie?—mieściły się może skarby stokroć większe, niż te, które napełniały śpichrze i skrzynie bogatjej kupieckiej rodziny. .

Ostatnie żądania i myśli Seniora spały więc kędyś w ukryciu, czekając znowu śmiałej i wiedzy chciwej ręki jakiego prawnuka, któraby przebudzić je i na jaw wydobyć zapragnęła; a w miasteczku tymczasem, po śmierci Hersza, nie pozostał już ani jeden duch

tęskniący za światłością, ani jedno serce, któreby uderzało dla czegoś więcej, niż dla własnej żony, własnych dzieci i własnego, przedewszystkiem, majątku.

Gwarno tam stało się od zabiegów i starań, mających za cel jedyny pieniężne zdobycze; ciemno od mistycznych trwóg i rojeń; ciężko i duszno od nieubłaganej, drobiazgowej, bezustannej prawowierności.

W oczach jednolitego plebsu w kraju całym ludność Szybowa uchodziła za potężną materyalnie i moralnie, mądrą, przeprawowierną, świętą niemal...

Nad całą tą głęboką, zapadłą doliną społeczną zawisła chmura, złożona z najciemniejszych żywiołów, jakie istnieją w Ludzkości, a którymi są: cześć dla litery, z której duch umknął, kazuistyka sroga, gruba niewiedza, podejrzliwe i nienawistne obwarowanie się przeciw wszystkiemu, co płynęło z szerokich, słonecznych, lecz „cudzych”, światów.

I.

Było to przed trzema laty.

Wilgotne mgły podnosiły się z błotnistych ulic miasteczka i ciemnym czyniły, przezroczysty gdzie indziej, zmierzch gwiazdzistego wieczora. Marcowe powiewy, wraz z wonią świeżo zoranych gruntów, leciały nad niskimi dachami, lecz nie mogły roze-gnać mętnych i dusznych par, kłębiących się u drzwi i okien domów.

Miasteczko jednak, pomimo mgły i wyziewów, które je napępniały, miało pozór wesoły i świąteczny. Z za szarych, kłębistych zasłon tysiące okien błyskało oświetleniem rześistém, a z za oświetlonych okien wydobywały się na zewnątrz odgłosy gwar-nych rozmów lub zbiorowych modłów. Ktokolwiek-by, przechodząc ulicami, zajrzał z kolei przez to i owo okno do wnętrza tego i owego domostwa, ujrzałby wszędzie wesołe, rodzinne sceny. Pośrodku izb, mniejszych lub większych, rozpościerały się dłu-

gie stoły, świątecznie nakryte i zastawione; dokoła nich krzątały się kobiety w barwistych czepeach, przynosząc, ustawiając i, z uśmiechami na twarzach, podziwiając umieszczone na stołach dzieła rąk własnych; brodaci mężowie, trzymając w ramionach małe dzieci, przykładali usta swe do ich pulchnych policzków lub, z głośnem emokaniem, podrzucali je aż pod niskie sufity, ku wielkiej ucieście doroślejszych i dorosłych członków rodziny; inni zasiadali na ławach w licznej gromadce i z żywemi gościami gwarzyli o sprawach minionego tygodnia; inni jeszcze, okryci miękkimi fałdami białych tałasów, stali twarzami zwrócenii ku ścianom, a szybkimi ruchy podając postacie swe w tył i naprzód, żarliwą modlitwą gotowali się na spotkanie świętego dnia sabbatu.

Był to albowiem wieczór piątkowy.

I jedno tylko znajdowało się miejsce w całym miasteczku, w którym panowała ciemność, pustka i cisza. Była niém mała, szara chatka, pochyłą, ni-ziuchną ścianą jakby przylepiona do niezbyt wysokiego wzgórza, które wznosiło się z jednej strony miasteczka i stanowiło naokół, pośród ogromnej równiny, jedyną wypukłość gruntu. Wzgórze to zresztą nie było naturalnem. Podanie niesło, iż usypali je tu niegdyś dłońmi własnemi Karaici i wzniesli na niém swoją świątynię. Dziś świątyni kacer-skiej nie było już ani śladu; wzgórze nagie i piaszczyste osłaniało od wichrów i śnieżnych zamieci małą

tylko lepiankę, która też, jakby kornie i wdzięcznie, tuliła się do stóp jego. Nad dachem jęj, na pochyłości wzgórza, rosła wielka grusza dzika. W gałęziach jęj wiatr zeicha szumiał i migotało kilka małych gwiazd. Znaczna przestrzeń gruntów pąstych, albo pod uprawę jarzyn zaoranych, oddzielała miejsce to od miasteczka. Cisza nad niemi panowała głęboka i leciały tylko niewyraźne, przytłumione echa dalekiego gwaru; po czarnych w zmierzchu zagonach czołgały się i ciężko ku chatce płynęły, wydobywające się z uliczek miasteczka, grube szlaki pary i mgły.

Wnętrze chatki, z za dwóch malutkich okienek, sklejonych z drobnych, różnokształtnych szkiełek, ukazywało się czarne jak przepaść, a w czarném wnętrzu tęp brzmiał i na zewnątrz z niego wychodził zgrzybiały, trzęsący się, lecz donośny, głos mężki:

— Za dalekimi morzami, za wysokimi górami — mówił z pośród grubych ciemności głos ten — płynie rzeka Sabbathon... Nie wodą ona płynie, nie mlekiem i nie miodem! Płynie ona żwirem żółtym i wielkimi kamieniami.

Chrypiący, trzęsący się, zgrzybiały głos umilkł, i w czarnej otchłani, widnej z za dwóch małych okienek, przez chwilę panowało głębokie milczenie. Przerwały je tym razem dźwięki zupełnie inne.

— Zejde! („dziadek“) mów dalej!

Wyrazy te wymówione zostały głosem dziewi-

czym, dziecinnym prawie, lubo przeciągłym i zamyślonym.

Zejde zapytał:

— A czy oni jeszcze nie idą?

— Nie słyhać! — odparł, bliżej okna odzywający się, głos dziewczęcy.

W głębi czarnej otchłani zaczęło się znowu chrypiące i drżące opowiadanie:

— Za świętą rzeką Sabbathonem mieszkają, cztery pokolenia... cztery pokolenia izraelskie: Gad, Assur, Dan i Nephtali... Te pokolenia uciekły tam od strachów i ucisków wielkich, a Jehowa... niech będzie pochwalone święte imię Jego... schował ich przed nieprzyjaciołmi za rzeką ze żwiru i kamieni... A ten żwir tak wysoko podnosi się jak bałwany wielkiego morza, a te kamienie tak huczą i szumią jak wielki las, kiedy nim wielkie burze kołyszają... A jak przychodzi dzień sabbatu...

Tu nagle urwał się znowu głos zgrzybiały, a po krótkiej chwili zapytał ciszej:

— Jeszcze nie idą?

Długo nie było odpowiedzi. Mogło się zdawać, że druga istota, znajdująca się w czarném wnętrzu lepianki, przed daniem odpowiedzi nadstawiała ucha, słuchała.

— Idą! — wymówiła nakoniec.

W głębi czarnego wnętrza rozległ się przyciszony, przewlekły jęk.

— Zejde! mów dalej! — rzekł bliżej okna głos dziewczęcy, tak samo czysty i dźwięczny, jak wprzód, mniej tylko dziecięcy w tej chwili, silniejszy.

Zejde nie mówił dalej.

Od strony miasteczka ku lepiance przypartej do wzgórza leciał i zbliżał się wciąż wrzask dziwny. Złożony on był z biegu kilkudziesięciu par nóg ludzkich, z piskliwych krzyków i srebrnych, zanoszących się śmiechów dziecinnych. Wkrótce na pustej przestrzeni ukazał się w zmierzchu wielki punkt ruchomy, toczący się jakby po powierzchni czarnych gruntów. Wkrótce punkt ten znalazł się tuż obok lepianki, rozproszył się na kilkadziesiąt drobnych cząstek, które wszystkie, z krzykiem, piskiem, śmiechem i wrzaskiem nieopisanym, rzuciły się do ścian pochyłych i niskich okienek.

Były to dzieci, chłopcy różnego wieku. Najstarszy z nich mógł mieć lat czternaście najmłodszy — pięć. Ubioru ich w ciemności dojrzeć nie było podobna, ale z pod małych czapek, albo wielkich, splątanych włosów, oczy ich połyskiwały blaskiem namiętnej swawoli i innych jeszcze może, żywo rozbudzonych, uczuć.

— Gut Abend! Karaime! — wrzasnęła jedno-głośnie zgaja ta, stukając pięściami we drzwi, z wewnątrz zaryglowane, i wstrząsając ramami okien, w których słabiej oprawie dzwonić poczęły drobne szyby.

— A czemu ty światła w sabbat nie zapalasz? A czemu ty jak dyabeł w czarnej norze siedzisz? Kofrim, iberwerfer! niedowiarku! odszczepieńcze! — krzyczeli starsi.

— Alejdyk giejer! oreman! miszugener! Hultaj! żebrak! waryat! — z całej piersi swęj wrzeszczeli młodszy.

Łajania, śmiechy i trzęsienie drzwiami i oknami wzmagały się z każdą chwilą, gdy we wnętrzu lepianki ozwał się znowu głos dziewczęcy, spokojny jak wprzód i dźwięczny, ale tak silny, że przebił sobą kipiącą dokoła wrzawę.

— Zejde! mów dalej!

— Aj! aj! aj! aj! — odpowiedział z głębi głos: zgrzybiały — jak ja będę mówić, kiedy oni tak krzyczą! tak krzyczą! i tak łają!

— Zejde! mów dalej!

Tym razem głos dziewczyny brzmiał niemal rozkazująco. Nie był już wcale dziecinnym. Czuć w nim było ból, wzgardę i walkę o zachowanie spokoju.

Jak smutny śpiew, wmieszany w ryk i wycie wzburzonych żywiołów, tak w dziką wrzawę dziecięcej tłuszczy, łajacęj, miauczacęj, wyjącęj i śmiejącęj się, wmieszały się drżące, jęgliwe słowa.

— A w święty dzień sabbatu Jehowa, — niech będzie pochwalone święte imię Jego, — daje spoczynek świętęj rzece Sabbationowi... Żwir przestaje

płynąć jak wielkie bałwany, i kamienie nie huczą jak las... tylko z nad rzeki, co leży i nie rusza się, powstaje wielka mgła, taka wielka, że aż wysokich obłoków dostaje i chowa znów przed nieprzyjaciołmi cztery pokolenia Izraelskie: Gad, Assur, Dan i Ne-phtali...

Niestety! dokoła lepianki z pochyłemi ścianami i czarnem jak otechłań wnętrzem nie płynęła święta rzeka Sabbathon i ani bałwaniącym się żwirem, ani wysoką mgłą nie zasłaniała mieszkańców jój przed nieprzyjaciółmi!

Nieprzyjaciele ci byli mali, ale było ich wielu. Z ostatecznem wysileniem złośliwej swawoli kilkunastu z nich targnęło ramami lichych okienek, kilka szybek dźwięknęło silniej i rozleciało się w kawałki. Chóralny krzyk tryumfu rozległ się daleko po polu z jednéj strony, a pustych gruntach z innéj. Przez pozostałe po szybach otwory posypały się do wnętrza chatki grudki ziemi i drobne kamyki. Głos zgrzybiały, bardziej jeszcze usunięty w głąb, jakby istota ludzka, do której należał, tuliła się gdzieś w najdalszym kącie, trzęsąc się i chrypiąc coraz bardziej, krzyczał:

— Aj! aj! aj! aj! Jehowa! Jehowa!

Głos dziewiczy, dźwięczny zawsze, powtarzał nieustannie:

— Zejde! sza! Zejde, nie krzycz! Zejde, nie lękaj się!

Nagle z tyłu dziecięcęj zgrai, uczepionęj do ścian, drzwi i okien lepianki, ktoś donośnie i nakazująco zawołał:

— Sztyl Bube! A co to wy wyrabiacie tutaj, niegodziwe bachory! precz!

Dzieci umilkły nagle i odpadać zaczęły jedne po drugich od belek, klamek i ram.

Człowiek, który donośnym i rozkazującym dźwiękiem głosu swego sprawił to uciszenie się, wysoką miał i kształtną postawę. Długie ubranie jego obci-
było i dostatnio obłożone futrem. Twarz jego mroku wydawała się białą, a oczy połyskiwały tak ognście, jak młode tylko oczy połyskiwać mogą.

— A co wy tu wyrabiacie! — powtórzył głosem gniewnym i stanowczym, — czy tu, w tęg chacie, wilmieszkają, żeby tak na nich krzyczćć i łając okna im tłuc?

Chłopczy milezeli z razu i skupili się w jedną, ściślą gromadkę. Po chwili wszakże jeden z nich, najwyższy wzrostem i najśmielszy snadź także, sarknął:

— A czemu oni w szabas światła nie zapalają?

— A co wam do tego? — rzekł przybyły.

— Nu! a co tobie do tego? — bronił się krnąbrny chłopiec, — my tu co tydzień przychodzim i tak samo robim... to i co?

— Ja wiem, że wy co tydzień tak robicie... to ja i pilnował, żeby was tu kiedy złapać... i dopilnował... nu! gej do domów! żywo!

— A czemu ty, Meir, sam do twego domu nie idziesz? Twoja bobie i twój zejde dawno już rybę bez ciebie jedzą... czemu ty nas ztąd pędzasz, a sam sabbatu nie pilnujesz?

Oczy młodego mężczyzny ogniścięj jeszcze zapłonęły. Uderzył nogą o ziemię i takim gniewnym głosem krzyknął, że młodsze dzieci rozbiegły się wnet w różne strony i tylko najstarszy chłopak, jakby na wzgardę dla otrzymywanych przestróg i połażań, pochwycił grudkę błotnistęj ziemi i z zamachem cisnąć ją miał do wnętrza chaty.

Ale dwie silne dłonie porwały go za rękę i za kołnierz od spencerka.

— Chodź! — rzekł młody przybyły — już ja ciebie sam do domu odprowadzić muszę.

Chłopiec wrzasnął zrazu i targnął się. Ale trzymała go dłoń silna i silny, spokojny już głos nakazał mu milczenie. Umilkł i, trzymany wciąż za odzież, pochylił głowę.

Dokoła chatki było już cicho zupełnie. Z głębi ciemnego wnętrza wychodziły ciężkie, chrapliwe westchnienia bardzo staręj piersi jakiegós; a u samego już okienka, o kilku stłuczonych szybkach, zabrzmiał tłumiony głos dziewczęcy:

— Dziękuję!

— Zostańcie w pokoju! — odpowiedział młody mężczyzna i oddalił się, wiodąc z sobą swego małego więźnia.

Więzień i karciciel przebyli w milczeniu parę uliczek miasteczka i, wszedłszy na plac środkowy, zmierzali ku jednemu z mieszczących się przy nim domostw.

Domostwo to było niskie, długie, zaopatrzone w podjazd, oparty na drewnianych słupach, i w głęboką sień, przez całą długość domu ciągnącą się, których istnienie zdaleka już zapowiadało tak zwany dom zajezdny. To też okna, umieszczone z jednej strony budowy a należące do izb przeznaczonych dla podróżnych gości, ciemne były zupełnie. W innych za to, w tych, które znajdowały się tuż naprzeciw mizernych, źle pobielonych słupów podjazdowych, i o pół łokcia zaledwie wzniesione były nad ziemię, przysypaną grubą warstwą siana, słomy i wszelkiego rodzaju śmiecia, — mętnie z za brudnych szyb połykiwały sabbatowe światła.

Zajezdny dom ten był własnością Jankla Kamionkera, męża zajmującego wysoki urząd w zarządzie kahalnym, a wśród ludności izraelskiej miasteczka i okolic wysoko poważanego, dla wielkiej pobożności, uczoności i niemniejszej też umiejętności, z jaką prowadził swe interesa i powiększał swój majątek.

Młody mężczyzna wraz z dzieckiem, które wiódł za rękę i które zresztą nie tylko nie zdawało się zmartwionem swém położeniem, ale owszem podskakiwało, idąc, co kilka kroków, i nuciło sobie swobodnie, — przebył miękki od śmiecia i elastycznie pod

stopami uginający się grunt, wśród słupów podjazdowych i okien oświetlonych położony; wszedł do głębokiej sieni, w której ciemnych zapadłościach koń jakiś uderzał kopytem o ziemię i krowa jakaś zapewne głośno przeżuwała; omackiem wynalazł drzwi, ku którym wstępowało się po trzech spróchniałych, chwiejących się wschodkach, i, nawpół je otworzywszy, wepchnął przywiedzionego malca do wnętrza mieszkania.

Uczyniwszy to, nie cofnął się jednak, ale, wsuwając głowę przez nawpół otwarte drzwi, zawołał:

— Rebe Jankiel! ja tobie Mendela przyprowadził. Połaj go, albo i ukarz swoją ojcowską ręką. On włóczy się w ciemnościach po miasteczku i na niewinnych ludzi napada!

Przemowa ta donośnym głosem wypowiedziana, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Z wnętrza mieszkania wychodziło tylko na zewnątrz nieustające i zawodzące mruczenie, półgłosem i żarliwie modlącego się człowieka.

Przez drzwi, które młody człowiek trzymał wciąż nawpół otwartymi, widać było izbę dość dużą, o ścianach bardzo brudnych i ogromnem piecowisku, czarnem od pyłu i sadzy. Pośrodku izby stał długi stół, nakryty płótnem wątpliwęj czystości, lecz rzęsiście oświetlony siedmiu płomykami świec, palącemi się w zawieszonym u sufitu świeczniku. Uczta sobotnia jeszcze się nie była rozpoczęła, bo jakkolwiek

z dalszego wnętrza mieszkania dochodził wielki gwar głosów kobiecych i dzieciennych, znamionujący liczną rodzinę, w izbie z piecowiskiem i długim stołem nikogo nie było, prócz człowieka, który stał w kącie plecami zwrócony do drzwi od sieni, a twarzą do ściany. Człowiek ten był średniego wzrostu, bardzo chudy i nadzwyczaj giętki. Mówiąc *stał*, nie do-
 dobrze określamy położenie jego postaci, na które wszakże odpowiednie wyrażenie znaleźć-by trudno. Nie chodził on wprawdzie i nie skakał, a jednak w ustawicznym i gwałtownym zostawał ruchu. Głowę swą, okrytą silnie rudemi włosy, rzucał w tył i na przód, pochylał giętką i cienką swą postać aż prawie do samej ziemi i odrzucał ją znów w tył z nadzwyczajną szybkością. Od gwałtownych ruchów tych szeroko rozwiewały się białe fałdy tałesu, którym był okryty; trzęsły się i rozwiewały długie przewiązki, ściskające rękę jego nieco powyżej pięści; trzęsła się i za ramiona rozwiewała długa, gęsta, ruda broda; opadała mu prawie na czoło tefila, spoczywająca, a raczej podskakująca, na jego głowie. Z gwałtownemi ruchami temi zgadzały się też i odgłosy, wychodzące z ust jego i piersi, to szemrzące z cicha, to wybuchające namiętnemi krzyki, to wylewające się przeciągłym, żalospnym, zawodzącym śpiewaniem.

Młody człowiek, stojący u progu, dość długo patrzył na postać tę, modlącą się tak całą duszą, albo

raczej całym swym ciałem. Czekał widocznie przerwy w modlitwie lub jej końca. Wiadomym jednak było powszechnie, że długo czekać-by musiał ten, którykolwiek chciałby widzieć Reba Jankla kończącego modły swe, gdy raz modlić się zaczął. Oczekującemu na to w tej chwili młodemu człowiekowi na sercu snadź leżała złośliwa swawola małego Mendela. Był on może zresztą z natury już swój niecierpliwym i porywczym.

— Rebe Jankiel — rzekł głośno po dość długiej chwili, — twój syn włóczy się po nocach i na niewinnych ludzi napada!

Nie było odpowiedzi.

— Rebe Jankiel! twój syn łaje niewinnych ludzi bardzo brzydkimi wyrazami!

Rebe Jankiel modlił się wciąż z jednaką gorliwością.

— Rebe Jankiel! twój syn biednym ludziom biedne małe ich szyby po nocach tłucze!

Rebe Jankiel przewrócił kilka kart dużej księgi, którą trzymał w obu rękach i śpiewnie, tryumfująco, rozgłosnie zawiódł:

— Śpiewajcie Panu pieśń coraz nową, albowiem On stworzył wszystkie cuda! Śpiewajcie! grajcie! na arfach grajcie z głośnym przyśpiewywaniem. W trąby i rogi dzwońcie przed Królem, Panem!...

Ostatnim wyrazom towarzyszyło zamknięcie się drzwi od sieni. Młody człowiek szybko zbiegł z ko-

łyszających się pod stopami jego schodków i, opuściwszy ciemną, ogromną sień, brnął znowu po wyścielającym podjazd śmiecku. Kiedy mijał ostatnie z oświetlonych okien, do uszu jego doszedł śpiew, półgłosem nucony. Zatrzymał się; i każdy, na miejscu jego znajdując się, uczyniłby to samo. Śpiew to był męzki, młody, czysty jak dźwięk pereł, miękki jak szmer skargi, nabrzmiały prośbą, smutkiem i tęsknotą.

— Eliezer! — szepnął przechodzień i stanął u niskiego okna.

Okno to miało szyby czystsze daleko od tych które znajdowały się w innych oknach, — zupełnie nawet czyste. Widać było przez nie malutką izdebkę, w której, oprócz łóżka, stołu i szafy z księgami, nic więcej nie było. Na stole paliła się mała, żółta świeczka, a przy stole, łokciami na nim wsparty i z głową w dioniach, siedział młody, dwudziestoletni chłopak, z nadzwyczaj białą, ściągłą, łagodną twarzą. Na twarzy tej nie było śladu rumieńca, ale wydatne usta jego, wolne od wszelkiego zarostu, posiadały koralową barwę. Z ust tych wychodził ów śpiew prześliczny, który zwrócić-by mógł na siebie zachwyconą uwagę największego choćby z mistrzów muzyki.

Nie dziw też! Eliezer, syn Jankła, był kantorem gminy Szybowskiiej, piewcą ludu i Jehowy.

— Eliezer! — powtórzył się za oknem szept miękki i przyjazny.

Śpiewak szept ten usłyszeć musiał, bo szyby

w oknie były pojedyncze, a on blisko nich siedział. Podniósł też powieki i zwrócił ku oknu źrenice błękitne, omglone, łagodne i smutne. Nie przerwał jednak śpiewu swego, ale owszem podniósł w górę obie dłonie, białe jak alabaster, i w ekstatycznej postawie téj, z zachwyconym wyrazem twarzy, zanucił głośniej:

— Ludu mój! zrzuć z siebie kurzawę dróg ciężkich! powstań i przywdziej szatę piękności swojej! Pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

Stojący u okna młody człowiek nie wzywał już więcej po imieniu piewcy, modlącego się za lud swój. Odszedł, z ostrożnym uszanowaniem tłumiąc odgłos swych kroków, a idąc pustym, ciemnym placem ku znajdującemu się nieopodal, wielkiemu, nieoświetlonemu domowi, spoglądał na kilka gwiazd blado z za wilgotnej, dusznej mgły świecących, i zcichła, w głębokiej zadumie nucił:

— Pośpiesz! ach, pośpiesz z ratunkiem ludu Twego, Jedyny! Niepojęty! Boże ojców naszych!

II.

Wielki, rzęsiście oświetlony dom, stojący naprzeciw brunatnej świątyni i całą szerokością placu z nią rozdzielony, był tym samym, który zbudował był Hersz Ezofowicz, i w którym żył z piękną żoną swą Frejdą. Stuletnie ściany jego, oddawna już poczerniałe od słót i kurzawy, stały jednak prosto i wysokością swą górowały nad wszystkimi innemi w całym miasteczku.

Od godziny już, we wnętrzu domu tego, w izbie dużej i ostawionej staroświeckimi, niezmiernie prostymi ławami i stołami, rozpoczął się już był obchód spotykania świętego dnia sabbatu.

Z pomiędzy kilkudziesięciu osób różnej płci, które przybywały stopniowo i napełniały izbę, powstał gospodarz domu i naczelnik rodziny, Saul Ezofowicz, syn Hersza, i przybliżył się do ogromnego stołu, nad którym wisiały dwa ciężkie, szczerosrebrne, siedmioramienne świeczniki. Starzec ten, z którego pochy-

loniej nieco, lubo barczystej postaci, zoraniej twarzy i brody białej jak mleko, odgadnąć można było ośmdziesiąt z górą lat wieku, wziął z ręki najstarszego z synów swoich, siwiejącego już męża, płomyk migocący na długim kiju, i podnosząc go ku świecom, umieszczonym w świecznikach, suchym od starości, lecz silnym jeszcze głosem, zawołał:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, któryś oświecił nas przykazaniami Twojemi i rozkazał nam zapalać światła w dzień sabbatu!

Zaledwie to wymówił, w świecznikach zapłonęło kilkanaście światel, a z kilkudziesięciu piersi wybuchnęło zbiorowym okrzykiem:

— Pójdźmy! pójdźmy spotykać oblubienicę! Z witaniem dobrą sabbatu spotkajmy!

...Zapłon! zapłon, światło królewskie! Z gruzów swych powstań, stolico! Dosyć ci mieszkać w dolinie płaczu!

...Ludu mój! strząśnij z siebie kurzawę dróg ciężkich! Przyodziej się szatą piękności swojej! Pośpiesz, ach, pośpiesz z ratunkiem ludu swego, Boże ojców naszych!

..Pójdźmy! pójdźmy! spotykać oblubienicę! Z witaniem dobrą sabbatu spotkajmy!

Długi, śpiewny, gorący gwar modlitw, które następowały jedna po drugiej, napelniał wielką izbę i wezbranemi falami rozchodził się po-za okna, daleko, po obszernym, ciemnym i pustym placu.

Dosłyszał go już zdala młody człowiek, w zamyśleniu plac przebywający, i przyspieszył kroku. Kiedy, przeszedłszy ganek, wzniesiony nad ziemię kilku wschodami, oraz długą wąską sien, rozdzielającą dom na dwie połowy, otworzył drzwi do izby, która płonęła cała od światła, modlitwy zamieniły się już były na rozmowy, a zgromadzone towarzystwo, ze śladami jeszcze uroczystego nastroju ducha na twarzach, lecz i z wesołemi już uśmiechami, stało przy ławach i stołkach otaczających, stół długi, z wielką obfitością zastawiony.

Towarzystwo to składało się z różnych postaci i fizygnomii. Byli tam dwaj synowie Saula, przy ojcu swym mieszkający, Rafał i Abram, siwiejący już, czarnoocy, o surowych i zamyślonych twarzach mężowie; i zięć Saula, jasnowłosy, blady, ze szklisto-lagodnym okiem, Ber; były córki, synowe i wnuczki gospodarza domu, niewiasty dojrzałe, z okazałemi kibiciami i wysokimi czepcami na starannie uczesanych perukach, lub młode dziewczęta o śniadych licach i ogromnych warkoczach, z pod których błyskały młode oczy, rozweselone świętem i strojem świątecznym. Kilku młodych mężczyzn, do rodziny należących, i kilkanaścioro dzieci najróżniejszego wieku otaczało niższy koniec stołu. W miejscu najpokaźniejszym stał stary Saul i z wyrazem oczekiwania na twarzy spoglądał na drzwi, wiodące do dalszych izb domostwa. Po chwili w drzwiach tych

zjawily się dwie kobiece postacie; od jednéj z nich posypały się i zaiskrzyły tęczowe, olśniewające niemal blaski.

Była to kobieta bardzo, bardzo stara, wysoka jednak i bynajmniej nie zgarbiona, owszem, trzymająca się prosto i wyglądająca silnie. Głowę jej otaczał zawój barwisty, którego końce spięte były nad czołem ogromną klamrą z dyamentów. Dyamentowe spięcie zamykało naszyjnik, który, z mnóstwa sznurów ogromnych pereł złożony, opadał na pierś jej aż po związanie śnieżnego fartucha, okrywającego z przodu kwiecistą szeleszczącą ciężkim jedwabiem spódnicę. Dyamentowe też zausznicze, tak długie, że aż dotykały ramion kobiety, a tak ciężkie, że przytrzymywać je trzeba było nićmi, uciepionemi do jej zawoju, mieniły się i migotały blaskami brylantów, szmaragdów, rubinów, i za każdym poruszeniem, z wdzięcznym szmerem uderzały o perły i połyskujące z za nich gruby, złoty łańcuch.

Podobną ilością kosztownych i świetnych ozdób jaśnieć mogą tylko książęce niewiasty na balach, albo — święte relikwie w świątyniach. Stuletnia ta izraelska niewiasta, — przybrana we wszystkie kosztowności, od wieków nabywane i zgromadzone w jej domu, — była snadź dla wszystkich tych ludzi, pośród których teraz wchodziła, wysoką cześć budzącą relikwią rodzinną.

Kiedy, prowadzona przez jedną z prawnuczek

swoich, dziewczynę o smagłej twarzy i kruczym warkoczu, stanęła na progu izby, wszystkie oczy zwróciły się ku niej, wszystkie usta uśmiechnęły się i zaszemrały:

— Bobe! Elte Bobe! Babka! Prababka!

Większość osób wymówiła wyraz ostatni, albowiem więcej tu było prawnuków i pra-prawnuków, niż wnuków. Jeden tylko gospodarz domu i naczelnik rodziny całej rzekł do niewiasty z cicha:

— Mame.

Dziwnie słodko jakoś i uroczyście zarazem zabrzmiał wyraz ten, dziecięcym ustom zwykły, na zwiędłych, żółtych wargach Saula, poruszających się wśród białego jak mléko zarostu. Pod białymi też jak mléko włosami, okrytemi aksamitną jarmułką, przy wymawianiu wyrazu tego wygładziło się zorane czoło jego.

Lecz gdzież podziały się smagłe, gładkie lica, czarne, ogniste oczy i smukła kibić Frejdy, cichej, roztropnej, pracowitej żony i powiernicy Hersza Ezo-fowicza? Przeżyła już ona je oddawna, tak, jak przeżyła męża, pana i zarazem przyjaciela swego. Z upływem czasu kibić jej, cienka niegdyś i wysmukła, rozrosła się i przybrała kształt pnia, który wypuścił z siebie wiele silnych i urodzajnych gałęzi. Twarz jej pokryta była teraz takim mnóstwem drobniutkich zmarszczek, że wśród nich ani najmniejszego gładkiego miejsca wynaleźć nie byłoby podobna; oczy

zmniejszyły się, zapadły i spoglądały z za pomarszczonej, z rzęs ogołoconej powieki spłowiałą, blado żółtawą źrenicą. Ale na twarzy tej, zmiętej w dłoni czasu, rozlewał się spokój niezmacony i słodki. Małe, złotawe źrenice spoglądały dokoła z uśmiechającą się ciszą ducha, usypiającego wśród błogich dlań szmerów; cichy uśmiech słodkiego usypiania okrażał żółte, zaledwie widne wargi, które oddawna już milknąć poczęły, otwierając się coraz rzadziej, dla wymawiania coraz krótszych wyrazów.

Teraz ramieniem, ubranem w biały, bufiasty rękaw, otaczając szyję hożej i silnej dziewczyny, stanęła ona przy rodzinnym stole i z za mrużącój się od rzęsistych światel powieki powiódłszy spojrzeniem po twarzach wszystkich otaczających, wymówiła głośnym szeptem:

— Wo ist Meir?

Prababka przemówiła...

Zgromadzenie całe poruszyło się od słów jej, niby drzewa od powiewu wiatru. Mężczyźni, kobiety i dzieci oglądali się jedni na drugich i po wielkiej izbie rozszedł się szept gromadny:

— Wo ist Meir?

Wśród wielkiej ilości zebranych tu członków rodziny, nieobecność jednego z nich zauważoną nie została.

Stary Saul nie powtórzył pytania matki, ale czoło jego zmarszczyło się bardziej jeszcze; a oczy z su-

rowym i gniewnym nieco wyrazem patrzyły na drzwi od sieni.

Drzwi te otworzyły się w tej chwili. Do izby wszedł wysoki i kształtny mężczyzna, w długim ubraniu, obłożonem u szyi i piersi kosztownem futrem. Wszedł, zamknął drzwi za sobą i stanął przy progu, onieśmielony jakby, czy zawstydzony. Spostrzegł, że spóźnił się, że wspólne rodzinne modlitwy odmówionemi zostały bez niego, że oczy dziada jego, Saula, dwóch stryjów i kilku starszych kobiet, spotkały go wejrzeniem surowego wyrzutu i badawczego pytania.

Tylko złotawe źrenice prababki nie błysnęły na widok wchodzącego gniewem, ni niepokojem. Owszem, powiększyły się one i zajaśniały radością. Zmarszczone powieki jej nawet drżeć i mrużyć się przestały, a żółte, wąskie wargi poruszyły się i wymówiły takim, jak wprzód, szeptem, głośnym, choć bezdźwięcznym:

— Ejnyklchen! Kleiniskind! wnuczku! dzieciątko!

Na dźwięk szeptu tego, brzmiącego radością i pieszczotą, zamknęły się usta Saula, które otwierały się już były dla wymówienia surowych słów zapytania lub wyrzutu; spuściły się ku stołowi pytające i gniewne oczy dwóch synów jego. Spóźnionego przybysza powitało tylko ogólne milczenie, które jednak przerwiała znowu prababka, powtarzając raz jeszcze:

— Kleiniskind!

Saul wyciągnął ręce nad stołem i półślosem podał obecnym motyw modlitwy, odmawianej przed uczną sobotnią.

— Błogosławionym niech będzie Pan...—zaczął.

— Błogosławionym niech będzie... — rozszedł się po izbie gwar przytłumiony, i wszyscy stali przez minut kilka dokoła stołu, modlitwą poświęcając znajdujące się na nim potrawy i napoje.

Przybyły młody człowiek nie połączył się jednak z chórem ogólnym, lecz, usunąwszy się w głąb' izby, odmawiał opuszczone przez się dnia tego modlitwy sobotniego Kiduszu. Czyniąc to, nie dokonywał ciałem swem żadnych poruszeń, ręce spokojnie miał skrzyżowane na piersi, a wzrok nieruchomo utkwiony wokno, za którym wisiała głęboka ciemność wieczoru.

Oblicze jego, ściągłe i łagodnie zarysowane, okryte było bladością, właściwą naturom nerwowym i namiętym. Bujne, ciemno-płowe włosy ze złotymi odbłyskami, opadały mu na białe czoło, z pod którego oczy, głęboko osadzone, z wielką, szarą, błyszczącą żrenicą, patrzyły wejrzeniem zamyślonem i trochę smutnem. W całym zresztą wyrazie twarzy młodego człowieka tego mieszały się z sobą cechy chmurnego prawie smutku i dziecięcej nieledwie nieśmiałości. Czoło i oczy jego zdradzały tajemną myśl jakąś dolegliwą, niespokojną, ale cienkie usta posiadały zarys miękkiej czułości i zaledwie dostrzegalnie

drżały od chwili do chwili pod wpływem jakby tajemnie doznawanej obawy. Zwierzchnią wargę i krawiec policzków okrywał mu gęsty puch złotawy, objawiający, iż dosięgnął już lat dziewiętnastu lub dwudziestu wieku: pory więc życia, która dla wcześniej dojrzewających mężów izraelskiego plemienia uważana bywa za pozwalającą już, a nawet zmuszającą niejako, do zajęcia się, na własną rękę, rodzinnymi i życiowymi sprawami. Kiedy młody człowiek ukończył swe modlitwy i zbliżył się do stołu, aby zająć przy nim zwykle swe miejsce, z pośród zgromadzonych odezwał się głos chrapliwy nieco i zanoszący się w taki sposób, jakby mówiący człowiek każdy wyraz swój, nie wymawiał, lecz wyspiewywał.

— A gdzie ty, Meir, był dziś tak długo? co ty tak późno robił w mieście, kiedy już sabbat rozpoczął się, i nikomu nie robić nie wolno? Dlaczego ty dziś sobotniego Kiduszu z całą swoją rodziną nie odprawił? Czemu u ciebie czoło takie blade i oczy takie smutne, kiedy dziś sabbat—wesoły dzień, w Niebie cała niebieska rodzina cieszy się, a na ziemi wszyscy pobożni ludzie cieszyć się powinni i dusze swoje utrzymywać w wielkiej radości?

Wszystko to wypowiedzianem zostało przez człowieka dziwnie wyglądającego. Był to człowieczek raczej—mały, chudy, suchy, z wielką głową, jeżącą się twardemi, ciemnymi włosy, z twarzą ciemną, okrągłą, opatrzoną wielką brodą, zdradzającą śmiertelny

wstręt do grzebienia i szczotki, i z okragłemi oczyma, które z za wypukłej powieki ruszały się z szybkością nieporównaną, rzucając dokoła przelotne, ostre błyski. Chudość i suchość ciała człowieka tego uwydatnione były strojem dziwniej jeszcze, niż on sam, wyglądającym. Był to też strój prostoty niezwykłej, bo składający się z jednój koszuli tylko, a raczej z woru, który, zszyty z szarego szorstkiego płótna, u szyi i w pasie grubym sznurem z konopi przewiązany, opadał aż do ziemi i nawpół przykrywał ciemne, bose zupełnie nogi.

Kim był człowiek ten w stroju ascety, z oczyma fanatyka, a z ustami pełnemi wyrazu mistycznego, głębokiego, pijanego niemal rozradowania? Był to Reb Mosze, mełamed, czyli nauczyciel religii i hebrajskiego języka, doskonały, pobożny; w wichry, sloty, mrozy i upały jednostajnie bosonogi i w płócienny swój wór przyodziany; na wzór ptaków niebieskich, żyjący niewiedzieć czém — ziarnem jakim chyba, tu i ówdzie rzuconém; prawe oko zresztą i prawa ręka wielkiego rabбина Szybowskiego, Izaaka Todrośa, i pierwszy po rabbinie tym przedmiot czci i podziwu dla gminy całej.

Usłyszawszy tłumnie wychodzące z ust mełameda a ku niemu zwrócone pytania, Meir Ezofowicz, prawnuk Hersza, a wnuk starego Saula, nie usiadł jeszcze przy stole, ale wyprostowany, ze spuszonem ku ziemi

wzrokiem, głosem przytłumionym widoczną nieśmiałością, odpowiedział:

— Rebe! ja nie był tam, gdzie weselą się, albo dobre interesa robią. Ja był tam, gdzie ciemno, i gdzie w ciemnościach bardzo biedni ludzie siedzą i płaczą...

— Nu! — zawołał melamed, — a gdzie to dziś smutno być może? Dziś sabbat, wszędzie jasno i wesoło... gdzie dziś może być ciemno?

Kilku starszych członków rodziny podniosło głowy i chóralnie powtórzyło zapytanie:

— Gdzie dziś może być ciemno?

I wnet potem chóralne znowu wybuchnęło pytanie:

— Gdzieś ty był, Meir?

Meir nie odpowiadał. Na twarzy jego, o spuszczonej powiekach, malowała się nieśmiałość i głęboko nurtujące wahanie się.

Nagle jedna z dziewcząt, siedzących u niższego końca stołu, ta sama, która przed chwilą wprowadziła była do rodzinnego koła starą prababkę, dziewczyna ze smagłą twarzą i czarném figlarném okiem, zawołała wesoło, uderzając w dłonie:

— Ja wiem gdzie dziś jest ciemno!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej i wszystkie usta zapytały:

— Gdzie?

Pod wpływem ściągniętej na siebie powszechnej uwagi Lija zarumieniła się i ciszej już, z niejakiem zawstydzeniem, rzekła:

— W chacie Abła Karaima, — tój, co tam przy karaickim pagórku stoi.

— Meir! czy ty był u Karaimów?

Pytanie to wymówione zostało przez kilkanaście głosów, z pośród których wyróżniał się wszakże, wszystkie inne przenosząc, piskliwy, ostry głos mełameda.

Na onieśmiałą dotychczas twarz młodego człowieka wybijać się począł wyraz przykrego i gniewnego nieco rozdrażnienia.

— Ja u nich nie był, — odpowiedział głośniej już nieco niż wprzód, — ale ja ich od wielkiej napaści obronił.

— Od napaści? od jakiej napaści? a kto na nich napadał? — drwiącym tonem zapytał mełamed.

Tym razem Meir podniósł powieki i błyszczące źrenice utkwil w twarzy pytającego.

— Reb Mosze! — rzekł, — ty wiesz kto na nich napadał. Napadali na nich twoi uczniowie... Oni tak co piątek robią... a dlaczego oni nie mają tak robić, kiedy wiedzą...

Zatrzymał się i spuścił znowu oczy. Obawa i gniewne uczucie walczyły w nim widocznie.

— Nu! co oni wiedzą? dla czego ty, Meir, nie skończył? Co oni wiedzą? — śmiał się Reb Mosze.

— Wiedzą, że ty, Reb Mosze, pochwalisz ich za to...

Mełamed podniósł się nieco na krześle, oczy jego

zaiskrzyły się i szeroko rozwarły. Wyciągnął ciemną, chudą rękę i chciał coś mówić, ale nie dopuścił go tym razem do słowa silny już i dźwięczny głos młodego człowieka.

— Reb Mosze, — mówił Meir, pochylając nieco przed melamedem głowę, która widocznie z trudnością poddawała się kornym pokłonom — Reb Mosze, ja szanuję ciebie... ty mnie uczył... ja ciebie nie pytam, dlaczego ty swoim uczniom nie zabronisz biednym ludziom w ciemnościach gwałty wyrządzać... ale ja sam na te gwałty patrzeć nie mogę... mnie serce boli jak na nie patrzę, bo do głowy mi myśl przychodzi, że z takich złych dzieci będą źli ludzie; i że kiedy one teraz trzęsą biedną chatą starca i kamienie na niego przez okna rzucają, to potem będą domy podpalać i ludzi zabijać! Oni-by dziś tę biedną chatę rozwalili i tych biednych ludzi pozabijali, żebym ja tam nie przyszedł i nie obronił... ale ja przyszedłem i obroniłem.

Przy ostatnich wyrazach Meir usiadł za stołem na przeznaczoném dla siebie miejscu. Nie było już na twarzy jego obawy ni nieśmiałości. Głęboko snadź czuł słuszość swój sprawy, bo śmiałym wzrokiem spojrzał dokoła i tylko usta jego zadrgały, w sposób właściwy naturom świeżym i wrażliwym. W tejże jednak chwili stary Saul i dwaj synowie jego podnieśli ręce w górę i jednogłośnie wymówili:

— Sabbath!

Głosy ich były uroczyste, a wzroki, które na Meira zwracali, surowe i niemal gniewne.

— Sabbat! Sabbat! — podskakując na krześle swém i szeroko rozrzucając rękoma, podchwycił mełamed. — Ty, Meir, w święty wieczór sabbatu, zamiast Kidusz odmawiać i ducha swego wielką radością napelniać i oddawać go w ręce Anioła Matrikona, co pokolenia Jakóba przed Bogiem broni, ażeby on je oddał w ręce Sar-ha-Olama, co jest Aniołem nad Aniołami i Książęciem świata, ażeby Sar-ha-Olam oddał go dziesięciu Sefirotom, co takie wielkie siły są, że cały świat stworzyły, ażeby przez te dziesięć Sefirotów duch twój dostał się aż do tego wielkiego tronu, na którym siedzi sam En-Sof, i z nim pocałunkiem miłości złączył się, — ty, Meir, zamiast wszystko to robić, chodził bronić jakichś ludzi od jakichś napaści, domu ich pilnował i życia ich strzegł! Meir! Meir! ty sabbat naruszył! tobie trzeba iść do szkoły i przed całym ludem oskarżyć się głośno, że ty wielkie grzechy i wielkie zgorszenia wyrabiasz!

Przemowa ta mełameda wywarła na zgromadzeniu całém silne wrażenie. Saul i synowie jego wyglądali groźnie; kobiety zdumione były i przerażone; w czarnych oczach Lii, która pierwsza zdradziła tajemnicę stryjecznego brata, kręciły się nawet łzy. Tylko zięć Saula, łagodny, błękitnooki Ber, spoglądał na oskarżonego ze smutnem jakby współczuciem, a kilku młodych ludzi, rówieśników Meira lub młod-

szych od niego, patrzali w twarz jego jak w tęczę z ciekawością i niepokojem przyjaznym.

Meir odpowiedział drżącym trochę głosem:

— W świętach księgach naszych, Reb Mosze, w Torze, ani w Misznie, niema nic o Sefirotach, ani o En-Sofie. Ale tam za to wyraźnie stoi, że *Jehowa*, choć sabbat święcić rozkazał, pozwolił jednak, aby dwudziestu ludzi naruszyło go dla ratowania jednego człowieka.

Samo już odpowiadanie mełamedowi, doskonałemu pobożnemu i prawej ręce rabbina Todrosa, było zuchwałością niesłychaną i zdumiewającą. Cóż dopiero, gdy w odpowiadaniu tём mieściło się, niewyraźne chociażby, zaprzeczenie sądom jego! To téż wypukłe oczy mełameda ledwo nie wystąpiły ze swych zagłębień, tak roztworzyły się szeroko i tak rozjątrzoném spojrzeniem okryły pobladłą nieco wśród utarczki twarz Meira.

— Karaimy! — krzyczał, miotając się na swym stołku i rękoma chwytając się brody swój i włosów, — ty Karaimów ratowa! odszczepieńców! niedowiarków! wyklętych! Na co ich ratować? Dlaczego oni w sabbaty światel nie zapalają i w ciemnościach siedzą? Dla czego oni zwierzęta i ptaki, co do jedzenia służą, nie z przodu, ale z tyłu szyi zarzynają? dla czego oni Miszny, Gemary i Zoharu nie znają?

Zachłysłnął się z uniesienia wielkiego i umilkł,

a w przerwie téj ozwał się czysty i dźwięczny głos Meira:

— Rebe! oni są bardzo biedni!

— En-Sof mściwy jest i nieubłagany!

— Oni cierpią wielkie prześladowania od ludu!

-- Niepojęty ich prześladuje! — krzyczał Rebe.

— Przedwieczny prześladować nie każe. Rabbi Huna powiedział: jeżeli prześladowający sprawiedliwym nawet jest, a prześladowany złoczyńcą, Przedwieczny ujmuje się za prześladowanym!

Reb Mosze płomienne miał rumieńce na ciemnych policzkach.

Oczy jego zdawały się zjadać, pożerać bladą twarz młodzieńca, o pałającym, śmiałem już teraz wejrzeniu i ustach drżących mnóstwem niedopowiedzianych, przemocą w piersi tłumionych, wyrazów.

Zebrańnię całe miało pozór zdumienia, przerażenia, smutku. Sprzeczka podobna z melamedem jednym wydawała się grzechem, innym jeszcze i niebezpieczeństwem dla zuchwałego młodzieńca, nawet i dla całej jego rodziny.

To téż Saul, z pod siwych swych brwi najeżonych, wlepił groźne wejrzenie w twarz wnuka i przeciągle ku niemu syknął: — Szaaa!

Meir pochylił przed dziadem głowę, na znak pokory i poddania się, a jeden z synów Saula, dla złagodzenia gniewu Reb Mosza, a zapewne téż i dla własnego zbudowania, zapytał go: jakie różnice zachodzą

między powagą i świętością ksiąg Talmudycznych a Zoharu, księgi Kabały? i czy doskonały pobożny zajmować się powinien badaniem pierwszych raczej, czy drugich?

Wysłuchawszy zapytania tego, mełamed obu łokciami szeroko rozparł się na stole, oczy swe nieruchomo i z wyrazem głębokiego namysłu utkwiał w przeciwległej ścianie i z wolna, uroczystym głosem, mówić zaczął:

— Simon ben Jochai, wielki Rabbi, co żył okropnie dawno temu i wiedział wszystko, co w Niebie i na ziemi dzieje się, powiedział: Talmud — to wieczemna niewolnica, a Kabała — to wielka królowa. Czém Talmud napełniony? On napełniony bardzo małemi, podrzędnemi rzeczami. On uczy: co czyste jest, a co nieczyste; co pozwolone, a co niepozwolone; co skromne, a co nieskromne. A czém Zohar, księga blasku, księga Kabały, napełniony? On napełniony wielką nauką: czém jest Bóg i jego Sefiroty. On ich wszystkich imiona zna i naucza, co oni robią i jak oni świat budują. W nim napisane, że Bóg nazywa się En-Sof, a drugie jego imię — Notarykon, a trzecie jego imię — Gomatrya, a czwarte jego imię — Zirufh. A Sefiroty, co są wielkimi niebieskimi siłami, nazywają się: źródło człowiecze, narzeczona, biała głowa, wielka twarz, mała twarz, lustro, piętro niebieskie, piętro ziemskie, lilia i ogród jabłeczny. A Izrael nazywa się Matrona, a Bóg dla Izraela na-

zywa się Ojciec. Bóg, En-Sof, nie stworzył świata: stworzyły go siły niebieskie, Sefiroty. Pierwszy Sefirot urodził siłę boską, drugi—wszystkich Aniołów i Torę (*Biblią*), z trzeciego wyszli prorocy. Czwarty Sefirot urodził z siebie boską miłość, a piąty boską sprawiedliwość, a szósty taką siłę, co wszystko rwie, drze i niszczy. Z siódmego Sefirotu urodziła się piękność, z ósmego wspaniałość, z dziewiątego przedwieczna przyczyna, a z dziesiątego — takie oko, co nad Izraelem ciągle czuwa i za nim po wszystkich drogach jego chodzi i nóg jego strzeże, ażeby nie zraniły się, a głów — aby na nie wielkie nieszczęścia nie spadały. Tego wszystkiego uczy Zohar, księga Kabały; i ona jeszcze uczy: zkąd te Sefiroty wzięły się i jak one rozdzielają się, i jak z liter, które składają ich imiona, i z tych, które imiona Boga składają, wszystkie tajemnice świata odgadywać! I to jest wielka nauka, pierwsza nauka dla każdego Izraelity. Wiem ja, że wielu Izraelitów mówi, iż Talmud ważniejszy; ale oni wszyscy, co tak mówią, głupi są i nie wiedzą o tem, że póty ziemia trząść się będzie od wielkich boleści i póty Bóg i Izrael, Ojciec i Matrona, nie połączą się pocałunkiem miłości, dopóki niewolnica nie ustąpi przed królową, Talmud przed Kabałą. A kiedy ta pora przyjdzie? Ona przyjdzie wtedy, jak na świecie zjawi się Messyas. Wtedy będzie dla wszystkich ludzi pobożnych i uczonych wielkie święto radości! Wtedy Pan Bóg każe ugotować rybę —

Lewiatana, co taka wielka jest, że na niej cały świat stoi, i wszyscy do wielkiej uczty usiądą i rybę tę jeść będą, — pobożni i uczeni od głowy, a lud prosty i nieuczony od ogona!...

Skończył melamed, odetchnął głęboko po długim mówieniu i, spuściwszy wzrok ku stolowi, spadł nagle z mistycznych wysokości ku ziemskim realnościom. Na talerzu bowiem przed nim woniała pieprzem i korzeniami różnemi część wyborniej ryby, nie Lawiatana jeszcze wprawdzie, ale zawsze smacznego wielce jakiegoś mieszkańca wód; melamed zaś, w ascetyczny sposób całe życie swe pędząc, uczty sobotnie lubił i obficie ich używał, przekonany był bowiem, że utrzymywanie ciała i ducha swego we wszechstronnej radości obowiązkiem było, do dnia sabbatu przywiązanym tak samo, jak długie i żarliwe modły. Z resztą więc mistycznej ekstazy w okrągłych oczach i z błogim uśmiechem na ustach, począł ciemną rękoma rozrywać i do ust ponosić podany sobie przysmaki Zgromadzenie przecież całe długo jeszcze po umilknieniu jego — milczało. Mądra przemowa sprawiła na wszystkich prawie obecnych silne wrażenie. Stary Saul słuchał jej z wyrazem głębokiego uszanowania na twarzy. Grube zmarszczki, okrywające jego czoło, drgnęły kilka razy, pod wpływem jakby tajemniczój, nerwowój trwogi. Synowie jego utkwili w stół zamysłone oczy i w skupieniu ducha rozważał mądre nauki Rcb Mosza, mimowoli może szukając

w mrocznych tych przepaściach rozbijałej fantazy ludzkiej przewodniego promyka, któryby je widniejszymi nieco uczynił. Kobiety pospłatały pobożnym giestem dłonie na piersiach, przechylały na znak podziwu głowy swe z jednej strony na drugą i uśmiechnionemi od zachwyty usty szeptały cichuteńko:

— Uczony człowiek! Mądry człowiek! Dosko-
nały pobożny! Prawdziwy uczeń wielkiego Rabbi
Izaaka!

Ktokolwiekby jednak badał w tej chwili uważnie fizyognomie osób stół obsiadających, spostrzedz-by musiał dwa spojrzenia, które, szybkie jak błyskawice, niedostrzegalne wszystkim obecnym, strzeliły wzajem ku sobie w czasie przemowy melameda. Spojrzenia te były Bera i Meira. Pierwszy rzucił ku drugiemu smutnym wzrokiem, drugi odbłysnął mu oczyma pełnemi powściąganego gniewu i szyderstwa. Kiedy melamed mówił o rybie Lewiatanie, tak wielkiej, że cały świat stoi na niej, o rybie, którą w dzień Mesjaszowy uczeni spożywać będą od głowy, a nieuczenni od ogona, — po cienkich intelligentnych wargach Meira przemknął uśmiech. Był to uśmiech podobny do sztyletu. Ukłół on z pewnością boleśnie tego, na czyich ustach się ukazał, zdawało się też, iż radby był ukłóć i tego, kto go wywołał. Ber na uśmiech ten odpowiedział westchnieniem. Ale dostrzegli go trzej czy czterej młodzi ludzie, którzy, naprzeciw Meira siedząc, często nań z wyrazem pytania w oczach

spoglądali; dostrzegli go, i po twarzach ich przebiegły jakby odbłaski lub echa Meirowego uśmiechu... Po chwilowej ciszy, przerywanej tylko dzwonieniem noży o talerze i głośnym poruszaniem się szczęk mela-meda, stary Saul głos zabral:

— Wielkie to są rzeczy, mądre i bardzo straszne rzeczy, o których nam Reb Mosze, niech dzięki jemu będą, opowiedział.. Słuchajcie uczonych mężów, którzy wielką mądrością swoją utrzymują chwałę i moc Izraela, bo napisane stoi, że „uczeni są fundamentem świata”. Kto szanuje ich i o mądre rzeczy, które oni wiedzą, często ich zapytuje, temu przebaczone będą wszystkie grzechy jego życia.

Reb Mosze podniósł twarz z nad talerza i ustami pełnemi jadła, które spożywał, wybełkotał:

— Dobre czyny człowieka sprowadzają na niego nieprzerwany potok łaski i przebaczenia. One otwierają przed nim tajemnice nieba i ziemi i duszę jego zanoszą pomiędzy Sefiroty!

Pełne czci i skupienia ducha milczenie odpowiedziało słowom tym; lecz po kilku sekundach przerwał je, u niższego końca stołu, brząca, dzwieczny głos młodzieńczy.

— Reb Mosze! a co nazywa się dobrym czynem? Co czynić trzeba, aby duszę od grzechu wybawić i ściągnąć na siebie wielki strumień łaski? — głośnie zapytał Meir.

Melamed podniósł wzrok na pytającego. Spójrzania ich spotkały się znowu ze sobą. Bure oczy mela-

meda zaiskrzyły się gniewnie i groźnie; po szarych, przezroczystych źrenicach młodzieńca przelatywały srebrne błyski tajonych jakby uśmiechów.

— Ty, Meir, uczniem moim byłeś i o takie rzeczy pytać się teraz możesz! Czy ja wam nie mówiłem i nie powtarzałem tysiące tysięcy razy, że najlepszym uczynkiem człowieka jest zagłębienie się w świętą naukę? Kto robi to, temu wszystko przebaczone będzie, a kto tego nie robi, ten przeklętym zostanie i od łona Izraela i od świata czystych duchów odpechniętym, choćby ręce jego i serce czyste były jako śnieg...

Wymówiwszy to, zwrócił się do Saula i, ciemnym palcem swym wskazując Meira, rzekł:

— On nie nie umie i nie nie wie! on zapomniał już wszystkiego, czego ja jego nauczył!

Starzec pochylił nieco przed melamedem zbrudzone czoło i pojednawczym głosem rzekł:

— Przebacz jemu, Rebe, to jeszcze dziecko! Jak jemu rozum do głowy przyjdzie, on pozna, że usta jego były bardzo zuchwałe, kiedy on śmiał sprzeciwiać się tobie, i on będzie z pewnością taki uczony i taki pobożny, jak byli wszyscy ludzie rodziny naszej..

Wyprostował się; duma zaświeciła mu w przymglonych od starości oczach.

— Słuchajcie mnie, dzieci, wnuki i prawnuki moje! — wyrzekł. — Familia nasza, familia Ezofowiczów, to nie byle jaka familia. My, dziękować Bogu, —

niech pochwalonem będzie święte imię Jego, — wielkie bogactwa mamy w skrzyniach i na wicinach naszych; ale większe jeszcze są te bogactwa, które my mamy w przeszłości rodziny naszej. Pra-pradziad nasz był Seniozem, starszym nad wszystkimi Żydami, co w kraju tym mieszkali, i bardzo ulubionym od samego króla; a ojciec mój, Hersz, wielki Hersz, miał przyjaźń z największymi panami, i oni go do swoich karet sadzali i, dla wielkiej mądrości jego, wozili go do króla i do sejmu, co wtedy w Warszawie siedział...

Umilkł starzec na chwilę i rozjaśnionemi dumą i tryumfem oczyma spoglądał dokoła. Zgromadzenie całe utkwilo weń oczy, jak w tęczę; melamed schmurzył się i zwolna popijał wino ze sporego kielicha, a stara, drzemiąca już prababka obudziła się nagle i, z za mrużących się powiek błyskając złotawą żrenicą głośnym swym, bezdźwięcznym szeptem zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Po chwili Saul znowu zaczął mówić:

— W naszej rodzinie jest jeden wielki skarb, taki skarb, jakiego niema w całym Izraelu. A skarb ten to długie pisanie, które zostawił pradziad nasz, Michał Senior, i w którym bardzo wielkie i mądre rzeczy napisane stoją... Żebyśmy to mądre pisanie mieli, tobyśmy bardzo szczęśliwi byli; w tem tylko bieda, że nie wiadomo, gdzie to pisanie jest...

Od czasu jak Saul mówić począł o mądrym pisaniu dziada swego, pomiędzy patrzącemi na niego kil-

kudziesięciu parami oczu, dwie pary źrenic zaiskrzyły się namiętnem, ale całkiem sprzecznem, uczuciem. Były to oczy melameda, który chichotał zeicha i zjadliwie, i Meira, który wyprostował się na swém siedzeniu i z palącą ciekawością wpatrywał się w twarz opowiadającego.

— Pisanie to, — mówił dalej Saul, — dwieście lat leżało schowane i nikt go nie tknął. A kiedy dwieście lat skończyło się, znalazł je mój ojciec, Hersz. Gdzie on znalazł, tego nikt nie wie, tylko jedna ta stara prababka...

Tu palcem wskazał na swą matkę i dokończył:

— I ona jedno wie, gdzie on to pisanie znowu schował; ale ona tego jeszcze nikomu nie powiedziała...

— A dla czego ona tego nikomu nie powiedziała? — chichocąc wciąż zjadliwie i zeicha, zapytał melamed.

Saul odpowiedział smutnym głosem:

— Reb Nochim Todros, — niech błogosławiona będzie pamięć jego! — mówić jęj o tém zabronił.

— A dla czego wy, Reb Saulu, nie szukaliście sami pisania tego?

Saul jeszcze smutnięj odrzekł:

— Reb Baruch Todros, syn Reb Nochima i Reb Izaak, — niech sto lat żyje! — syn Reb Barucha, szukać mi go zabronili!

— I niech nikt go nie szuka! — wykrzyknął z całej siły melamed, podnosząc wysoko rękę, uzbro-

jona w widelec, — niech nikt nie szuka pisania tego, bo ono pełne jest wielkiego bluźnierstwa i plugawstwa! Rebe Saulu! nakaz ty dzieciom, wnukom i prawnukom swoim, aby pisania tego nie szukali, a jeżeli je znajdą, ażeby je ogniowi na pożarcie dali! Bo kto pisanie to znajdzie i głośno je ludowi przeczyta, na tego padnie *herem*, ten wyrzuconym będzie z łona Izraelowego. Tak mówił Reb Nochim i Reb Baruch — niech błogosławioną będzie pamięć ich! Tak mówi Reb Izaak, — niech sto lat żyje! W pisaniu tём kłatwa jest i wielkie nieszczęście dla tego, kto je znajdzie!

Głębokie milczenie nastąpiło po słowach tych, z nadzwyczajnem uniesieniem przez melameda wymówionych, a wśród milczenia tego dało się słyszeć długie, drżące, namiętne westchnienie. Wszyscy obejrżeli się wkoło siebie, chcąc dowiedzieć się: czyja pierś wydała ten szmer rozrywającego jakiegoś pragnienia; lecz nikt nie dowiedział się o tём. Ujrzano tylko Meira, jak w wyprostowanej postawie, z pobladłą twarzą, gorejącemi oczyma, wpatrywał się w twarz prababki. Ona, odczuwając jakby ten przeszywający wzrok ulubionego dziecięcia, podniosła zmarszczone powieki i wymówiła:

— Meir?

— Bobe? — odparł wezwany, głosem, nabrzmiałym mięką pieszczotą.

— Kleiniskind! — szepnęła prababka i, uśmiechając się błogo, usnęła znowu.

Uczta sobotnia blizką już była końca, gdy u stołu zaszedł wypadek, który dziwnym wielce wydawać-by się musiał wszelkiemu obcemu oku, ale dla zgromadzonych tu osób stanowił zupełnie zwykłe i powszedni wydarzenie.

Reb Mosze, którego ciemne policzki pały od kilku kielichów wina, gościnnie mu przez gospodarzy podawanych, porwał się nagle ze swego stołka i kilku szerokimi susami, z głośnym okrzykiem i z twarzą ku sufitowi wzniesioną, wyskoczył na środek izby.

— Sabbat! Sabbat! Sabbat! — krzyczał, gwałtownemi ruchy trzęsąc głową i ramionami — Frejd! frejd! frejd! — powtarzał, — cała niebieska familia raduje się i tańczy w Niebie! — Dawid tańczył i skakał przed Arką przymierza: dla czegożby doskonały pobożny tańcem i skakaniem serca swego rozradować nie miał?

Tańczył i skakał, wzdłuż i w poprzek przebiegał szerokimi kroki przestrzeń znajdującą się dokoła stołu, przysiadał do ziemi, pochylał się, a potem coraz bardziej wyprężał w górę ramiona i twarz ku sufitowi podnosił. Coraz też ciężiej i głośniej ciężkie, nagie stopy jego, płaczące się w wąskiej pochwie płócienniej, opadały na drżącą pod niemi podłogę.

Dla wszelkiego obcego oka ciekawym byłby widok uczuć, które odbijały się na twarzach ludzi obe-

onych temu eksstatycznemu tańcowi. Stary Saul i synowie jego spoglądali na tańczącego z nadzwyczajną powagą i uwagą. Najłżejsze drgnienie uśmiechu nie poruszało ich ustami. Zdawać-by się mogło, że na szalone skoki melameda patrzali oni, jak wierzący zwykli są patrzeć na dokonywanie mistycznego, lecz świętego obrządku. Wprawdzie w przyémionym latami, lecz mądrém jeszcze, oku Saula, migotały od czasu do czasu światełka jakieś, do tajonych, przykrych uśmiechów szyderstwa podobne; lecz nikt ich dostrzedz nie mógł, bo starzec przykrywał nawpół źrenice swe żółtkłemi powiekami. Ber z płowemi włosy i szklistém wejrzeniem siedział wyprostowany i poważny także, lecz czoło jego zmarszczyło się w sposób niemal bolesny, a oczy tkwiły w ziemi. Meir na obu dłoniach wsparł głowę, i zdawać się mogło, że nie słyszał i nie widział, lub usiłował nie słyszeć i nie widzieć tego, co działo się dookoła. Kobiety za to dziwowały się wielce tańcowi Reb Mosza, kołysały postacie swe w takt wybijany przez bosc stopy jego, emokały zachwyconemi usty i oczyma dawały sobie wzajem znaki podziwu i uwielbienia. Przy niższym końcu stołu, tam, gdzie siedzieli najmłodsi chłopcy i młode, hoże dziewczyny, słyhać było cichutki szmer, przemocą tłumionych w piersi chichotów...

Zmęczył się nakoniec Reb Mosze, wyczerpały się siły jego, drgające od uniesienia i zapалу ciało runęło ciężko na ziemię, u podnóża wielkiego pieca

z zielonych cegieł. Podniósł się jednak po chwili, odetchnął ciężko, zaśmiał się głośno i rękawem szarej, szorstkiej swej koszuli ocierać począł pot, bujnymi kroplami opływający mu szkarlatem zaszle czoło policzki.

Wtedy powstała od stołu Sara, córka Saula, i poczęła wszystkim obecnym podawać do umycia rąk pełną wody, srebrną miednicę. Szepcąc dziękczynne modlitwy, obecni ręce swe maczali w wodzie i ocierali ręcznikiem, wiszącym na ramieniu Sary, białym jak śnieg i w hafty zdobnym. Uczta sobotnia skończoną była.

W kilka minut potem uprzątnięto ze stołu okrywające go naczynia. Towarzystwo całe, podzieliwszy się na kilka grup, napełniło izbę gwarem głosnych i ożywionych rozmów.

Meir, który przez kilka chwil stał samotnie u okna, z zamyśleniem wpatrując się w ciemności wieczoru, zbliżył się do najpoważniejszej wiekiem grupy, która zgromadziła się dokoła najparadniejszego w izbie miejsca, przyozdobionego staroświecką kanapą, z wielką żółtą poręczą. Tu Abram i Rafał, synowie Saula, i Ber, zięć jego, zdawali sprawę ojcu z interesów, w ciągu tygodnia dokonanych; zapytywali go o rady i prosili o pomoc. Tu brzmiały nazwy cyfr przerozmaitych, przy wyliczaniu nabytych beczek zboża i zapłaconych za nie pieniędzy i poruszały się szybko palce kilku par rąk. Tu, przy wzmiankach o zagra-

niecznych portach i panujących w nich cenach zboża i drzewa, zapalały się oczy uczuciem nadziei, obawy, żądzą zysku. Stary Saul wyglądał tak, jakby teraz dopiero znalazł się we właściwym sobie żywiole. Jakkolwiek wysokie i mądre nauki mistycznych mędrców gminy obudzały w nim cześć i trwogę, interesa świeckie zdawały się być umysłowi jego bliższymi, żywotniejszymi i lepiej znanymi. W oku jego, które rozbłysło bystrą i ożywioną myślą, nie było już znać starości, i tylko białe włosy jego i biała długa broda czyniły go podobnym do patryarchy i do stojnika, rozdzielającego pomiędzy członków rodziny swój rady, pochwały i sądy.

Meir stał przez minut kilka przy gromadce tych ludzi, rozprawiających o handlu, zyskach i stratach, z wyrazem twarzy obojętnym. Znać było, że w sprawach podobnych nie brał on jeszcze nigdy osobistego udziału, i że świeżej natury jego nie dotknęła jeszcze i nie napoczęła gryząca gorączka zysku. Z niejakim zdziwieniem popatrzał na flegmatycznego Bera, który zdawał się być w tej chwili przemienionym w innego człowieka. Opowiadając teściowi o sprawach swych i zamiarach handlowych i przekładając mu konieczną potrzebę, w jakiej zostawał, zaciągnięcia u braci swój żony znacznej pożyczki, stał się on wymownym, ruchliwym, zapalczywym niemal. Oczy jego płonęły, usta poruszały się z niezmierną szybkością, ręce drżały.

Meir oddalił się i stanął przy grupie innéj.

W grupie téj, zebranéj u końca długiego stołu, zasłanego jeszcze białym obrusem, panował melamed. Otaczało go osób kilkanaście, a on, jak zwykle, obu łokciami rozpierając się na stole, uroczyście i wśród skupionéj uwagi słuchaczy, mówił:

— Wszystko, co jest na świecie, każdy człowiek, i każde zwierzę, i każda trawa, i każdy kamień, korzenie swe mają wysoko, w kraju tym, gdzie mieszkają duchy. I dla tego cały świat jest jak drzewo ogromne, którego korzenie znajdują się pomiędzy duchami. I jest on jak ogromny łańcuch, którego ostatnie ogniwa wiszą tam, gdzie mieszkają duchy. I jest on jak ogromne morze, które nigdy nie wysycha, bo leci w nie strumień nieprzebrany duchów i ciągle je napełnia...

Meir odszedł od grupy słuchającéj melameda i zbliżył się ku oknu. Tam dwaj młodzi ludzie, z czołami w dłoniach, z głębokim zamyśleniem, rozprawiali o tém, gdzie i jak napisane stoi, że człowiek, który, w noc świąteczną idąc, cienia swego nie ujrzy, w tym samym roku umrze?

Meir obejrzał się dokoła. W przyległej izbie, starsze niewiasty, zebrawszy się skupioném kółkiem, toczyły głośną rozmowę o gospodarstwie swém i wielkim rozumie swoich małych dzieci; młode dziewczęta, przysiadłszy w kącie, nisko przy ziemi, szeptały pomiędzy sobą, rozplatały długie swe warkocze, chichotały i nuciły z cicha.

Z twarzy Meira było widać, że nie czuł się on pociągany do żadnej z licznych gromadek ludzkich, dom napelniających. Znajdował się pomiędzy swoimi, pomiędzy tymi, którzy najbliżsi mu byli krwią i sercem, a jednak... Można-by rzec, iż znajdował się na pustyni, tak samotnie stanął na środku izby i takiem smutnem, znudzonym okiem powiódł dokoła. Wkrótce nie było go już w izbie. Zstępował ze schodów gankowych i przez plac ciemny skierowywał się ku długiemu, niskiemu domostwu Reb Jankla...

* * *

Po rzęście oświetlonych, obszernych, czystych i ładnych izbach domu dziada jego, mieszkanie Reb Jankla, posiadacza największej w Szybowie oberży, handlarza gorzałką i urzędnika kahału, wydać się musiało Meirowi ciasnem, ciemnem, brudnem i smutnem. W czasie, gdy tam uczta sobotnia zaledwie przed chwilą ukończona została, tu oddawna już sprzątnięto z rodzinnego stołu wieczerzę, która krótko trwała, bo była szczupłą i odbywała się w posępnem milczeniu, przerywanem tylko gderliwem swarzeniem się i złośliwemi ucinkami ojca rodziny. Wiadomo było zresztą powszechnie, że Reb Jankiel skąpym był, wielkie pieniądze zbierał, a o porządki i wygody domowe mało dbał, bo sam w domu przebywał bardzo rzadko, trudniąc się dzierzawieniem gorzelni

i karczem po wsiach sąsiednich, a do miasteczka zaglądając wtedy tylko, gdy wymagały tego religijne obchody albo kahalne interesa. Żona jego, Jenta, i dwie dorosłe jej córki trudniły się gospodarstwem obojętym, pełniły funkcje i zajmowały stanowisko pierwszych służebnic domu.

Przyjazne gwarne pogadanki, które napępniały ściany Ezofowiczów, tu znanymi nie były. Dostatek ukazywał się tylko wtedy, gdy Reb Jankiel przyjmował dostojnych gości jakich: świętego rabbina, którego był ulubieńcem, kahalnych swych kolegów lub bogatych kupców. Czystość i wesołość nigdy się tu nie ukazywały.

W pierwszej izbie, do której wszedł Meir przez drzwi otwierające się do przepaścistej, ciemnej sieni, dopalał się na stole jeden tylko ogarek żółtej świeczki, tkwiący w otłuszczonym, mosiężnym lichtarzu. Zapach jadła, tylko co sprzątniętego ze stołu, mieszał się ze stęchlizną brudnych ścian i tłuszczowemi wyziewami okopconego komina. Cicho tu było i pusto zupełnie. W drugiej za to izbie, w której żadne światelko już się nie paliło, rozlegało się głośnie chrapanie pana domu, zasypiającego już snem twardym. W trzeciej, małej i tak zastawionej łózkami i kuframi, że zaledwie wyminąć je było podobna, przy chwiejnym świetelku lampy, płonącej na piecu, obwieszonym suszącymi się szmatami, Meir ujrzał niewyraźną wśród mroku postać niewieścią, która, ko-

łyszac nogą kolebkę, cichém nuceniem usypiała dziecię, zcicha téż płaczące. Powitał ją przechodzący skłonieniem głowy i przyjazném słowem. Pozdrowiła go wzajemnie i, wśród miarowego stuku kolebki, jako téż chrapania kilku śpiących w izbie osób, nuciła dalej.

Za niskimi drzwiczkami słyhać było stłumiony gwar kilku rozmawiających męzkich głosów. Meir otworzył drzwiczki te, i znalazł się w izdebce Eliezera, kantora o białej twarzy i cudownym głosie.

Eliezer nie był sam jeden. Wraz z nim, przy stole, na którym paliła się żółta świeczka, siedziało kilku młodych ludzi, którzy należeli do rodziny Ezo-fowiczów i razem z Meirem jedli dnia tego wieczerzę. Meir odetchnął głębiej, dla tego może, iż w izdebce kantora mniej duszne i cuchnące, niż w innych częściach mieszkania tego, panowało powietrze, albo, że znalazł się wśród twarzy, na które patrzeć lubił, i które téż na widok jego oświeciły się przyjaznymi uśmiechy.

Eliezer podniósł turkusowe swe oczy na twarz przybyłego, gdy ten w milczeniu zajął miejsce przy stole.

— Meir! — rzekł miękkim głosem.

— A co? — zapytał gość.

— Ty dziś nie miałeś cierpliwości i niepotrzebne rzeczy melamedowi gadałeś! Mnie o tém oni już opowiedzieli.

Wskazał na obecnych młodych chłopców. Meir przenikliwy i drwiący nieco wzrok utkwiał w białej twarzy piewcy.

— Czy ty, Eliezerze, naprawdę mówisz, że te rzeczy, które ja dziś melamedowi powiedziałem, niepotrzebne były i złe? — zapytał zwolna.

Kantor pochylił głowę.

— One były dobre — rzekł — ale ty ich nie powinienes mówić, bo na ciebie za to wielkie nieprzyjemności spaść mogą.

Zaśmiał się młody człowiek z przymusem jakoś i smutnie.

— Nu! — rzekł z determinacją — niech spadają! Ja dłużej wytrzymać nie mogę i, milcząc, patrzeć i słuchać jak oni wszystkim nam zawrót w głowach robią...

— Dziecko! dziecko! a co ty na to poradzisz? — ozwał się za rozmawiającymi głos przeciągły i leniwy.

Obejrżeli się. Był to flegmatyczny Ber, który wszedł przez niskie drzwiczki, starannie zamknął je za sobą i, odpowiedziawszy w powyższy sposób na poryweży wykrzyk młodzieńca, położył się, z twarzą ku sufitowi zwróconą, na łóżku Eliezera. Obecni zwykli snadź byli widywać go pomiędzy sobą, nie okazali bowiem na widok jego najmniejszego niezadowolenia ani zmieszania. Owszem, rozmowa toczyła się dalej. Jeden z młodych chłopców, krewny Meira, nawpół z powątpiewaniem i śmiechem, nawpół z oba-

wą i przejęciem się, zaczął powtarzać kantorowi słowa melameda o En-Sofie i Sefirotach, o dniu Messyasowym i ogromnej rybie Lewiatanie. Drugi zapytał Eliezera: co myśli o tém, że dość jest zagłębiać się w naukę Miszny i Zohar, aby wszystkie występki swe mieć odpuszczone?

Eliezer słuchał w milczeniu i z pochyloną twarzą. Długo nie odpowiadał, potem podniósł zwolna głowę i rzekł:

— Czytajcie Torę! tam napisane stoi: Jeden jest Bóg, Jehowa! Nie znajduje On zadowolenia swego w ofiarach waszych, śpiewach i kadzidłach, ale żąda od was, abyście miłowali prawdę, bronili uciśnionych, nauczali ciemnych i leczyli chorych, bo te są pierwsze powinności wasze!

Dwaj młodzi ludzie szeroko roztworzyli oczy.

— No! — zawołali jednogłośnie — czy melamed nieprawdę mówił?

Eliezer milczał znowu długo. Widać było, że radby był nie odpowiadać. Ale młode niecierpliwe ręce szarpały go za rękaw odzieży, domagając się odpowiedzi.

— Nieprawdę! — odrzekł nakoniec nieśmiało miusty.

W téj chwili Meir położył mu dłoń na ramieniu.

— Eliezer! — rzekł — tyś mnie tak samo powiedział dwa lata temu, kiedy z wielkiego miasta, gdzie ciebie śpiewać uczyli, wróciłeś. Ty wtedy otworzyłeś

oczy moje, co same zaczynały szukać światła, i nauczyłeś mię: że my nie jesteśmy prawdziwi Izraelici; że wiara nasza nie jest tą już wiarą, którą nam dano na górze Synai; że Judaizm zmaćił się i zabrudził, jak woda, kiedy w nią garść błota rzuca. i że od tego błota poczerniały głowy nasze i serca. Ty mnie to powiedziałeś, Eliezerze, i ja — przejrzałem. Od tego czasu ja kocham ciebie, jak brata, który dopomógł mi wyjść z ciemnicy; ale od tego czasu także ja czuję na sercu wielką ciężkość i wielką tęsknotę...

— Eliezer uczył ciebie, Meirze, i Eliezer milczy... a ty, uczeń jego, gadać zaczynasz — ozwał się głos Bera, w którego leniwych dźwiękach przebrzmiewało szyderstwo.

— Żebym ja umiał gadać! — zawołał młody człowiek z roziskrzonym okiem, — i żebym ja wiedział co i jak robić!

I po chwili dodał ciszej:

— Ale ja ani gadać, ani robić nie umiem... ja mam tylko w sercu wielką nienawiść dla tych, co oszukują, i wielką miłość dla oszukiwanych...

— I wielką zuchwałość! — wtrącił niedbale, wyciągnięty wciąż na łóżku, Ber.

— Zuchwałości ja dotąd nie miałem, ale... ale, żebym tylko wiedział co zrobić, to-bym ją miał!

Przez kilka chwil panowało milczenie. Przerwał je Meir:

— Ty szczęśliwy jesteś, Eliezerze!

— A czemu ja szczęśliwy?

— Na szerokim świecie byłeś, rozumne rzeczy widziałeś, mądrych ludzi słuchałeś... Ach! żeby to i mnie na szeroki świat!...

— Eliezer! opowiedz nam co o szerokim świecie!
— ozwali się dwaj młodzi chłopey. W oczach ich, wlepionych w twarz kantora, malowała się ciekawość i dziwna tęsknota.

Eliezer jedynym był wśród młodzieży Szybowskięj młodzieńcem, który widział „świat szeroki”. Zawdzięczał to cudownemu głosowi swemu, dla ukształcenia którego wysłano go na naukę do wielkiego miasta. Wszystko, co miał do opowiedzenia, opowiedział był już współtowarzyszom swym oddawna. Zawsób to zresztą nie był wielki. Ale oni słuchaliby go chętnie codzień, gdyby nawet codzień jedno tylko i to samo opowiadać miał. Jak wygląda wielkie miasto? jakie tam wysokie domy stoją, i piękne pojazdy po ulicach jeżdżą? jacy ludzie bogaci, grzeczni i uczeni w domach tych mieszkają i ilu pomiędzy nimi znajduje się Izraelitów, którzy moc pieniędzy, piękne pokoje, bogate suknie i wielki szacunek u ludzi mają? A dla czego wszyscy ich szanują? czy dla tego, że oni bogaci? nie; bo i w Szybowie bogaci kupecy, a Puryce wtedy tylko szacunek im okazują, kiedy potrzebują ich pieniędzy, a kiedy nie potrzebują, to bardzo brzydko i ze wzgardą do nich i o nich mówią. Ich szanują dla tego, że oni wiele uczyli się i umieją,

a nie tylko Miszny i Gemary uczyli się, ale różnych innych bardzo pięknych i potrzebnych nauk. A dla czego w Szybowie niema szkoły takiéj, któraby nauk tych uczyła, i dla czego Rabbín Izaak i Reb Mosze mówią, że te nauki to Sodomska winnica i cudze płomienie, i że każdy prawy Izraelita uciekać od nich powinien?...

— Eliezer! jak to tam wielkie wozy bez koni po świecie chodzą, i kto je tak mądrze wymyślił?

— Eliezer! czy tam wszyscy Izraelici koszerzy zachowują?

— Eliezer! co tam mówią o naszych rabbinach Todrosach?

— Żle mówią.

Wielkie zdziwienie! Izraelici sami na szerokim świecie źle mówią o Todrosach; w En-Sofa ani w Se-firótów, ani w całą Kabałę nie wierzą? — A co oni mówią o Talmudzie?

— Oni o Talmudzie mówią, że ta piękna i mądra księga jest przez mądrych i świętych ludzi napisana; tylko, że ją skrócić trzeba, i wiele z niej powyrzucać, bo teraz czasy nastały inne, i to, co było niegdyś potrzebne, teraz już jest szkodliwém.

Wielkie znowu zdziwienie! Talmud trzeba skrócić, bo Gemary trudno bardzo uczyć się i ona pamięć i rozum u dzieci zabija.

Prawda! pytający pamiętają sami, jak im trudno było uczyć się Gemary i jak melamed bił ich srodze

za to, że ona im do głowy wchodzić nie chciała, i jak oni od tego słabli na pamięci i rozumie, a mały Lejbele, syn biednego krawca, został nawet od tego na zawsze głupim i chorym!

— A kto to, dawno już temu, skrócił Talmud, i nauczanie się go uczynił łatwiejszym?

— Skrócił go wielki i święty mędrzec, Mojżesz Majmonides, którego potem rabbini wykleli.

Rabbini wykleli wielkiego i świętego mędrca! Rabbini więc mogą być źli i niesprawiedliwi, i nie zawsze wierzyć trzeba w to, co oni mówią!

— A co napisał więc Mojżesz Majmonides?

— On napisał jeszcze More Nabuchim, przewodnik dla zbłąkanych... mądrą i piękną książkę, którą czytając, chce się człowiekowi płakać z czułości i śmiać się z radości!

— A masz ty tę książkę, Eliezer?

— Mam!

— A zkąd ty ją masz?

— Dał mi ją jeden mądry Izraelita, który tam w wielkiem mieście... jest wielkim adwokatem.

— Eliezer! przeczytaj nam co z tej książki.

W taki sposób naiwnym umysłem tym, mimowiednie tęskniącym za słońcem i szerokim łonem całej Ludzkości, objawiał się cząstkowo i chaotycznie świat wirujących po szerokich przestworzach zjawisk i myśli. Nie wyrabiały się z tego stałe jakieś przekonania, nie wysnuwała się jasno przewodnia nić in-

nego, lepszego życia; ale w sumienia wchodziły wątpliwości, w piersi pragnienia, młode oczy przysłaniały się smutkiem myśli, poczynającą czuć swe kajdany.

Późno już było, gdy po długiej rozmowie młodzińcy powstałi z siedzeń swych i stanęli naprzeciw siebie, z pobladłemi twarzami i gorejącym wzrokiem. Po chwilowém milczeniu Meir ozwał się:

— Eliezerze! czy my nigdy wielkim głosem nie krzyknem do ludu, aby obejrzał się i przejrzał? Czy my zawsze gnić będziemy, jak robaki przysypane ziemią, i patrzeć jak lud cały dusi się i gnije?

Eliezer spuścił ku ziemi łzawe oczy, wznosił w górę białe ręce i harmonijnym głosem swym wyrzekł:

— Ja za lud mój codzień śpiewam i płaczę przed Panem!

Meir uczynił giest niecierpliwości, a w téjże chwili Ber, podnosząc się ciężko z łóżka, zaśmiał się grubym, posępnym śmiechem.

— Śpiewaj i płacz! — rzekł do Eliezera — ciebie twój srogi ojciec takim wielkim strachem napełnił, że ty nic innego zrobić nigdy nie będziesz mógł...

Potem położył dłoń na ramieniu Meira i dodał:

— Ten tylko zuchwały jest i — przeciwko wodzie popłynie. Ale woda mocniejsza od człowieka. Gdzie ona go zaniesie?

Opuszczając mieszkanie Jankła, Meir zobaczył znowu w jednej z izb tę samą, co wprzód, postać niewieścią, siedzącą nad kolebką uspiętego dziecka.

Pochyliła się ona tylko i, obu łokciami o brzeg kołebki wsparta, drzemała. Światelko lampki, płonące na piecu, padło teraz wprost na nią, oświecało szafirowy podarty kaftan, który okrywał plecy jej i piersi, nie okrywając ramion, ociągniętych rękawami grubiej koszuli. Na głowie miała jeszcze czepiec świąteczny z wielkim zmiętym kwiatem, którego czerwona barwa dziwnie odbijała przy żółkłej, pomarszczonej skórze niskiego czoła i zwiędłych policzków. Nie stara to jeszcze była niewiasta, ale spracowana, stérana, znękana. Jedno na nią spojrzenie wystarczało, aby przekonać się, iż jej życie upływało wśród trudów i upokorzeń i że nie odświeżyła go nigdy żadna kropla domowego szczęścia. Patrząc na nią, łatwo też zgadnąć, iż nie dożyje ona, jak Frejda, żona heretyka Hersza, stułetniej rocznicy swych urodzin i że nie będzie zwolna i słodko usypiała do snu wiecznego, wśród błogiego sercu jej gwaru licznych wnuków i prawnuków. Jenta, żona pobożnego Reba Jankla, była duchem zabitym w zmordowanym ciele...

Kiedy kroki odchodzących gości, mieszając się czas jakiś z chrapaniem kilku osób głęboko uspionych, umilkły, Eliezer stanął w niskich drzwiach swjej izdebki i przez kilka sekund spoglądał zdala na drzemiącą matkę.

— Matko! — ozwał się zcicha — czemu ty się spać nie położysz? Mała Chajka zasnęła dawno i płakać już nie będzie. Połóż się i ty, matko... spocznij.

Szept syna dosięgnął drzemiącej głowy Jenty. Podniosła powieki, zwróciła wzrok smętny ku wysmukłemu młodzieńcowi, którego delikatna twarz świeciła wśród zmroku białą alabastru i — o dziwy! małe, mrużące się jej oczy mrużyć się przestały, a z bezbarwnych źrenic wymknęło się światelko radości.

— Eliezer! chodź tu! — szepnęła.

Młodzieniec zbliżył się i usiadł na krawędzi łóżka.

— Jak ja mogę zasnąć? — szeptały doń żółte, zwiedłe wargi kobiece — kiedy moja głowa taka biedna! Chajka chora i co moment zapłakać może, a jak ona zapłacze głośno, Jankiel obudzi się i w wielką złość wpadnie!

— Śpij, matko! — odszepnął syn — ja tu posiedzę i Chajkę kołysać będę...

Żółta, pomarszczona twarz, z wielką czerwoną różą nad czołem, pochyliła się i spoczęła, nie na wysoko usłanych, brudną bielizną okrytych poduszkach, ale na kolanach siedzącego obok młodzieńca.

Eliezer wsparł ramię o krawędź kolebki, czoło złożył na dłoni i dumiał. Niekiedy poruszał nogą bieguny kolebki i zeicha nucił.

— Oj! biedna, biedna moja głowa! — szeptała, przez sen drzemiąca na kolanach syna, o żółtej twarzy kobieta.

— Biedna głowa twoja, o, Izraelu! w zadumie szeptały różowe usta czuwającego nad kolebką młodzieńca.

* * *

Kiedy to działo się w mieszkaniu Reb Jankła, mała zwinna postać ludzka mknęła w ciemnościach przez obszerny podwórzec szkolny ku stojącej przy nim niskiej chatce rabbina Izaaka Todrosa i zniknęła za jej niskimi drzwiami, które zamknęły się za nią z głośnym skrzypnięciem.

Skrzypnięciu temu odpowiedział z wnętrza chatki głos mężki o czystym, lecz niskim, basowym brzmieniu:

— Czy to ty, Mosze?

— Ja, Nassi! sługa twój wierny! nędzny podnózek stóp twoich! Niech sen twój nawiedzają aniołowie pokoju! niech każde technienie ust twoich będzie przyjemne tobie, jako oliwa zaprawiona mirrą! A kiedy ty spać będziesz, niech dusza twoja kapie się z wielką rozkoszą w strumieniu duchów!

Basowy głos, wychodzący z wnętrza ciemnej izby znajdującej się za malutką, również ciemną sionką, zapytał:

— A gdzie ty tak długo był, Mosze?

Człowiek, znajdujący się w sionce, odpowiedział:

— Ja wczorzę sobotnią jadł w domostwie Ezo-fowiczów. U Ezofowiczów święcą sabbaty ze wspa-
niałością wielką, i ja do nich na sobotnie wczorze często chodzę, ażeby duszę swoją w wielkiej weso-
łości utrzymywać.

— Ty dobrze robisz, Mosze, że w sabbat duszę

swoję w radości utrzymujesz. A co tam u nich słychać?

— Źle słychać, Nassi! Między różami i liliami lęgnie się tam bardzo brzydki robak!

— Jaki to robak?

— Robak taki, co świętą wiarę naszą gryzie i z Izraela zrobić może lud goimów i chazarników!

— A w czyjém sercu lęgnie się ten brzydki robak?

— On lęgnie się w sercu Meira Ezofowicza, wnuka bogatego Saula.

— Mosze! czy ty zobaczył robaka tego własnymi oczyma i posłyszał go własnymi uszyna! Mów Mosze! Na mojej głowie leży wielki ciężar wszystkich dusz, co są w tej gminie, i ona o wszystkiem wiedzieć powinna!

W sionce panowało przez chwilę milczenie. Człowiek, który tak wśród głębokich ciemności siedział w skruszonej postawie u zamkniętych drzwi świętego rabбина, zbierał snadź myśli swe i wspomnienia. Po chwili, chrapliwym swym i śpiewnie zanoszącym się głosem, mówić zaczął:

— Ja na własne oczy widziałem i na własne uszy słyszałem. Meir Ezofowicz nie odprawiał dziś sobotniego Kiduszu z całą rodziną swoją i przyszedł do domu wtedy, kiedy sabbat dawno już był się zaczął. Ja jego zapytałem się: co on robił, a on mnie powiedział, że bronił od wielkich napaści chatę Abła Karaima i wnuczki jego Goldy...

Umilkł; basowy głos we wnętrzu zamkniętej izby wymówił:

— On bronił odszczepieńców i naruszył sabbat!

— On w święty dzień sabbatu duszy swojej w radości nie utrzymuje. Smutny przyszedł i smutny był przez całą wieczność. A dla czego on smutny? Bo dusza jego rwie się do goimów i do ich nauki...

— Niech wyklętą będzie nauka ta! niech Izrael ucieka od niej i niech nie przebaczy jej Pan! — wymówił za drzwiami głos basowy.

— On mówił, że w świętych księgach Izraela niema nic napisanego o En-Sofie, ani o Sefirotach i że Przedwieczny odszczepieńców prześladować nie każe...

Basowy głos wyrzekł:

— Obrzydliwości leją się z ust młodzieńca tego. W ciało przeszła dusza jego pradziada, Hersza Ezo-fowicza.

— Nassi! — głośniejsz niż dotąd zawołał Mosze. Niewyraźnie mruknięcie za drzwiami zachęciło go do dalszego mówienia:

— On szukać będzie pisania Michała Ezo-fowicza Seniora; ja to z oczu jego widział — i on pisanie to znajdzie! A jak on je znajdzie i ludowi głośno przeczyta, zbuntuje się przeciw twoim naukom duch Izraela!

Długie po słowach tych panowało milczenie, aż głos basowy ozwał się znowu:

— Kiedy on pisanie znajdzie, spocznie na głowie jego ciężka prawica moja i w proch ją rozsypie. — Mosze! a co on robił po wieczerzy?

— On poszedł do domu Reb Jankla i z kantorem Eliezerem długo rozmawiał; ja przechodził tamtędy i przez okno widział.

— Mosze! a kto tam był więcej?

— Byli tam: Chaim, Mendel, Aryel i Ber, zięć Saula...

— A co oni pomiędzy sobą mówili?

— Nassi! dusza moja weszła w ucho moje, kiedy ja pod ich oknem stał... oni bardzo narzekali, że ich w wielkiej ciemności trzymają, i że prawdziwa wiara Izraela zbrudziła się, jak woda, kiedy w nią kto rzuci garść błota... A Eliezer mówił, że on na to wielkie skargi przed Pana zanosz, śpiewając i płacząc; a Meir mówił, że śpiewać i płakać niedość, ale trzeba do ludu wielkim głosem krzyknąć, i zrobić coś, ażeby on inny był, niż jest...

— Pokolenie jaszczurcze!... — mruknął głos z głębi chaty.

— Nassi! kto jest pokoleniem jaszczurczem? — pokornie zapytał Mosze.

Po chwilowem milczeniu odpowiedziano w ciemnościach:

— Ród Ezofowiczów!

III.

Parę miesięcy minęło. Ciepły dzień majowy kończył się wieczorem wonnym i pogodnym.

Niewiele przed zachodem słońca, brzegiem wąskiej uliczki, najuboższemi z pomiędzy wszystkich domostwami ostawionęj, postępowały zwolna dwie istoty. Jedną z nich była koza, biała jak śnieg, drugą — dziewczyna wysmukła i chuda. Koza szła naprzód, podskakiwała co chwila, aby uczepić się gałęzi drzew, rosnących tu i ówdzie. Wydawała się zwinną, swawolną i szczęśliwą. Idąca za nią dziewczyna poważną była i zamyśloną. Wiek jęj trudno-by określić: mogła mieć lat trzynaście, albo siedemnaście. Jakkolwiek bowiem wysoką była, kształty ciała jęj, drobne, suche, z powstrzymanym może rozrostem, wydawały się dziecinnemi. Ale chód jęj i wyraz twarzy posiadały powagę i smutek wczesnej dojrzałości. Na pierwszy rzut oka wydawała się brzydką. Nie przyozdabiał jęj wcale, wdzięków jęj, jeżeli miała jakie,

nie uwydatniał, strój ubogi, złożony ze spłowiałej perkalikowej sukni, z pod której wązkich fałd ukazywały się stopy, nawpół tylko okryte obuwiem grubem i płytkiem, a której stanik, luźny i obwisły, krył się u szyi pod kilku sznurami drobnych, w różne kształty połamanych, koralii. Od czerwoności jedynęj tęg, zbyt kownęj ozdoby jęg stroju, żywo odbijała głęboka śniadość, okrywająca chude i zapadłe nieco jęg policzki; pod gęstemi brwiami wielkie, głęboko osadzone oczy patrzyły czarną jak aksamit żrenicą, a nad wązkiem, ciemnëm czołem, wiły się, splątanemi kędziory, włosy hebanowęg czarności.

W całęg postaci dziecka tego, czy tęg kobiety, było coś dumnego i dzikiego zarazem. Szła wyprostowana, poważna, zamyślonym wzrokiem śmiało patrząca kędyś w dal; lecz przy każdym żywszym usłyszonym szmerze ludzkich głosów, przystawała i, przycisnąwszy się do płotu albo ściany, spuszczała oczy, nie trwożnie, posępnie raczęg i niechętnie, tak, jakby wszelkie spotkanie się z ludźmi przykrëm jęg być musiało. Jedna tylko biała koza nie sprawiała jęg obecnością swą żadnęg przykrości. Owszem, dziewczyna wiodła za nią od chwili do chwili bacznëm wejrzeniem, a gdy zwinne stworzenie oddalało się od nięg zbytecznie, przywoływała je ku sobie przyciszonemi, krótkimi wykrzyki. Wzajemnie koza rozumiała ją snadź dobrze i, wołaniu jęg posłuszna, wracała ku nięg, z pytającëm jakby beczeniem. U końca ciasnęg,

biednej uliczki błysnęła świeża, majową rosą operłona i słońcem pozłocona, zieloność. Była to łączka niewielka, tuż za miasteczkiem leżąca, z jednej strony otoczona gęstym brzozowym gajem, z drugiej otwierająca się na ogromne rozłogi pól, za którem; w głębokiej dali siniał długi pas wielkich borów.

Na widok łączki dziewczyna nie przyśpieszyła kroku; owszem, zwolniła go, a po chwili, przywoławszy ku sobie kozę swą i ręką ujawszy jeden z małych jej różków, stanęła. Stanęła i patrzała na ruchliwą scenę, która odbywała się na łączce, i od której dolatywał uszu jej gwar zmieszany z dziecięcych śmiechów, krzyków i ze zwierzęcych beczeń. Zrazu scena ta wydawała się tylko tłumnym i chaotycznym migotaniem stworzeń mlecznej białości i pstrokatych postaci dziecinnych po zielonym tle. Po dłuższem dopiero patrzeniu rozeznac było można kilkanaście małych dziewcząt, spędzających z pastwiska kilkadziesiąt kóz.

Dziewczęta były swawolne i śpieszyły się do domów; kozy były uparte i chciały pozostać na łące. Pomiedzy jednemi i drugimi zawiązywały się uporne walki, w których najczęściej zwierzęta odnosiły nad dziećmi zwycięstwa. Wymykały się one z rąk przewodniczek swych i w zwinnych podskokach biegly ku porastającym gdzieniegdzie łąkę krzaczystym leszczynom. Dziewczęta gonily je, a dogoniwszy i pochwyciwszy

obu rękoma długie pasmo szorstkiej ich sierści, nie wiedziały co czynić dalej. Jedne przyzywały na pomoc towarzyszek swe, również jak one zajęte i zakłopotane; inne zabiegały drogę nieposłusznym pupilom i, gdy już znajdowały się naprzeciw nich, wyciągały przed siebie oba ramiona obrończym gościem; inne jeszcze topiły obie ręce w kędziorach swych włosów i wydawały rozgłośnie krzyki rozpacz, albo upadały na ziemię i, tarzając się po miękkiej murawie, zanosiły się swawolnemi śmiechy. Krzyki te, śmiechy i wołania, połączone z przeciągłym beczeniem kóz, pochwytywały powiewy ciepłych wiatrów, lecące nad łąką, i niosły pomiędzy posępne uliczki miasteczka, na szerokie, złote błonia, w dalekie głębie gaju. W pozłożonem też powietrzu migotały i przelatywały, krzyżując się z sobą, nagie, drobne stopy, deptające zieloną trawę, małe głowy okryte włosami wszech odcieni, od czarności hebanu do czerwoności miedzi i bladój żółtości lnu.

Wysmukła, poważna, dziewczyna, przebywająca wraz ze swawolną, lecz posłuszną swą kozą ciasną uliczkę, ku łące wiodącą, stojąc, przypatrywała się ruchliwej i gwarniej scenie, wzrokiem obojętnym. Znać było, że nie nęciła jej tam wesołość, nie pociągała ciekawość. Jak wprzód szła, tak teraz stała spokojnie i poważnie. Zdawała się czekać czegoś, zniknięcia może z zielonego kawałka gruntu migocących tam głów i brzmiących krzyków dziecinnych.

Krzyki te zwały się po chwili w jeden chórally okrzyk. Zwiastował on radość i tryumf powszechny. Po długich walkach, gonitwach i wysileniach kozy opanowanemi nakoniec zostały; ani jedna z nich nie zatrzymywała się już przy ponętnych krzakach leszczyny, lecz wszystkie znalazły się w mocy swych przewodniczek, które teraz już w jedną spójną zebrały się gromadkę. Jedne z nich wiodły uparte i do buntu zawsze gotowe stworzenia za krótkie ich różki, ciągnąc je z całej siły za sobą i przechylając głowy ich aż prawie do ziemi; inne, obu ramionami objąwszy ich szyję, biegły wraz z niemi krokiem podskakującym i śpiesznym; inne jeszcze, najśmielsze i najsilniejsze, dosiadły ich grzbietów i, unoszone przez osobliwych wierchowców tych, ściśniętemi pięściami trzymające się najdłuższych pasem ich sierści, pełnym klusem lociały ku miasteczku. Cała ta kawalkata, tłumna i głośna, wcisnęła się w jedną z szerszych ulic miasteczka i zniknęła w kłębach kurzawy.

Zielona łączka była teraz pustą i cichą; lekki wiatr tylko szemrał w gałęziach brzoź i leszczyny, a od zachodzącego słońca opuszczał się na nią przezroczysty obłok różowy.

Śniada dziewczyna uwolniła z objęcia szyję swój kozy, śpieszniejszym niż wprzód postąpiła krokiem, i po chwili znalazła się na skraju łączki.

Tu jednak stanęła i wzrok utkwiała w punkt jeden,

jakby z nagłym osłupieniem radości. Punktem tym był gruby pień brzozowy, obalony przez wichry, i u samego podnóżu gaju leżący, a na którym, z dużą księgą, na kolanach roztwartą, siedział młody mężczyzna.

Oslupienie dziewczyny krótko trwało. Z oczyma utkwionemi w schyloną nad księgą twarz młodzieńca, prosta i lekka, przeszła ona całą szerokość łąki, a stanawszy tuż przy pnui, na którym on siedział, pochyliła się, rękę jego w swe ciemne dłonie pochwyciła i do ust swych poniosła.

Zatopiony w czytaniu młody człowiek podniósł szybko głowę, zdumionym wzrokiem okrył twarz dziewczyny, cofnął szybko rękę swą z jej uścisku, i zapłonął się gorącym rumieńcem.

— Ty mię nie znasz? — wyrzekła dziewczyna stłumionym nieco, ale niedrżącym bynajmniej, głosem.

— Nie — odpowiedział młody człowiek.

— A zkaąd możesz mię znać! ale ja znam ciebie. Jesteś Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula. Widuję cię często, jak siedzisz na ganku pięknego domu swego, albo jak z tą książką przechodzisz koło karaimskiego wzgórza.

Wszystko to wymówiła głosem pewnym, z wyprostowaną swą i poważną postawą. Na twarzy jej nie ukazał się najłżejszy wyraz zmieszania ni nieśmiałości, nie wybił się na nią najslabszy cień rumieńca. Tylko czarne jej źrenice jakby się powię-

kszyły i zapłonęły gorącym blaskiem, a blade usta przybrały zarys łagodny i miękki.

— A któż ty jesteś? — z cicha zapytał Meir.

— Jestem Gołda, wnuczka Abła Karaima, pogardzonego przez wszystkich twoich.

Teraz dopiero głos jej drgnął i ozwało się w nim parę brzmień posępnych.

— Wszyscy twoi prześladują Abła Karaima i wnuczkę jego, Gołdę, a ty ich bronisz. Ja tobie dawno podziękować chciałam!

Meir spuścił powieki. Białe czoło jego okrywała wciąż różowa barwa rumieńca.

— Żyście w spokoju, ty i dziad twój Abel, — wymówił z cicha, — niech nad biednym domem waszym rozpostrze się prawica Przedwiecznego, który kocha i broni tych, co cierpią...

— Dziękuję tobie za dobre słowa twoje — cicho już szepnęła dziewczyna; zarazem osunęła się na trawę u nóg młodzieńca i, podnosząc nieco splecione ręce, szeptała dalej:

— Ty, Meir, dobry jesteś, rozumny i piękny. Imię twoje znaczy: „światłość“ i mnie przed oczyma robiło się światło, ile razy ja zobaczyłam ciebie. Ja dawno chciałam ciebie znaleźć i porozmawiać z tobą, i powiedzieć, że, choć ty wnuk bogatego kupca, a ja wnuczka biednego Karaima, co koszyki plecie, my jednacy w oczach Przedwiecznego Pana, i mnie wol-

no na ciebie oczy podnieść i, na twoją światłość patrząc, być szczęśliwą!...

I wyglądała w istocie szczęśliwą. Śniade, zapadłe jej policzki teraz dopiero opłynęły łuną płomiennego rumieńca, wargi purpurą zaszły i drgały, a w czarnych oczach, wzniesionych ku twarzy młodzieńca i napełnionych uwielbieniem namiętném, stały dwie łzy srebrne.

Meir słuchał jej ze spuszczoneym wzrokiem, a gdy umilkła, podniósł powieki, popatrzał na nią przez chwilę i szepnął zcicha:

— Jaka ty wdzięczna jesteś, Gołdo, i — piękna!

Poraz pierwszy, w ciągu rozmowy swęj z Meirem, Gołda oczy spuściła i machinalnie zgarniać poczęła ku sobie wysokie trawy, o puszystych kiściach, rosnące dokola.

Meir patrzył na nią długo w milczeniu. Przedziwna niewinność serca objawiała się w zawstydzeniu, które mu wciąż rumieńcami okrywało czoło, i w nieśmiałej radości, od której zdwojonym blaskiem świeciły szare źrenice jego, kłoniące się wciąż ku ziemi.

— Usiądź tu przy mnie, — rzekł nakoniec cichym głosem.

Dziewczyna podniosła się z ziemi i usiadła na wskazaném jej miejscu. Odzyskała już całą śmiałość swą i powagę. Milcząc, patrzyła na młodzieńca, który nie patrzył na nią. Milczeli długo. Milczenie

tęż panowało dokoła; tylko nad głowami ich szemrały zeicha wysmukłe brzozy, a wkoło poblizkiej sadzawki, porosłej łożą, błotne ptactwo odzywało się rzadkiem, krótkiemi krakaniem i gwizdem.

Meir, patrząc wciąż na ścielące się u stóp jego gęste trawy, pierwszy przemówił:

— Dla czego tak późno wypędzasz kozę swą na pastwisko?

Gołda odpowiedziała:

— Bo nie chcę przychodzić wtedy, kiedy są tu ze swemi kozami inne dziewczęta.

— Czy i one prześladują cię także?

Śmieją się ze mnie, gdy mię zobaczą, przezywają mię różnemi brzydkimi nazwiskami i odpędzają mię od siebie, żebym blisko nich nie była.

Meir podniósł na dziewczynę wzrok, w którym malowała się litość.

-- Czy ty, Gołda, boisz się tych dziewcząt?

Gołda poważnie, na znak przeczenia, wstrząsnęła głową.

— Ja ze strachem razem wyrosłam, — odpowiedziała, — on mój brat i z nim oswoiłam się. Ale kiedy do domu powracam, stary zejde pyta się: — czy ty tam kogo nie spotkałaś? czy tobie kto co złego nie zrobił? — Ja przed nim kłamać nie mogę, a jak powiem prawdę, stary zejde smuci się bardzo i płacze...

— Czy zejde sam cię wychował?

Twierdząco skinęła głową i tak mówiła:

Ojciec mój umarł i matka moja umarła, kiedy ja jeszcze od ziemi nie odrosłam tyle nawet, co ten maleńki krzaczek. Zejde innych dzieci nie miał; wziął mnie do siebie i hodował, i kołysał mnie, kiedy ja chora byłam, i nosił po chacie w rękach swoich, i bardzo całował! a jak ja wyrosłam, prząść mię nauczył i czytać w Biblii, i wszystkie piękne historie znać, co je Karaimi przynieśli sobie z dalekiego świata... Zejde dobry jest, zejde kochany, i taki stary, taki stary... i taki biedny... Włosy jego są jak śnieg od starości, a oczy od płaczu jak korale... Ja często u nóg jego leżę, i kiedy on koszyki plecie, głowę moję trzymam u niego na kolanach, a on swoją starą ręką, co bardzo trzęsie się, po włosach mię gładzi, wzdycha i mówi: — Jossejme! jossejme! (sierota).

Mówiąc to, siedziała w pochyłonej nicco postawie, z łokciem opartym o kolana, a policzkiem ukrytym w dłoni, kołysała się zlekka i nieruchomym wzrokiem patrzyła w dal.

Meir patrzył teraz w twarz jej, jak w tęczę, a gdy wymówiła ostatni wyraz, miękkim, litością nabrzmiałym głosem powtórzył za nią:

— Jossejme!

W tejże chwili, o kilkadziesiąt kroków za nimi, w gęstwinie gaju ozwało się po kilka razy beczenie kozy. Meir obejrzał się.

— Czy twoja koza nie zabłądzi w lesie? — zapytał.

— Nie, — odpowiedziała spokojnie dziewczyna — ona **daleko** ode mnie nie pójdzie, a jak ją zawołam, wróci do mnie. To moja siostra.

— Strach twój brat, a koza twoja siostra! — z uśmiechem rzekł młody człowiek.

Dziewczyna zwróciła z wolna głowę w stronę gaju i wydała parę krótkich, urwanych okrzyków. Natychmiast w gęstwinie zaszumiał bieg szybki i pomiędzy zielonemi splotami brzozowych gałęzi stało mleczno-białe, o długiej sierści stworzenie; stało i czarnemi oczyma patrzyło na parę ludzi obok siebie siedzących.

— Chodź tu! — zawołała Gołda.

Koza zbliżyła się i stanęła tuż przed nią. Prawie aż ciemno-pomarańczowa ręka Gołdy przesunęła się po wyciągniętej jej szyi; pogłodził ją też Meir, uśmiechając się. Koza wydała krótki wykrzyk, poskoczyła i w mgnieniu oka zawiesiła się na gałęzi rozrosłej leszczyny.

— Jaka ona posłuszna! — rzekł Meir.

— Ona **mię** bardzo kocha, — poważnie odpowiedziała Gołda, — jak zejde mnie, tak ja ją wychowałam. Ona była maleńkiem kozłęciem, kiedy zejde przyniósł ją raz do domu i mnie darował, a ja ją potem na rękę nosiłam i z rąk moich karmiłam; a kiedy ona **była** chora, śpiewałam nad nią, tak, jak zejde śpiewał niegdyś nade mną.

Mówiąc to, uśmiechała się, miała pozór dziecka, i nie wyglądała na więcej, jak na lat czternaście.

— A chciałabyś ty mieć znowu małe kozłatko?
— zapytał Meir.

— Czemu nie? — odpowiedziała, — chciałabym bardzo. Jak zejde kiedy dużo koszyków sprzeda, a ja dużo wełny napręde... kupim sobie znów na targu takie białe kozłatko...

— A dla kogóż ty wełnę przedziesz?

— Są takie dobre kobiety, co mi ją dają. Hana, żona Witebskiego, ciotka twoja, Meir; Sara, żona Bera — dają mi prząść wełnę, a potém płacą mi miedzianemi, czasem i srebrnemi pieniędzmi...

— To ty, Goldo, przychodzisz czasem do naszego domu brać wełnę do przedzenia od Sary, żony Bera?

— Przychodzę.

— A czemu ja ciebie nigdy nie widziałem?

— Bo oni mnie pod wielkim sekretem wołają i robotę dają. Ber i żona jego Sara są bardzo litościwi ludzie, ale nie chcą, żeby się kto dowiedział, że oni dziadka i mnie znają i nam pomagają. Ja do nich wtedy przychodzę, kiedy nikogo niema w domu, chyba jedna Lijka, twoja siostra stryjeczna, Meir, i zawsze tak idę, żeby mię czarny człowiek nie zobaczył...

— Jaki czarny człowiek? kto to ten czarny człowiek? — z zadziwieniem zapytał Meir.

— Rabbi Izaak Todros! — bardzo cichym tajemniczym szeptem odpowiedziała Golda.

Na dźwięk wymówionego przez Goldę imienia twarz Meira, rozpromieniona wprzód, litościwa na-

wpół, a nawpół zapłoniona wzruszeniem, nerwowo drgnęła. Umilkł nagle i wpatrzył się w daleki punkt przestrzeni oczyma, w których zagrały posępne światła. Zamyślił się tak, że aż głęboka zmarszczka powstała mu na białem czole. Zdawało się, iż nagle zapomniał o tém, że nie był sam jeden.

— Meir! — ozwał się tuż przy ramieniu jego szept łagodny, — o czém ty tak zamyśliłeś się i czemu oczy twoje zrobiły się takie smutne? Imię twoje znaczy „światłość”. — Czy tobie nie świeci zawsze słońce pociech i radości?

Młody człowiek, nie zmieniając kierunku spojrzenia, w zdumienie wstrząsnął powoli głową.

— Nie! — odszepnął, — na mojem sercu leży wielki smutek!

Dziewczyna pochyliła się ku niemu blisko.

— Meir! — zawołała, — a zkad u ciebie ten smutek na sercu?

Milczał chwilę, potem zwolna odpowiedział:

— Ztąd, że są u nas czarni ludzie, i że u nas wszędzie tak czarno... tak czarno...

Dziewczyna spuściła na dłoń czoło, i jak smutne echo powtórzyła:

— Oj, czarno!

Meir zamyślonemi oczyma patrzył wciąż w dal, w stronę, kędy długi szlak lasu rozdzielał złotą równinę z liliowym skłonem nieba.

— Gołdo! — ozwał się półgłosem.

— Co, Meir?

— Czy ty nigdy nie chciałaś wiedzieć i widzieć co tam za tym lasem gęstym i wysokim dzieje się, daleko... daleko na szerokim świecie?

Dzieweczyna milczała. Z postawy jej, pochyłonej ku młodzieńcowi, i oczu jej, szeroko rozwartych, płomiennych, poznać było można, że kiedy patrzała na niego, nie już więcej na całym szerokim świecie widzieć nie chciała.

Ale Meir mówił dalej:

Ja-bym od ptaka skrzydeł sobie pożyczył, aby tam za ten las, daleko, polecieć...

— Czy tobie piękny dom bogatego Saula nie miły? czy tobie nie miłe twarze braci, krewnych i przyjaciół twoich, że ty-byś od nich skrzydłami ptaka chciał odlecieć? — z tłumionem uniesieniem żalu, czy przestachu, szepnęła dziewczyna.

— Miły mi dom dziada mego Saula, — odszepnęły usta zadumanego młodzieńca — i miłe mi twarze wszystkich braci i krewnych moich... Ale ja-bym chciał za ten las polecieć, ażeby wszystko wiedzieć i bardzo mądrym stać się, a potem tu powrócić i wszystkim tym, co w ciemnościach siedzą i w kajdanach chodzą, powiedzieć, jak oni mają zrobić, żeby z ciemności wyjść i kajdany swoje z siebie otrząsnąć ..

— I ja bardzo ciekawy, — mówił dalej po chwili milczenia, — ja-bym chciał wiedzieć, jakim sposobem gwiazdy po niebie chodzą i trawy z ziemi wyrastają...

jak wszystkie narody na ziemi żyją i jakie są rozumne i święte ich księgi? i ja-bym chciał wszystkie rozumne księgi te przeczytać, i z nich nauczyć się myśli Bożej i doli ludzkiej, ażeby dusza moja stała się tak pełną wiedzy, jak pełną wody jest wielka otchłań morza... Ja taki ciekawy... ja takbym chciał...

Urwał nagle, bo westchnienie, wybuchając z głębin piersi ognistój, przejętój niewysłowioną tęsknotą i nienasyconém pragnieniem, głos mu przerwało.

Po chwili milczenia dodał ciszej:

— Ja-bym chciał być taki szczęśliwy, jak był Rabbi Akiba...

— A kto to taki był Rabbi Akiba? — nieśmiało zapytała Golda.

Zadumane oczy Meira rozświeciły się i błysnęły:

— To był wielki człowiek, Goldo! Ja jego historią często sobie czytam i teraz ją czytałem, kiedy ty do mnie przysłaś...

— I ja dużo wiem pięknych historii, — rzekła Golda, — one w mojej duszy wyrastają jak czerwone i pachnące róże! Daj ty mi, Meir, jeszcze jedną taką różę; niech ona przede mną świeci, kiedy ja na ciebie patrzeć nie będę mogła...

Spojrzenia ich spotkały się. Miękki uśmiech okrążył usta Meira.

— Umiesz po hebrajsku? — zapytał.

Śpiesznie skinęła głową, na znak twierdzenia.

— Umiem; zejde nauczył...

Meir odwrócił parę kart wielkiej księgi, która na kolanach jego leżała, i głośno czytać zaczął:

„Kolba Sabua, było człowiek bogaty. Pałace u niego były wysokie jak góry, a suknie jego od złota błyszczały; a w jego ogrodach rosły cedry pachnące, palmy z szerokiem liściem i kwitły wonne róże Saronu.

„Ale piękniejszą od pałaców wysokich, od cedrów pachnących i pąsowych róż, piękniejszą od wszystkich dziewcz w Izraelu, była córka jego, młoda Rachela.

„Kolba Sabua miał tyle trzód, ile jest gwiazd na niebie, a trzody te pasał młodzieniec ubogi, co wzrost miał wysoki jako cedr młody, a twarz bladą i smutną, jak u człowieka bywa, który duszę swoją z ciemnicy wybawić chce, a nie może.

„Młodzieniec ten nazywał się Józef Akiba, i mieszkał na wysokiej górze, po której pasły się trzody pana jego.

„I zdarzyło się raz, że piękna Rachela przyszła do ojca swojego, upadła przed nim na ziemię, nogi jego całowała, bardzo płakała i mówiła: Ja chcę pójść za Akibą i mieszkać w tej nizkiej, czarnej chatce, co stoi tam na wierzchołku góry i w której on mieszka!

„Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Wielkim on uniósł się gniewem na córkę swoją, piękną Rachele, i zakazał jej myśleć o młodym pasterzu.

„Ale piękna Rachela wyszła z wysokiego pałacu,

nie nie zabrawszy z sobą, prócz czarnych oczu swoich, które jak wielkie brylanty, błyszczały łzami, i czarnych swych włosów, co podnosiły się nad jej czołem jak wielka korona. I poszła na wysoką górę, do czarnej chatki weszła i powiedziała: — Akibo! oto żona twoja do domu twego wchodzi!

„Akiba był w wielkiej radości, wypił z oczu Racheli jej łzy brylantowe, a potem bardzo piękne rzeczy zaczął jej mówić. Mądre słowa jak miód lały się z ust jego, a ona słuchała i szczęśliwą była i powiedziała: — Akibo! ty będziesz wielką gwiazdą, co nad drogami Izraela zaświeci!

„Kolba Sabua był człowiekiem dumnym i twardego serca. Nie posłał on córce swój na wysoką górę żadnej żywności, ani żadnej sukni i mówił: niechaj pozna głód i zobaczy nędzę.

„Piękna Rachela poznała głód i zobaczyła nędzę. Był taki dzień, że nie miała nawet co włożyć w usta Akiby i zamyśliła się bardzo nad tem, że mąż jej głodny.

„Akiba mówił: — Nic to, że ja głodny!—i zaczął jej znowu mądre rzeczy opowiadać, ale ona wstała, z wielkiej góry zbiegła, do miasta weszła i zawołała: — kto mi da miarę jagieł za tę czarną koronę, co ją na głowie noszę! — I dali jej miarę jagieł, a czarną koronę, co piękniejsza była niżli brylanty i perły, z czoła jej zdjęli.

„Wróciła na górę, do małej chatki weszła i po-

wiedziała: — Akibo! usta twoje mam już czem nakarmić; ale dusza twoja głodna, i pokarmu dla niej ja nie dostanę! Idź ty w świat i karm duszę swoją wielką mądrością, co z ust uczonych płynie. Ja tu zostanę, przed progiem domu twego usiadę, praść wełnę i pasać trzody będę i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz, jak słońce, które powraca na niebo, aby ciemności nocy rozpędzić.

„Akiba poszedł...”

Tu głos czytającego urwał się i oczy jego opuściły karty książki, tuż bowiem przy jego ramieniu ozwał się zdziwiony jakby i pytający szept:

— Akiba poszedł? — wymówiła Golda z szeroko roztwartemi oczyma i oddechem zapartym w piersi.

— Akiba poszedł! — powtórzył Meir i znowu czytać zaczął:

„Piękna Rachela przed progiem domu jego usiadła, wełnę przędła, trzodę pasła i na tę drogę patrzała, którą powrócić miał on, jasny cały od wielkiej mądrości.

„Siedem lat przeszło. I był wieczór taki, w którym miesiąc leje na ziemię morze srebrnej światłości, a drzewa i trawy stoją cicho i nie ruszają się, jakby wionął na nie duch Przedwiecznego, co światu niesie pokój i ciszę.

„Tego wieczora z za wysokiej góry wyszedł człowiek wysoki i blady. Nogi jego trzęsły się jako liście, gdy nimi wiatr miota, a ręce podnosiły się do

nieba. A kiedy on zobaczył małą biedną chatkę, łyzy wielkim strumieniem puściły się mu z oczu, bo był to Akiba, mąż pięknej Racheli.

„Akiba stanął przy oknie chatki swojej, które otwarte było, i słuchał, jacy tam w niej ludzie gadali.

„Gadała tam żona jego Rachela z bratem swoim, którego ojciec jej przysłał do niej.—Powróć do domu Kolby Sabuy — mówił jej brat; a ona odpowiedziała: — Czekam tu na Akibę i domu jego strzegę. — Brat mówił: — Akiba nie wróci już nigdy. On porzucił ciebie i wielki wstyd tobie zrobił. — Ona odpowiedziała: — Akiba mię nie porzucił. Ja jego sama posłałam do źródła mądrości, ażeby on z niego pił.— On ze źródła mądrości pije, a ty kąpiesz się we łzach i ciało twoje wysycha od nędzy! — Niech oczy moje ze łzami wypłyną i niech ciało moje zje nędza: ja domu męża mego strzedz będę. I żeby teraz stanął przede mną ten, dla którego miłość w sercu mojem czuję, i powiedział: — Rachelo! wróciłem do ciebie, abyś nie płakała dłużej, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem! powiedziałabym jemu: — Idź i pij więcej!

„Błady podróżny, co stał pod oknem, które otwarte było, jak posłyszał to, co mówiła Rachela, zbladł jeszcze bardziej, zatrząsł się mocno, odszedł od małej chatki swojej i wrócił tam, z kąd był przyszedł.

„Znowu przeszło lat siedem. I nadszedł dzień taki, w którym słońce leje na ziemię potoki złotych

jasności, a drzewa szumią i kwiaty kwitną, i ptaki śpiewają, i ludzie śmieją się, jakby powiał na nich duch Przedwiecznego, który niesie światu życie i radość.

„Na drodze, co wysoką górą podnosiła się do niskiej chaty pasterza, szumiała wielka gromada ludzi. Pośrodku niej siedł człowiek wysoki; twarz jego jaśniała jak słońce, wielką mądrością, a z ust jego padały słowa słodkie jak miód, a wonne jak mirra. Lud kłaniał się przed nim nisko, słowa jego chciwymi uszyna chwytal i z wielką dla niego miłością wołał: — O! Rabbi!

„Ale przez gromadę ludu przebiegła kobieta i, upadłszy na ziemię, objęła kolana mistrza. Wrzuciono ona w rękę swém trzymała, lachmany ją okrywały, twarz jej była chuda, bo przez lat czternaście zjadała ją nędza, i oczy głęboko zapadłe, bo przez lat czternaście wypływały łzami!

— Idź precz! żebraczko! — krzyknął lud na kobietę, ale mistrz podniósł ją z ziemi i do piersi swęj mocno przycisnął; bo był to Józef Akiba, a kobieta była żoną jego, Rachelą.

— „Oto zdrój, co smutne serce me poił nadzieją, kiedy głowa moja, w tęsknocie i pracy wielkiej, nurzała się w źródle mądrości.”

„Tak mistrz do ludu powiedział i chciał na głowę Racheli włożyć koronę ze złota i pereł.— Ty, Rachelo, rzekł, zdjęłaś niegdyś z głowy swojej piękny swój

warkocz, aby głodne usta moje nakarmić; ja teraz czoło twoje przyozdobię bogatym wieńcem!”

„Ale ona zatrzymała ramię jego i, podnosząc nań oczy, które znowu pięknemi stały się jak przed wielu laty, rzekła: — Rabbi! chwała twoja jest moją koroną!”

Skończył czytać młodzieniec i powolne spojrzenie zwrócił na siedzącą obok niego dziewczynę.

Gołda miała twarz całą w płomieniach i w łzach.

— Piękna historia? — zapytał Meir.

— Piękna! — odpowiedziała i, z policzkiem opartym na dłoni, kołysała przez chwilę wysmukłą swą kibić, jakby w rozmarzeniu lub zachwyceniu. Nagle łzy oschły na jej oczach, pobladła i wyprostowała się.

— Meir! — zawołała — żebyś ty był Akibą, a ja córką bogatego Kolby Sabuy, ja-bym dla ciebie to samo zrobiła, co piękna Rachela!...

Powolnym giestem ujęła w obie ręce pyszny warkocz hebanowej czarności, który niedbale zwisał jej na plecy i, okręcając go w koło głowy, rzekła:

— I ja mam taką samą, jak Rachela, czarną koronę!

Potem podniosła na Meira źrenice swe, głębokie i płomienne, i śmiało, poważnie, bez uśmiechu, rumieńca i uniesienia, rzekła:

— Ja-bym dla ciebie, Meir, i oczy moje z głowy

mojej wyjęła! A na co-by mi oczy, kiedy-był na ciebie patrzeć nie mogła?

Gwałtowny rumieniec wytrysnął na twarz młodzieńca, ale nie był to już wstyd: było to wzruszenie. Dziewczyna ta była taka naiwna, taka dzika i zarazem taka piękna w swym ogromnym potarganym warkoczu nad czołem i z namiętnymi słowami na śmiałych, poważnych ustach!

— Gołda! — rzekł Meir — ja przyjdę kiedy do waszego domu i starego dziada twego nawiedzę!

— Przyjdź! — odpowiedziała — z tobą razem przyjdzie do domu naszego wielka światłość!

Słońce zaszło już było prawie za wysoki obłok z purpury i fioletu. Mała sadzawka z za splotów wysokich łóz świeciła zdała liliową szybą. W stronę tę padło spojrzenie Goldy i zatrzymało się na wodzie i wzrastającej dokoła niej zieloności.

— Czego ty, Gołdo, tak patrzysz na tę sadzawkę? — zapytał Meir, który wzroku swego od twarzy jej oderwać już nie mógł.

— Ja-byłm chciała gałęzi tych, co tam rosną, dużo naścinać! — odpowiedziała.

— A na co tobie te gałęzie? co ty z nich robić będziesz?

— Ja-byłm je do domu zaniósł. Zejde z nich kosze i kobiałki robi, a potem je na targu chłopom sprzedaje i za to chleb, a czasem i ryb trochę, ku-

puje. Teraz już dawno zejde nie ma z czego kossów robić i bardzo smuci się..

— A dla czegoż ty ich sobie nie weźmiesz, kiedy one tobie potrzebne?

— Mnie brać ich nie wolno!

— Czemu nie wolno? Wszystkim z całego miasteczka wolno paść tu trzody i ścinać gałęzie. Ta łąka i ten gaj do Szybowskięj gminy należą.

— To co, że należą? Mnie nie wolno. My w Talmud nie wierzym, w sobotę światel nie palim... nam nie wolno!

Meir podniósł się z siedzenia nagłym ruchem.

— Chodź! — rzekł do Góldy — naścinaj sobie gałęzi tych, ile zechcesz; ja będę stał przy tobie... i już ty niczego nie bój się!

Twarz Góldy zajaśniała radością. Wzięła z rąk Meira składany nóż, który on jęj podał, i pobiegła ku sadzawce. Teraz, gdy czuła się bezpieczną, pod osłoną silnego a drogiego ramienia, gdy uśmiechnęła się jęj nadzieja sprawienia radości staremu dziadkowi, ruchy utraciły powagę, która dawała jęj pozór dojrzałęj kobiety. Biegła, oglądając się wciąż na Meira, który szedł za nią, i wołając kozy swęj, która biegła ku nięj z przeciwnego krańca łąki.

Stanęli nad wodą. Najgęstsze łozy rosły w wodzie już, o kilka kroków od mokrego brzegu. W mgnieniu oka Gólda zrzuciła ze stóp swych płytkie swe obuwie i zakładając nieco długą swą suknię za

przewiązanie fartucha, aby uczynić ją krótszą, wbiegła do wody. Meir został na brzegu i patrzył na dziewczynę, która, podnosząc ramiona, ciemnymi rękoma ścinała szybko giętkie gałęzie. Śmiała się przytém; usta jej, rozstwierając się w uśmiechu, ukazywały rząd zębów, białych jak perły; blaski jaskrawych obłoków oblewały ciemną twarz jej różową łuną i złociły owiniętą w koło jej czoła czarną koronę.

Meir nie spuszczał z niej wzroku i uśmiechał się także. W pobliżu biała koza stanęła też w zielonych krzakach i, wyciągając szyję, patrzyła na panią swą, stąpającą po liliowej wodzie. Nagle Gołda wydała głośny okrzyk i pochyliła się.

— A co tam? — zapytał Meir.

Z zielonej gęstwiny, w której skryła się całkiem postać dziewczęcia, ozwał się głos wesoly:

— Tu, Meir, piękne są kwiaty!

— A jakie to kwiaty?

Wysmukła kibić wychyliła się nawpół z zieleni, wygięła się ku brzegowi i, wyciągając szczupłe ramię, podawała stojącemu u brzegu mężczyźnie szerokolistną, żółtą lilią wodną. Meir pochylił się nieco, aby dosięgnąć podawanego mu kwiatu, lecz nagle ramię Gołdy drgnęło, różowa twarz jej pobladła, oczy jej otworzyły się szeroko z uczuciem zgrozy.

— Czarny człowiek! — szepnęła; zarazem upuściła do wody lilią i z cichym krzykiem trwogi zanurzyła się całkiem w nadwodnej zieleni.

Meir obejrzał się. O kilkanaście kroków za nimi wychodziła z gęstwiny gaju i szybko przesuwała się łąką dziwna jakaś postać. Był to człowiek średniego wzrostu, bardzo chudy, z bardzo ciemną twarzą, z czarnemi, siwiejącemi już nieco włosami i czarną, siwiejącą brodą, która opadała aż do pasa. Ubrany był w długą, wąską suknię, z grubego, wyszarzanego sukna; szyja jego, naga i żółta, wychylała się z za rozwartej grubiej koszuli. Trzymał się bardzo pochyłoszedł bardzo prędko. Kroki jego nie czyniły żadnego szelestu, bo na nogach miał płytke, znoszone obuwie. W obu rękach niósł ogromną wież różnobarwnych ziół dzikich; nad głową jego i za nim leciała gromada ptaków, które znały go snadź dobrze, bo niekiedy na czarnych włosach jego, lub zgarbionych plecach, siadać próbowały.

Kiedy człowiek ten, nie patrząc na Meira, mijał go o kilka kroków, młodzieniec machinalnie pochylił głowę nisko, na znak pokory i czci. Wnet przecież podniósł ją. Twarz jego była bladą, brwi ściągnęły się z tłumioną boleścią. Posępny wzrokiem powiódł za przygarbioną postacią, cicho mknącą przez łąkę — i, przez zaciśnięte od gniewu czy bólu zęby, wymówił:

— Rabbi Izaak Todros!

IV.

Rabbi Izaak Todros nosił na powierzchowności swój, a może i w duchowym swym ustroju, wybitne ślady kilkowiekowego przebywania przodków jego w palącym klimacie Hiszpanii.

Tulaczy lud, zdumiewająco wytrwały w zachowywaniu cech wyróżniających go z pośród plemion innych, siłą niezwalczonych wpływów przyrody zacerpnął przecież tu i owdzie coś z widnokręgów różnych, po których rozsiewała go dola wygnańca.

Istnieją tu wśród ogólnych podobieństw różnice ważne: ludzie względnie niedawno przybyli z południa lub wschodu, — i ci, nad którymi od wieków rozciąga się niebo blade i wieją mroźne wichry; duchy powolne — i namiętne, mistyczne — i zatopione w rzeczywistości; włosy czarne, jak najczarniejsze pióra krucze, — i oczy błękitne, jak barwa pogodnych obłoków; czoła białe — i śniade; organizmy silne, hartowne — i ciała chude, suche, nerwow ,

drgające namiętnością, napojone marzeniem, trawione fantazyą.

Najśniedszą z pośród śniadych twarz, najczarniejsze z najczarniejszych włosy i oczy, najnamiętniejszego i najbardziej marzeniem rozebranego ducha z pośród wszystkich ognistych duchów—posiadał Izaak Todros.

Jakie właściwie stanowisko zajmował on w swęj gminie, i na czém wspierało się ono? Kapłanem nie był; rabbini kapłanami nie są, a żaden naród może tak dalekim nie jest z natury swęj, jak izraelski, od teokratycznych rządów i poddaństw. Administratorem gminy swęj nie był także, sprawami cywilnymi jęj bowiem trudnili się urzędnicy kahału; rabbini zaś posiadają w składzie kahału jedyną rolę strażników religii, przepisów jęj i obrządków. Posiadał on przecież wyższe nad wymienione powyżęj godności. Pochodził ze starożytnego książęcego rodu, pomiędzy przodkami swymi liczył wielu mędrców dawnych, a niedawnych świątobliwych i czezonych rabbinów; był doskonałym pobożnym, więc cadykiem i chachamem, ascetą, cudotwórcą niemal, a także głęboko, niezmiernie uczonym.

To ostatnie stosowało się do uczoności religijnej tylko; ale była téż-to w oczach gminy Szybowskięj uczoność jedyna.

Uczoność ta obejmowała nieporównaną zna-

jomość ksiąg świętych: Tory czyli Biblii najmniej, Talmudu więcej, najwięcej Kabały.

Izaak Todros był najbieglejszym kabalistą czasów najnowszych, i stanowiło to kamień węgielny, na którym wspierała się budowa jego wielkości.

Ktoś zaznajomiony choć trochę z rzeczami dotyczącymi wiary izraelskiego plebsu przypuści zapewne, że ludność Szybowska była odłamem licznęj a posępnęj sekty Chassydów, która na czele wszystkich nauk duchowych i świeckich stawia Kabałę.

Nie; mieszkańcy Szybowa nie uważali się za odszczępieńców: owszem, szczycili się tē, iż są prawowiernymi talmudystami i rabbinitami. Ale należeli oni do tych, licznych zresztą w najniższych warstwach społecznych, talmudystów, którzy do Tory i Talmudu przyłączyli Kabałę, uznali ją za księgę świętą i rozmiłowali się w nięj z namiętnością, usuwającą w cień dwie księgi pierwsze.

Zresztą przeleciał tēz nad ludnością Szybowską i Cassydyzm, zetknął się z nią, zbliżka i pozostawił śród nięj liczne ślady. Znaczna część ludności tēj była w istocie Chassydzką, nie wiedząc o tēm sama; a wieść niesła, że dziad Izaaka Todrosa, ów Reb Nochim, który-to staczał walki o idee z Herszem Ezołowiczem, był czas jakiś uczniem Beszta, założyciela dziwnęj tēj sekty, widywał go często i — jakkolwiek nie przyłączył się do nięj całkiem — wniósł w gminę,

której duchowym przewodnikiem był, wiele z zasadniczych jej pierwiastków.

Głównemi pierwiastkami temi są: nieograniczona cześć dla Kabały, bałwochwaleze niemal wielbienie Cadyków i wstręt pobożny, głęboki, niezłomny ku Edomitom (obcym narodom) i ich naukom.

Pierwiastki te zwiększały się i rozrastały coraz za sprawą syna Nochimowego, Borucha, a wnuk jego, Izaak, ujął w dłonie dostojeństwo, przez przodków dzierżone w czasie ich największego rozkwitu.

Religia więc Szybowskich mieszkańców nie była, Mozaizmem, ani Talmudyzmem, ani Chassydyzmem ale chaotycznem pomieszaniem wszystkiego tego,— pomieszaniem, które panowało na przestrzeni wielu dziesiątków mil dokoła Szybowa, a najwyższy wyraz swój znajdowało w osobie Szybowskiego rabбина.

Rabbi Izaak miał ciemne czoło, zorane całe głębokimi brózdami, które powstały na niem wtedy, gdy myślą wyteżoną przenikać usiłował tajemnice nieba i ziemi, za pomocą odpowiedniego układania liter, składających imiona Boga i Aniołów. Miał on też w czarnych jak węgle swych oczach błyski ponure lub zachwycone, które rozpały się przy rozpamiętywaniu niezmierniej grozy i nieporównanych rozkoszy nadprzyrodzonego świata. Plecy jego przygarbione były od pochylania się nad księgami; ręce drżące od nieustannych wzruszeń umysłu, bojującego

z widmami; ciało wyschłe i policzki głęboko wklęsłe, od udręczeń duchowych i umartwień fizycznych.

Celibat, post i bezsenne noce wypisane były na ciemnej powierzchowności człowieka tego, zarówno jak mistyczna ekstaza, tajemna groza i przebaczenia nieznająca nienawiść ku wszystkiemu, co żyło, wierzyło, pragnęło inaczej, niż on.

Za młodu żonatym był, a raczej ożeniono go wtedy jeszcze, gdy najmniejszy włosk dojrzałości męskiej nie okazywał się na policzkach jego. Wkrótce rozwiódł się z żoną, która krzątaniem się swém maciła mu nabożne skupianie lub podnoszenie ducha; troje dzieci jego wzrastało w domu brata jego; a on sam, pustelnik, w niskiej swój czarnej chatce, żył cały, wyprężonem do ostatnich granic, życiem fantazyi, namiętnych modłów i przepaścistych mistycznych rozmyślań.

Pod względem cielesnym żył on darami, które przysyłali mu żarliwi czciciele jego. Dary te zresztą powszednie były i drobne. Wielkich, kosztownych podarków Rabbi Izaak nie przyjmował, ani nawet zapłaty żadnej nie brał za udzielanie rad, leków i przepowiedni przybywającym doń wiernym.

Ale codziennie, przed wschodem słońca, przez dziedziniec szkolny przesuwaly się nieśmiało jakieś postacie i na ławce drewnianej, stojącej u okna chaty, stawiały bez szelestu żadnego gliniane na-

czynia, napełnione jadłem, i kładły kromki chleba lub świątecznego ciasta.

Rabbi w tej porze zwykle odmawiał poranne modlitwy, albowiem była to pora, w której barwę białą od blado-błękitnej rozróżnić już można, w której zatem wszelki prawowierny Izraelita poranne Szemy i Tefile odmawiać powinien.

Potem otwierał okno i z pod żółtych powiek długo, żrenicą ognistą, pływającą po zaczerwienionych od trudu białkach ocznych, patrzył na różowe blaski jutrzeńki. Tam, w tej stronie, Wschód był daleki, Jeruzalem, niewidzialne już gruzы Salomonowej świątyni, Palestyna, płacząca po synach swych, i wędnące od smutku palmy Syonu.

Niekiedy ogień, płonący w oczach rabbina, gasł w łzie, która, spływając, chłodziła spalone od pożarów wewnętrznych jego policzki... Chłodziły je też czasem wiatry mroźne i wilgotne mgły; ale Izaak Todros, przez mgły i tumany deszczowe lub śnieżne, długo zawsze, co rano, patrzył ku Wschodowi... Potem pochylał się i brał z ławy przygotowane dlań przez pobożną rękę pożywienie. Nie spożywał go nigdy całkiem, bo chleb i ciasto łamał w drobne okruchy i pełnemi garściami rzucał je ptakom, których gromady wielkie zlatywały wtedy z sąsiednich dachów, z ulic, zewsząd, aby przezroczystą oponą ruchliwych skrzydeł przysłonić małe otwarte okienko. Niektóre z nich porywały okruchy i odnosiły je

do gniazd swych, z radośnym szczebiotem; inne, nasycawszy się, wlatywały w okienko i obsiadały gromadnie czarne i przygarbione ramiona karmiciela swego. Pod niską strzechą chatki gnieźdzące się licznie jaskółki wychylały się też z gniazd swych i, spuszczać ku niemu dzioby swe, patrzyły nań śmiałemi oczyma. Wtedy ciemna twarz rabbina stała się trochę mniej ciemną i czasem, rzadko kiedy przecież, uśmiech łagodny igrał po wargach jego, zaciśniętych i gęstemi włosami obrosłych.

Ptaki znały go dobrze i zblizka, nietylko te, które zamieszkiwały miasteczko, ale i te także, których pełen był gęsty gaj brzozowy.

Izaak Todros wychodził często do gaju i zagłębiał się niekiedy aż w sąsiadujące z nim ogromne puszcze sosnowe. Co czynił tam? Karmił ptaki, które, spostrzegłszy go, zlatywały się wnet ze stron wszystkich i towarzyszyły mu przez cały ciąg jego przechadzki. Modlił się wielkim głosem nieraz, podnosząc w górę trzęsące się ręce i odgłosami namiętnych swych krzyków wywołując chóry ech leśnych; szukał nakoniec różnych traw i ziół dzikich, które zrywał ogromnemi więziami i do małej swój chaty z sobą unosił. Rośliny te posiadały lecznicze własności, których znajomość spadała w rodzinie Todrosów z ojca na syna. Byli oni wszyscy z rodzaju pierwotnych tych lekarzy, jakich pełne były Wieki Średnie, lekarzy, którzy sztukę leczenia cierpień cielesnych

otrzymywali, nie od akademii żadnej, ale z rąk dzi-
kiej natury, badanej fantastyczną i ciekawą raczej,
niż umiejętną myślą. Jeden zresztą z dalekich przod-
ków Izaaka Todrosa słynnym był niegdyś w Hiszpanii
lekarzem, wtedy, gdy w niedoli izraelskiego ludu za-
szedł był krótki przestanek jakiś, i gdy wolno im by-
ło, wraz z innemi narody, czerpać wszechstronne ży-
ciowe pokarmy ze źródeł wszelkich. Przestanek to
był krótki, po którym zniknęli ze świata sławni i isto-
tnie uczeni izraelscy lekarze; ale ten z nich, który
nosił imię Todrosa Halewiego, przekazał wiadomości
swe synom swoim, i powędrowały one potem z poko-
lenia w pokolenie, przeinaczając się na różne sposo-
by, strojąc się w liczne fantastyczne szaty, układając
się w dziwne, cudowne legendy, gdzie bohaterami
były skromne rośliny te, ze skromnemi barwami
a przejmującą wonią, po których deptały wzgardliwie
stopy niebaczących przechodniów.

Izaak Todros wyszukiwał pilnie i skrzętnie zbie-
rał drogocenne te przedmioty starej wiedzy i długie
podań swych rodzinnych; unosił je z sobą i — wró-
ciwszy do nizkiej lepianki swój—rozkładał je cien-
kiemi warstwami na brudnej podłodze ciasnej izby,
aby rzadkie tu i ubogie promienie słońca, padając na
na nie, przenikały nawskróś dobroczynną swą siłą.

Zawsze też, a w letniej i jesienniej porze najczę-
ściej, atmosfera małej izdebki rabбина przejęta była
cała silnemi i dusznemi woniami suszących się ziół

i kwiatów dzikich. Blade barwy uwiedłych roślin smętnie jaśniały na otaczającym tle ścian szarych od pyłu, przez dziesiątki lat gromadzącego się w grube warstwy, i wśród śmiecia, zalegającego kąty i przysypującego grubą podłogę, wyglądały jak tęskne, z zielonych rajów porwane, dyamenty.

Izdebka to zresztą była przypominająca surowe cele pustelników i anachoretów. Nic w niej nie było, prócz niskiego, twardego łoża, białego stołu, umieszczonego przy jednem z okienek, pary stołków drewnianych i kilku mocnych desek, wprawionych w ścianę i napełnionych księgami. Śród ksiąg tych znajdowało się dwanaście tomów, ogromnej wielkości, odwiecznym drukiem napełnionych i w żółkły pergamin oprawnych. Był to talmud. Powyżej leżały: *Ozar-ha-kabod*, dzieło skreślone przez jednego z przodków Izaaka, przez owego Todrosa Halewiego, który pierwszym Talmudystą był, w Kabałę wierzącym; *Toldot Adam*, epopeja opiewająca dzieje pierwszego człowieka i wygnańca; *Sefer-Jezira* (Księga Stworzenia), apokaliptyczny obraz powstania świata; *Kaarat, Kezef*, w którym Ezobi przestrzega Izraelitów przed zgubnymi wpływy wszelkiej świeckiej nauki; *Szyur-Koma*, plastyczny opis Boga, oświecający czytelników o fizycznej Jego postaci, olbrzymich rozmiarach głowy, nóg, rąk i szczególniej brody Bożej, posiadającej, według twórcy dzieła tego, 10,500 parasangów długości. Ale na najwyższem miejscu

złożona i częstém używaniem najbardziej zniszczona, znajdowała się tam Księga Blasku, *Zohar*, najobszerniejsza i najgłębsza zarazem rozprawa o Chochma-Nistarze (Kabbale), którą pod imieniem żyjącego przed wielu wiekami rabbina Szymona-ben-Jochai wydał w wieku XIII Mojżesz z Leonu.

Takim był księgozbiór Izaaka Todrosa, nad którym spędzał on bezsenne noce, czerpiąc zeń wielką uczoność i mądrość swoją, trawiając nad nim wszystkie siły swego ciała. Z niego-to ulatującą wonią upajał on ducha swego mistycznemi wzruszeniami i gorzkim, ostrym jadem bezbrzeżnych wstrętów od wszystkiego, co obcém było lub niechętném zawierającemu się nim światu, pełnemu nadprzyrodzonych blasków ciemności. Nad nim-to przesiadywał on noce, nie tylko powszednie i zwykłe, ale nawet świąteczne; tylko że w świąteczne noce nie bywał sam jeden, lecz przy nogach jego siadywał uczeń i ulubieniec jego, Reb Mosze, mełamed, ażeby ucinać, gdy zajdzie tego potrzeba, czarny knot żółtej łójówki. Pobożnemu bowiem, który w noc świąteczną czyta Księgi Święte, objaśniać świecy nie wolno, i trzeba, ażeby podówczas znajdowała się obok niego uważna, zastępcza ręka. Czytywał więc rabbin w noc świąteczne Szyur-Komę i *Zohar*, a siedzący obok niego mały człowieczek, w grubój koszuli, podnosił się kiedy niekiedy z niskiego siedzenia swego, ożywiał ciemniejący płomyk żółtej świecy i okrągłe oczy swe w twarz mistrza wpajał, czekając, aż lada chwila kreślone, usta

wiane i przestawiane ręką jego litery imion boskich, Notarykon i Gematria, ułożą słowo, które wielkich cudów dokonywać będzie i odkryje przed ludźmi wszystkie tajemnice nieba i ziemi.

Izaak Todros, wracając wnet po zachodzie słońca do domu, z wielką więzią dzikich roślin w dłoniach, znalazł wiernego czciciela swego, siedzącego w kącie ciemnej sionki. W skurczonej postawie siedząc, opierał on twarz na obu dłoniach i pogrążał się w rozmyślaniach głębokich.

— Mosze! — ozwał się rabbin, szybko i cicho przesuwając się przez sionkę.

— Co rozkażesz, Nassi? — pokornym głosem zapytał Mosze.

— Idź, Mosze, zaraz do starego Saula i powiedz jemu, że rabbin Izaak Todros jutro domostwo jego nawiedzi!

Skurczona i szarzejąca w ciemnym kącie postać porwała się jak sprężyną z ziemi poruszona i bosemi stopami pomknęła szybko przez plac ku wysokiemu domostwu Saula. Tu, wpadłszy na ganek i przebiegłszy długi korytarz, melamed otworzył nawpół drzwi i, wchylając głowę do obszerniej izby, zawołał donośnym i tryumfalnym głosem:

— Rebe Saul! Ciebie wielkie szczęście i wielki honor spotyka! Rabbi Izaak Todros, doskonały, pobożny i pierwszy mędrzec świata, jutro dom twój nawiedzi!

Z głębi obszernej bawialnej izby bogatego kupca, suchy od starości, lecz silny głos odpowiedział:

— Ja, Saul Ezofowicz, dzieci, wnuki i prawnuki moje czekać będziemy nawiedzin rabbi Izaaka z wielką radością i z wielkiem pragnieniem w sercu. Niech sto lat żyje!

— Niech sto lat żyje! — powtórzyła wychylająca się przez drzwi twarz ciemna z okrągłemi oczyma i zniknęła.

Drzwi zamknęły się. Stary Saul siedział na kanapie i czytał Zohar, którego jednak głębokich objawień, pomimo największych wysileń, objąć nie mógł umysł jego, do świeckich interesów przywykły. Zbrózdzone czoło jego chmurném nagle stało się i niepokój zamigotał w oczach. Zwrócił się ku starsze-
z synów swych, Rafałowi, który, przy stole poblizkim siedząc, spisywał w rachunkowej książce liczby kosztów i zysków miesiąca, i zapytał:

— Czego on tu przyjdzie?

Rafał wzruszył ramionami na znak niewiadomości.

— Czy on do nas przyczepkę jaką ma? — zapytał znowu starzec.

Rafał, podnosząc twarz z nad rachunkowej książki, odpowiedział:

— Ma.

Saul drgnął.

— Nu! — zawołał, — a co za przyczepka może być? Czy kto z naszej familii zgrzeszył?

Rafał rzucił krótko:

— Meir!

Twarze ojca i syna stały się smutnemi i niespokojnemi. Izaak Todros nawiedzał zwyczajnie członków gminy swój bardzo rzadko i wtedy tylko, gdy szło o ważne jakieś religijne sprawy lub przekroczenia. A i te jeszcze nawiedziny rzadkie spotykały tylko najdostojniejszych i najwplywowszych członków gminy. Biedny szary lud oblegał sam lepiankę rabбина i na każde skinienie jego przylatywał z niewysłowioną radością lub trwogą.



Rabbin Izaak Todros ascetą był i mamona gardził; zaszczytów jednak wszelkich i oznak czci, któremi go otaczano, nie odrzucał, i wtajemniczeni w głębsze myśli jego i uczucia wiedzieli o tem, że je lubił bardzo, a nawet dopomniałby się o nie stanowczo, gdyby ktokolwiek pomyślał kiedy o odmówieniu mu ich lub umniejszeniu. Dla tego cały lud ubogi i wszyscy, którzy mu się szczególnie przypodobać pragnęli, dawali mu tytuł książęcy, mówiąc doń „Nassi“; dla tego też wszelkie przejście jego przez miasteczko, będące zawsze dla ludności wypadkiem o tyle ciekawym, o ile uroczystym, otaczane było pewnym, dość poważnym, ceremoniałem.

Parę godzin jeszcze brakło do południa, gdy Saul

Ezofowicz, stojąc u okna bawialnej izby, zaniepokojonym nieco wzrokiem i z pod zjeżonych brwi spoglądał na orszak zwolna przez plac sunący. Spoglądali też nań członkowie rodziny jego, synowie, synowe, córka, zięć i najstarsze z wnuków, wszyscy świętecznie przybrani, z uroczystymi twarzami zgromadzeni tu, aby powitać w progach domu swego najwyższą dostojność gminy.

Przez plac, od szkolnego dziedzińca ku domostwu Ezofowiczów, sunęła gromadka ludzi czarno ubranych. Pośrodku, z postacią, jak zwykle, podaną naprzód, w wyszarzanem odzieniu swém i z grubą koszulą, odkrywającą całkiem długą, żółtą szyję, szedł Izaak Todros, zwykłym swym prędkim, cichym krokiem. Z dwóch stron jego postępowali dwaj urzędnicy kałału: mały i giętki Rebe Jankiel, ze swą białą, piegami okrytą twarzą i rudą jak ogień brodą, i Dawid Kalman, jeden z dostojników miasteczka, Morejne, bogaty handlarz bydłem, wysoki, wyprostowany, poważny, biały, z rękoma w kieszeniach atlasowego chałatu, z uśmiechem słodkiej błogości na pulchnych wargach. Za trzema ludźmi tymi i po obu ich stronach, cisnęło się jeszcze kilkanaście głów, mniej lub więcej nisko lub wysoko trzymających się, i twarzy, mniej lub więcej uśmiechnionych i kornych. Całe towarzystwo to wyprzedzał Reb Mosze, w sposób taki, że twarzą zwrócony był ku twarzy rabбина, a plecami — ku celowi wycieczki. Nie szedł więc, ale

cofał się, przyczem podskakiwał, w ręce klaskał, ku ziemi nisko się pochylał, o nierówności gruntu zaczepiał nagie swe stopy, potykał się, skakał znowu, twarz ku obłokom podnosił i wydawał urywane krzyki radości. W pewnej nakoniec odległości postępowała za orszakem grupa, złożona z kilkudziesięciu dzieci różnego wieku, które przypatrywały się orszakowi z zaciekawieniem nadzwyczajnym, a widząc taniec i skoki melamed, poczęły go naśladować, skacząc także, giestykulując, padając na ziemię, klaszcząc w ręce i napęlniając powietrze wrzaskiem nieopisanym.

Po chwili otwarły się z loskotem drzwi bawialnej izby Ezofowiczów i wpadł przez nie melamed, zaczerwieniony, zziębnięty, potem oblany i nadzwyczajną radością rozpromieniony. Cieszył się szczerze, rozgłośnie, namiętnie. Z czego?... Biedny melamed!

— Rebe Saul! — zawołał ochrypłym od krzyczenia głosem — spotykaj wielkie szczęście i wielki honor, które do ciebie przychodzą!

Z twarzy Saula odgadnąć można było, że tajemny niepokój walczył w nim z istotnie uczuwaną radością. Ale co się tyczy rodziny jego, której członkowie poprzyciskali się do ścian i sprzętów, ta cieszyła się już widocznie i bardzo, promieniała chlubą i uczuwaną błogością, z wyjątkiem Bera, niemego, apatycznego jak zwykle bywał, gdy nie szło mu o interesa handlowe i pieniężne. Stary Saul stanął przed sa-

mym progiem bawialnej swęj izby; na ganku zaś Rebe Jankiel i Morejne Kalman ujęli rabbinę pod obie ręce, podnieśli prawie nad ziemię suchą jego postać i, przeniósłszy ją przez korytarz i próg, na przeciw Saula postavili. Poczem uklonili się nisko, opuścili dom i na ganku usiedli, oczekując chwili, w której wracającemu orszakowi towarzyszyć mieli.

Saul tymczasem pochylił przed gościem swym siwą, poważną głowę. Naśladowały go wszystkie osoby, otaczające dokoła ściany izby.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — wymówił.

— Pozdrawiający mędrca pozdrawia... — powtarzać zaczął za Saulem chór głosów męzkich i żeńskich. Ale w tężże chwili Izaak Todros podniósł nieco w górę wskazujący palec, strzelił dokoła palającą żrenicą i syknął:

— Szaaa!

W izbie zrobiła się cisza grobowa.

Palec gościa zatoczył szerokie koło, wskazując tem cały szereg postaci stojących pod ścianami.

— Weg! (precz) — zawołał podniesionym głosem.

W izbie zaszleściwały suknie i szybkie stąpania; zamigotały zmartwione i przełknięte twarze; tłocząc się, wcisnęli się wszyscy obecni we drzwi, prowadzące do wnętrza mieszkania, i zniknęli.

W pustej zupełnie izbie pozostali dwaj tylko lu-

dzie: srebrnowłosa, barczysty patriarcha, i suchy, ognistooki mędrzec.

Kiedy mędrzec krótkim rozkazem i nakazującym giestem odpędzał od obliczności swęj rodzinę jego, synów siwiejących, córki poważne i urodziwe dziewczęce, siwe brwi Saula drgnęły i zjeżyły się znowu na chwilę. Zawrzała snadź w nim duma rodowa i ojcowska.

— Rabbi! — rzekł przyciszonym nieco głosem, i z mniej niskim niż wprzód uklonem, — racz zająć pod dachem moim miejsce, które ci się najwygodniejszém wydaje!

Nie udzielił gościowi książęcego tytułu. Nie nazwał go: Nassi!

Rabbi Izaak chmurnie nań spojrzał, przesunął się przez izbę i usiadł na kanapie z wysoką, żółtą poręczą.

Nie był w tęg chwili przygarbionym. Owszem, usiadł prosto i sztywnie, ze wzrokiem wlepionym nieruchomo w twarz starca, który zajął miejsce naprzeciw.

— Ja ich wypędził — rzekł, wskazując na drzwi, przez które wypłynęła z izby gromadka rodzinna — Na co ty ich tu zebrał? Ja chcę z tobą tylko pogadać.

Saul milczał.

— Ja tobie nowinę przynoszę, — wyrzucił znowu rabbin prędko i chmurnie — wnuk twój, Meir, nieczystą ma duszę. On — Kofrim! (niedowiarek).

Saul milczał jeszcze; tylko zmarszczone jego powieki drgały nerwowo nad spłowiałą od lat żrenicą.

— On Kofrim! — głośniej powtórzył rabbin, — on brzydkie słowa na religią naszą wymawia, mędrców nie szanuje, sabbaty narusza i z odszczepieńcami przyjaźń trzyma.

— Rabbi! — zaczął Saul.

— Ty słuchaj, kiedy ja mówię! — przerwał mu rabbin.

Zacisnęły się wargi starca tak, że zniknęły całkiem wśród mlecznego zarostu.

— Ja przyszedł tobie powiedzieć — zaczął znowu Todros — że ty wnuka swego źle trzymasz; że to jest twoja wina, skoro on taki. Czemu ty jego nie pozwalałeś melamedowi ćwiczyć i bić, kiedy on do chederu chodził, Gemary uczyć się nie chciał, a z gadania melameda śmiał się czasem i innych do śmiechu kusił? Czemu ty jego posyłałeś do Edomity, co tam pomiędzy ogrodami mieszka, żeby on jego uczył czytania i pisania w języku Gojów i innych jeszcze edomickich obrzydliwości? Czemu ty jego nie skarcił swoją ojcowską ręką wtedy, kiedy on sabbat naruszył i przy twoim stole melamedowi sprzeciwiał się? Czemu ty duszę jego grzeszną swoją miłością psujesz, do świętych nauk go nie skłaniasz i na wszystkie jego obrzydliwości patrzysz tak, jakbyś ślepym był?

Zmęczył się Rabbi długim mówieniem i, sapiąc, odpoczywał.

Wtedy stary Saul przyciszonym nieco głosem mówić zaczął:

— Rabbi! niech serce twoje rozgniewanem na mnie nie będzie. Ja inaczej robić nie mogłem, jak robiłem. Dziecko to jest synem syna mego, najmłodszego z pomiędzy wszystkich dzieci moich, i który bardzo prędko z oczu moich zniknął. Po śmierci ojca jego i matki ja to dziecko do domu swego wziąłem i chciałem, żeby ono nigdy nie przypomniało sobie, że jest sierotą. Ja wdowcem już wtedy byłem i sam jego na rękę swoich hodowałem. I hodowała go także stara prababka jego, któraby duszę swoją przed Panem położyła, żeby tylko dla duszy jego szczęście kupić. On w koronie jej głowy pierwszym jest brylantem, a teraz usta jej nie otwierają się już z wielkiej starości dla nikogo, tylko dla niego. Oto, Rabbi, wszystkie przyczyny są, dla których ja jemu pozwalał więcej, niż innym dzieciom moim, i słabszą ręką jego trzymał; dla których bolała mnie bardzo dusza, kiedy melamed w chederze lajał jego i bił, tak jak inne dzieci. Ja wtedy zgrzeszyłem, do chederu jak szalony wpadłem, melamedowi brzydkich słów nagadałem i chłopca z sobą zabrałem. Ja zgrzeszyłem, Rabbi, bo melamed jest mądry i święty człowiek; ale niechaj grzech ten zniknie z oczu twoich, Rabbi, kiedy ty pomyślisz sobie o tem, że ja na te sińce, co na ciele mojem nosił syn syna mego, patrzeć nie mogłem i milczeć! Kiedy sińce te nosiły na sobie dzieci syna mego Rafała, i syna mego Abrahama, i syna mego Efroima, ja milczałem; bo ojcowie

ich żyli, dziękować Bogu, i sami nad dziećmi swemi czuwali; ale jak ja zobaczyłem je na plecach i na ramionach sieroty, — Rabbi! ja zapłakałem, krzyknąłem wielkim głosem i zgrzeszyłem!

— Nie jeden to grzech twój! — wyrzekł Rabbi, który mowy Saula wysłuchał z nieruchomą surowością i powagą sędziego. — A po co ty jego do Edomity na naukę posyłał?

— Rabbi! — odparł Saul. — A jakżeby on potem dał sobie rady na świecie, gdyby nie rozumiał mowy, którą wszyscy ludzie w tym kraju gadają, i nazwiska swego podpisać nie umiał na kontrakcie, ani na wekslu żadnym? Synowie moi, Rabbi, i starsze wnuki moje wielkie interesa prowadzą, i on prowadzić je będzie, jak tylko ożeni się... Całe dziedzictwo ojca jego do niego należy. On będzie bogaty i z wielkimi panami trzeba jemu będzie rozmawiać. A jakżeby on z nimi rozmawiał, gdybym ja jego do Edomity na naukę nie posyłał?

— Niech przypadnie Edom z plugawą nauką swoją, i niech nie przebaczy mu Pan! — mruknął rabbin; po chwili zaś dodał: — a dla czego ty syna swego uczonym nie zrobiłeś, tylko na kupca go kierowałeś?

— Rabbi! — odparł Saul. Familia Ezofowiczów jest rodziną kupiecką. My kupcy z ojca na syna, i taki już u nas obyczaj.

Mówiąc to, podniósł nieco głowę dotąd pochyloną. Przy wspomnieniu o rodzie swym uczuł się du-

mnym i śmielszym. Ale nie dorównać nie może
wzgardzie i szyderstwu, jakimi syknęły usta Rabbi-
na, gdy wymówił za Saulem:

— Familia Ezofowiczów!

— Familia Ezofowiczów — powtórzył głośniej
— była zawsze ziarnkiem pieprzu na podniebieniu
Izraela...

Saul podniósł nagle głowę.

— Rabbi! — zawołał — w niej były brylanty,
na które patrząc, Edomici sami w poszanowaniu
mieć zaczęli cały Izrael...

Drgnęła i zakipiała pomiędzy dwoma ludźmi tymi
stara nienawiść wzajemna Ezofowiczów i Todrosów.

— W waszój familii — mówił Rabin — jest
jedna brzydka dusza, która chodzi od jednego do dru-
giego Ezofowicza i oczyścić się nie może. Bo tak na-
pisane jest: wszystkie dusze, które z Sefirotów wy-
płynęły, jak krople wody wypływają z pochyłonej
butelki, odbywają *Ibur-Gilgul* — podróż po ciałach,
z jednego do drugiego przechodząc, aż oczyszczą się
ze wszystkich grzechów i nazad do Sefirotów powrócą.
Kiedy człowiek pobożny i świątobliwy jest, dusza je-
go powraca do Sefirotów, a kiedy ona tam powróci, to
na jej miejsce inna dusza idzie na świat i ciało sobie
bierze. I póty bieda, smutek, boleści i grzechy mie-
szkać na ziemi będą, póki wszystkie dusze od Sefi-
rotów oderwane *Ibur-Gilgul* nie odbędą i przez cia-
ła nie przejdą. A jak one mogą wszystkie przez cia-

ła przejść, jeśli na ziemi będzie wiele obrzydliwych, nieczystych i nauki świętej nieszanujących? Ci obrzydliwi trzymają sobie ciągle ciała, z jednego do drugiego przechodząc, a tam wysoko inne dusze czekają, żeby oni ciała od siebie uwolnili i dla nich je zostawili. One muszą czekać, bo tyle ciał razem na świecie być nie może, ile jest dusz między Sefirotami. I sam Messyasz czeka, bo on wprzód na świat nie przyjdzie, nim ostatnia dusza w ciało nie wejdzie i *Ibur-Gilgul* nie zacznie. Obrzydliwi, zajmując ciągle ciała jedno po drugim i nie dopuszczając do nich dusz oczekujących, odsuwają w daleką przyszłość *Jobel-ha-Gadel*, — dzień Messyaszowy, — wielkie święto radości! W waszój familii jest taka obrzydliwa dusza. Ona wstąpiła naprzd w ciało Michała Seniora, potem była w ciele Hersza, a teraz ona we wnuku twoim, Meirze, siedzi! Ja duszę tę, pyszną i buntowniczą, poznałem w oczach i na twarzy wnuka twego, i dla tego moje serce odwróciło się od niego!

W czasie gdy Todros wykladał siedzącemu naprzeciw starcowi doktrynę wędrówki dusz i jej następstw, w starcu tym zaszła uderzająca zmiana. Wprzód był on już ośmielił się znacznie, a nawet podnosił głowę z jakąś dumą i godnością. Teraz pochylił ją znowu nisko; smutek i trwoga zagrały wśród zmarszczek twarzy jego.

— Rabbi! — ozwał się z pokorą, — błogosławnym bądź za to, że odkrywasz przed oczyma mojemu

świętą mądrość swoją! Słowa twoje są prawdziwe, a oczy twoje umieją poznawać dusze, co w ciałach ludzkich mieszkają. Ja tobie, Rabbi, taką rzecz opowiem: Kiedy małego Meira przywiózł do mnie syn mój Rafał, ja wziąłem dziecko z rąk jego i bardzo całowałem, bo mnie wydało się, że on do Benjamina mego, a swego ojca, podobny; ale stara prababka odebrała go ode mnie, postawiła go przed sobą na ziemi i bardzo jemu przypatrywać się zaczęła, a potem wielkim głosem krzyknęła: — „On nie do Benjamina, ale do mego Hersza podobny!” Łzy ciekły z jej starych ocz, usta jej powtarzały: — „Hersz, Hersz, mój Hersz!” a dziecko ona do piersi swój przyciskała i powiedziała: — „To moje *klejniskind* najulubieńsze! to oko w mojej głowie i brylant w tej koronie, co mi ją wnuki i prawnuki moje robią, bo on do Hersza mego podobny!” I ona za nim przepada, i teraz jego jednego tylko zna i do siebie woła, bo on do męża jej, Hersza, bardzo podobny.

— Dusza Michała weszła w ciało Hersza, a z ciała Hersza przeszła do wnuka twego Meira — powtórzył Rabbin i dodał: — pyszna to, buntownicza dusza! niema w niej pokory i spokoju!

Złagodzoną zdawał się być Todros pokorą Saula i uznaniem, jakie on okazał słowom jego.

— Dla czego ty go nie żenisz, kiedy jemu duże już włosy wyrosły na brodzie i twarzy? — zapytał.

— Rabbi! ja go chciałem żenić z córką pobożne-

go Jankla; ale dziecko u nóg moich leżało i prosiło, żebym ja jego nie przymuszała...

— Dla czego ty stopy swojej nie postawiłeś wtedy na plecach jego i nie zrobiłeś tak, żeby on był tobie posłuszny?

Saul opuścił powieki i milczał. Czuł się winnym. Miłość dla wnuka-sieroty wprowadzała go wciąż na drogi grzechu.

Todros mówić znowu zaczął:

— Ożeń ty go jak najprędzej, bo napisane jest, że kiedy u młodego człowieka włosy rosną na brodzie i twarzy, a on żony jeszcze nie ma, to dusza jego w nieczystość wpadnie... Dusza wnuka twego wpadła już w nieczystość... ja wczoraj widziałem go sam-na-sam z dziewczyną...

Saul niespokojnie podniósł na mówiącego oczy.

— Ja jego widziałem, — ciągnął rabbin — jak on na łące z Karaimką rozmawiał...

— Z Karaimką! — powtórzył Saul głosem zdumienia i przerażenia pełnym.

— On na brzegu sadzawki stał i z jej ręki brał jakieś kwiaty, a na ich twarzach ja czytałem, że dusze ich obejmował nieczysty ogień...

— Z Karaimką! — powtórzył raz jeszcze Saul, jakby uszom swoim wierzyć nie chciał.

— Z kacerką! — wyrzekł rabbin.

— Z żebraczką! — wymówił Saul i energicznie podniósł głowę.

— Rabbi! — zaczął, — już ja teraz będę z nim inaczej! Ja nie chcę, żeby na starość wstyd mi oczy wyjadał, dla tego, że wnuk mój z żebraczkami nieczyste przyjaźni trzyma! Ja jego ożenie!

— Ty go skarć! — zawołał rabbin. — Ja dla tego tu przyszedłem, żeby tobie powiedzieć, abyś ty nogę swoją na plecach jego postawił i pychę jego zgiął w lęk. Ty go nie żałuj! bo pobłażanie twoje dla niego będzie wielkim grzechem, którego nie przebaczy tobie Pan. A jeżeli ty sam jego nie skarcisz, ja oprę rękę moję na jego głowie, i wtedy będzie wam wszystkim wielki wstyd, a jemu takie nieszczęście, że w proch on rozsypie się, jak nędzny robak!

Na słowa te, wymówione groźnym głosem, Saul drgnął. Przerozmaite uczucia walczyły wciąż w piersi tego starca: tajemny wstręt do Todrosa, i głęboka cześć dla uczoności jego; duma, i obawa; rozgniewanie srogie względem wnuka, i miłość dla niego. Groźba rabбина dotknęła ostatniój téj struny!

— Rabbi! — zawołał — przebacz ty mu! to jeszcze dziecko! Jak on ożeni się i interesa prowadzić zacznie, on zrobi się innym! Jak on urodził się, ojciec jego napisał do mnie: — „Ojcze! jakie imię ty chcesz, aby wnuk twój nosił?” A ja odpisałem: — „Niech imię jego będzie Meir, czyli światłość, aby on przede mną i przed Izraelem całym wielką światłością świecił!...”

Nie mógł mówić dłużej, bo wzruszenie głos mu

zatomowało i dwie łzy stoczyły się po obwisłych pomarszczonych policzkach.

Rabbin wstał z kanapy, podniósł wskazujący palec w górę i wymówił:

— Ty tylko pamiętaj o rozkazaniach moich! Ja tobie każę, abyś ty stopę swoją na plecach jego postawił, a ty rozkazania mego słuchaj, bo napisane jest, że uczeni są fundamentem świata!”

Rzekłszy to, posunął ku drzwiom, u których oczekujący nań Rebe Jankiel i Kalman Morejne pochwycili go znowu pod oba ramiona, przenieśli przez korytarz i progi i u stóp ganku na ziemi postavili.

I znowu sunęła przez plac, w stronę szkolnego podwórza kierując się, czarna gromada ludzi; znowu melamed, cofając się przed rabbinem, skakał, tańczył, w ręce klaskał i krzyczał; i znowu gromada dzieci, postępując za orszakiem w pewnym oddaleniu, naśladowała nauczyciela swego, jak on skacząc, krzycząc, w ręce klaszcząc, niekiedy też padając i rozdzierając powietrze płaczliwemi wrzaski. A w bawialnej izbie Ezofowiczów stary Saul siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy we drzwiach przeciwnych stanęła stara Frejda. Promienie słoneczne, wpadające przez okno, rozpały tęczowe blaski w złocie i brylantach, któremi była okryta, a ona, tocząc dookoła izby przymrużoną złotawą źrenicą, wymówiła, zwykłym swym szeptem, głosu pozbawionym:

— *Wo is Meir?*

V.

Meir nieobecnym był w domu w czasie odwiedzin rabbina. Wcześniej bardzo dom opuściwszy, skierował się ku najbardziej oddalonym od środkowego placu uliczkom miasteczka. Tu znalazł się wśród domostw malutkich, nadzwyczaj ubogich, z których żadne nie miało więcej jak po dwa drobne okienka; przed ich progami stały szerokie, cuchnące kałuże a owiewało je dokoła duszące, ciężkie powietrze. Z czarnych kominów domków tych wydobywały się cienkie bardzo nici dymu, zdradzające szczupłość swą szczupłość gotowanej tam strawy; przegniłe i upadające płoty otaczały malutkie podwórka, zasypane śmieciem; tu i ówdzie widniały z za nich wązkie zagonki ziemi, porośłe zrzadka mizernym warzywem. Przed niskimi drzwiami kobiety chude, z ciemnymi, zbolalymi twarzami, w szafirowych kaftanach i zrudziałych perukach, prały w baliach szarą, grubą bieliznę; zgarbione i zgrzybiałe niewiasty,

siedząc na ławkach, robiły pończochy z błękitnej lub czarnej wełny; dziewczęta, młode, ale opalone, w brudnej odzieży i z roztarganemi włosami, doily chude kozy.

Była to dzielnica miasteczka, zamieszkiwana przez najniższą warstwę ludności Szybowskięj, przybytek ubóstwa, nędzy nawet, brudu i chorób.

Przy środkowym placu stojące domostwa Ezo-fowiczów, Kalmanów, Witebskich i Kamionkerów pałacami rozkoszy wydawać się mogły wobec siedlisk tych ludzkich, których sam zewnętrzny widok przy-wodził na myśl wyobrażenie ziemskiego czyśca.

Nie dziw. Tam, przy placu, mieszkali kupcy i uczeni, arystokracja zatem wszelkiej izraelskiej gminy; tu gnieździła się rzemieślnicza i wyrobnicza ludność, gmin zarabiający na życie pracą, rąk nie głowy, a z pośród którego nikt prawie wywieść się nie mógł z żadnej starożytniej rodziny, ani pochlubić się posiadaniem w swym rodzie — bogacza lub uczonego.

Jakkolwiek wczesny to był jeszcze poranek, wszędzie tu już rozpoczętą była praca codzienna. Z za mętnych szybek drobnych okienek widać, podnoszące się wciąż i opadające, rękawami koszul okryte, ramiona krawców i szewców. Za cienkimi ścianami dzwoniły narzędzia blacharzy i stukały młoty kowali; z chaty fabrykanta świec łożowych wydobywały się nieznośne, tłuszczem przejęte, wyziewy. Niektórzy z mieszkańców, korzystając z kilku promieni

wschodzącego słońca, które zaglądały na ich uliczkę, pootwierali okienka swe, a przechodzień mógł ujrzyć przez nie izby malutkie, z czarnymi ścianami, natłoczone ludnością, która, ruszając się na podbieństwo mrówek, dotykała niemal głowami czarnych belek sufitów. Wychodził też przez okienka ten gwar, złożony z modlących się głosów męzkich, z wrzaskliwych kłótni kobiecych i wrzaskliwszych jeszcze dziecinnych płaczów. Wszakże malutkie tylko dzieci rozdierały krzykami swemi duszne powietrze czarnych i natłoczonych izdebek, starsze zaś, wielką gromadą wyległszy na ulicę, odbywały wśród niej krzykliwe gonitwy, lub, z zatopionemi w gęstych kędziorach rękoma, tarzwały się po piaszczystym gruncie. Podrastający chłopcy, już nie w krótkich spancerkach, pozbawionych rękawów, jak dzieci młodsze, ale w szarą, długą odzież, stali przed progami chatek, o ściany ich wsparci, bladzi, mizerni, osowiali, z pootwieranemi szeroko ustami, jakby dochodzące ku nim rzadkie promienie słoneczne i powiewy świeże wciągać pragnęli do wyziębłych i chorych swych piersi.

Ku jednemu z wyrostków takich, u ścian domów stojących, zbliżył się Meir.

— Nu! Lejbele, — rzekł, — ja przyszedłem, żeby ciebie zobaczyć! czy ty zawsze taki chory jesteś i tak jak sowa na świat oczy wytrzeszczasz?

Widać było, że Lejbele był chory i wzrokiem osowiałym na świat patrzył, bo, z rękoma wsuniętymi

w rękawy ubogiej odzieży i do piersi przyciśniętemi, drżał od zimna, choć ranek był ciepłym, a na przemówienie Meira nie odpowiedział ani słowa, tylko usta szerzej roztworzył i oczy swe, o wielkich, czarnych, martwych źrenicach, bezmyślnie w twarz mówiącego wlepił.

Meir położył dłoń na jego głowie.

— Czy byłeś wczoraj w chederze? — zapytał.

Chłopiec bardziej jeszcze trząść się zaczął, ale ochrypłym głosem odpowiedział:

— Aha!

Oznaczało to twierdzenie.

— I znowu cię tam bili?

Łzy napęłniły martwe oczy dziecka, wciąż ku twarzy wysokiego młodzieńca wzniesione.

— Bili! — wymówił.

Piers jego załkała pod cisnącemi i w rękawy schowanemi rękoma.

— A śniadanie ty jadłeś?

Dziecko przecząco wstrząsnęło głową.

Meir wziął z poblizkiego ubogiego stragana wielką chałę (bułkę), za którą rzucił straganiarce miedziany pieniądz, i dał ją dziecku. Lejbele pochwycił ją w obie dłonie i chciwie pożerać zaczął; a w téjże chwili wyskoczył z chatki wysoki, chudy, gętki człowiek, z gęstym czarnym zarostem, z bladą, stroskaną twarzą, i rzucił się ku Meirowi. Pochwycił naprzód

rękę jego i do ust ją poniósł, a potem wyrzuty czynić mu zaczął.

— Morejne! — zawołał, — na co ty jemu chałę dałeś? ty odwrócić od niego powinienes twarz swoje! To takie głupie, paskudne dziecko! uczyć się nie chce i wstyd mnie robi! Mełamed — niech sto lat żyje! — męczy się bardzo, żeby jemu głowę oświecić, ale to taka głowa, co nic nie rozumie! Mełamed jego bije, i ja jego biję, żeby nauka do głowy jemu lazła — a co to jemu pomaga? Nie nie pomaga! On *alejdyk gejer* (próżniak) jest, osieł, paskudztwo!

Meir patrzył na chłopca, pożerającego wciąż bułkę.

— Szmulu! — rzekł, — on nie jest próżniak, ani osieł, ale — chory!

Szmul wzgardliwie machnął ręką.

— Jaki on chory! — krzyknął, — on chorować zaczął wtedy, jak jego do nauki popędzili! Wprzód był zdrow, wesoły i rozumny. Ach! jakie to było piękne i rozumne dziecko! Czy ja mógł spodziewać się takiego nieszczęścia? Co z nim teraz zrobiło się!

Meir wciąż gładził dłonią roztargane włosy bladego dziecka z idyotycznym wzrokiem.

Wysoki, cienki Szmul pochylił się znowu i pocałował go w rękę.

— Morejne! — rzekł, — ty bardzo dobry jesteś, kiedy litujesz się nad tym głupiem dzieckiem.

— Na co ty mię, Szmulu, Morejnem nazywasz? — zaczął Meir.

Przerwał mu Szmul pośpiesznie:

— Ojcowie ojców twoich byli Morejnami; zejdziesz twój i stryjowie twoi Morejnami są, i ty, Meir, prędko Morejnem będziesz!

Meir ze szczególnym jakimś uśmiechem głową wstrząsnął.

— Ja, Szmulu, nigdy Morejnem nie będę! — rzekł, mnie tego honoru nie zrobią i ja... jego nie chcę!

Zastanowił się Szmul i pomyślał.

— Ja słyszał: ty, Meir, z wielkim rabbinem naszym i kahałnymi zgody nie trzymasz!

Meir spojrzał dokoła, jakby całą tę nędzę, której obrazy go otaczały, wzrokiem objąć pragnął.

— Jacy wy biedni! — wymówił, nie dając Szmulowi bezpośredniej odpowiedzi.

Słowa te dotknęły snadź bardzo drażliwej struny serca i życia Szmula, bo aż zatrzęsły się mu ręce i zaiskrzyły oczy.

— Aj! jacy my biedni! — zajęczał, — ale najbiedniejszy z tych, co na tej uliczce mieszkają, jest chajet (krawiec), Szmul! Starą ślepą matkę, i żonę, i ośmioro dzieci utrzymywać trzeba. — A z czego ja ich utrzymywać będę? u mnie majątku żadnego nie ma, prócz dwóch tych rąk, które dzień i noc szyją, jeżeli tylko jest co szyć...

Mówiąc to, wyciągał i pokazywał Meirowi dwie ręce swoje, istne ręce nędzarza: ciemne, brudne, chude, igłą wskrósł nakłóte, bliznami od nożyc pokryte, a drżące teraz od żalu...

— Morejne! — mówił coraz ciszej, i coraz bliżej pochylając się nad słuchacza swego, — nam ciężko żyć, bardzo ciężko... wszystko u nas drogo kosztuje, a co nam płacić trzeba, gwałt! Urzędnicy cesarscy podatki od nas biorą; od koszerne go mięsa pudełkowe my płacim; i od świec, tych, co je w szabasy palim, płacim; i bractwu pogrzebowemu płacim; i na urzędników kahalnych płacim; i... na co my nie płacim? Aj wej! Z tych domków naszych biednych rzeki pieniędzy płyną... a z kąd my je bierzem? Z potu naszego my bierzem je, z krwi naszej i z wnętrzości dzieci naszych, co z głodu wysychają! Ty mnie pytałeś się niedawno, Morejne: dla czego u mnie w chacie tak brudno i tyle śmiecia? A jak w niej niema być brudno, kiedy nas jedenaścioro w jednej małej izbie mieszka, a w sionce stoją dwie kozy, co nas mlekiem swoim żywią? Ty mię pytałeś się, Morejne: dlaczego moja żona taka chuda i stara, choć lat jej jeszcze nie wiele, i dla czego moje dzieci tak ciągle chorują? Morejne! koszerne mięso u nas bardzo drogie, i my jego nigdy nie jemy... chleb jemy z cebulą, i kozie mleko pijem... na szabas wtedy tylko u nas ryba była, kiedy ty, Morejne, zaszedłeś do nas i srebrny pieniądz nam dałeś! My biedni... bardzo biedni na całej tej uliczce; ale najbiedniejszy ze wszystkich jest chajet Szmul ze swą matką ślepą, ze swoją żoną bardzo chudą i ośmiorgiem swoich dzieci...

Żałośnie wstrząsał głową chajet Szmul i patrzył

w twarz Meira swemi czarnemi oczyma, w których malowało się osłupiałe, jakby nad własną nędzą, zdziwienie. Meir, z dłonią złożoną wciąż na głowie bladego dziecka, dogryzającego swęj bułki, słuchał z uwagą mowy nędzarza. Usta jego ułożyły się w zarys litości; ale ściągnięte brwi i spuszczone powieki nadawały twarzy jego wyraz gniewnej zadumy.

— Szmulu, — rzekł zcicha, — a dla czego ty tak często roboty nie masz?

Szmul zmieszał się widocznie i — podniósłszy rękę ku głowie, przekrzywił jarmułkę, przykrywającą czarne, splecione jego włosy.

— Ja tobie powiem, — ciągnął zcicha Meir — tobie roboty nie dają dla tego, że ty od tych materyj, z których suknie każą ci szyć, duże kawałki odkrawasz, i bierzesz je sobie...

Szmul obu już rękoma schwycił za jarmułkę.

— Oj biedna moja głowa! — jęknął — Morejne! — co ty na mnie powiedziałaś! Usta twoje bardzo brzydką rzecz na mnie powiedziały.

Podskoczył, potem schylił się ku ziemi, i znów podskoczył, i zawołał:

— Nu, prawda! Morejne! ja otworzę serce moje przed tobą! ja kawałki materyi odcinał i zabierał... a dla czego ja to robił? bo moje dzieci były gołe! ja je niemi okrywałem! i jak moja ślepa matka chora leżała, ja je sprzedałem i mięsa kawałek dla niej kupiłem... Morejne! niech twoje oko ze złością na mnie nie pa-

trzy! Żebym ja był taki bogaty jak Reb Jankiel i Morejne Kalman; żebym ja tyle pieniędzy miał, ile oni ich biorą dla siebie z pracy naszych rąk i z potu naszego czoła: ja-bym — nie kradł!

— A na co Reb Jankiel i Morejne Kalman biorą dla siebie wasze pieniądze? — z zamyśleniem zaczął Meir i chciał dalej mówić, ale Szmul wyprostował się i przerwał mu nagle:

— Nu! oni mają prawo; oni są nad nami starsi! Co oni robią, to święte! Kto ich słucha, to jakby samego Pana Boga słuchał!

Smutnie jakoś uśmiechnął się Meir i sięgnął ręką do kieszeni. Szmul ścigał ruch ten jego wzrokiem, który roziskrzył się nagle. Błyszczała w nim chciwość.

Meir położył na otwartem oknie nędznej chatki parę srebrnych monet; Szmul rzucił się ku niemu i rękę jego całował.

— Ty dobry jesteś, Morejne! ty zawsze wszystkim biednym ludziom pomagasz! Ty i nad mojem głupiem dzieckiem litość masz!

Ochłonawszy nieco z uniesienia wdzięczności, wyprostował się i począł Meirowi na ucho szeptać:

— Morejne, ty dobry jesteś i wielkiego bogacza wnuk, a ja biedny głupi chajet! ale ty jesteś jak miód na moich ustach, i ja przed tobą całe serce moje otworzyć muszę. Ty źle robisz, że z wielkim rabbinem naszym i z kahalnymi zgody nie trzymasz! Nasz rabbin to taki wielki rabbin, że drugiego takiego na

całym świecie niema! Jemu Pan Bóg wielkie rzeczy objawił; on nawet Kabałę Maszjat ¹⁾ rozumie. Za nim wszystkie ptaki latają, jak on na nich zawoła, i wszystkie choroby on umie leczyć, i wszystkie serca ludzkie przed nim otwierają się! Każde technienie ust jego święte jest; a jak on modli się, to dusza jego z samym Panem Bogiem całuje się! A ty, Morejne, odwrócił od siebie serce jego.

Z powagą wielką mówił to nędzarz Szmul i pokłóty igłą, zeczerniały swój palec w górę wznosił uroczystym giestem.

— A kahalni, — ciągnął dalej, — to bardzo pobożni ludzie są, wielcy i bogacze. Ich także szanować trzeba i słuchać, i choćby oni co złego robili, oczy zamykać. Oni mogą ciebie przed Panem Bogiem oskarżyć i przed ludźmi. Pan Bóg rozgniewa się, jak ich skargę posłyszysz, i karę na ciebie spuści; a ludzie powiedzą, że ty bardzo zuchwały jesteś, i odwrócą od ciebie twarze swoje!

Trudno-by odgadnąć, jakie wrażenie wywierały na Meirze pokorne i zarazem poważne przestrogi Szmul. Trzymał on wciąż dłoń swą na głowie małego Lejbele i wpatrywał się w twarz jego o pięknych rysach i ogromnych czarnych źrenicach, tak, jakby w dziecku tém bladém, chorowitem, zidyotyzowa-

¹⁾ Najwyższa część kabały, ucząca za pomocą kombinowanych liter i wyrazów cuda czynić i tajemnice odgadywać.

nem i drżacem, widział upostaciowanie całej tej licznej części izraelskiego ludu, która, przegryzana nędzą i chorobami, wierzyła jednak i wielbiła ślepo, kornie, lękliwie i niezmordowanie.

Skinął potem głową zwolna, przyjaźnie i odszedł. Szmul biegł za nim kilkanaście kroków jeszcze.

— Morejne! — jęczał, — nie gniewaj się ty na mnie, że ja przed tobą serce moje otworzyłem! Bądź ty mądrym. Niech na ciebie uczeni i bogacze skargi do Pana Boga nie wznoszą! bo lepiej takiemu człowiekowi, co pod ziemią leży, niż takiemu, na którego głowie oprą oni swoje rozgniewane ręce!

Wrócił potem i do lepianki swój wszedł i nie zauważył, że Lejbele nie stał już przy ścianie domu. Gdy tylko Meir odszedł, blade dziecko od ściany odeszło i za nim poszło. Z rękoma wsuniętymi wciąż w rękawy nędznej odzieży, z otwartymi usty, dziecię nędzarza Szmula postępowało krok w krok za idącym w zamyśleniu, pięknym, wysokim młodzieńcem, przez całą długość ulicy. U końca jej dopiero zatrzymało się, jakby lękając się iść dalej, i gardłowym, ochrypłym głosem, wymówiło:

— Morejne.

Meir obejrzał się. Przyjazny uśmiech oświecił mu twarz, gdy zobaczył dziecko, które aż tu za nim przyszło.

Czarne, martwe źrenice dziecięce podnosiły się

ku jego twarzy, z szarego rękawa wysunęła się ku niemu mała i chuda ręka:

— Chały! — wymówił Lejbele.

Meir obejrzał się za straganem. Stało tam wzdłuż uliczki pełno ubożuchnych straganików, przy których kobiety, osłaniające lachmanami wychudłe swe ciała, sprzedawały bułki, twarde jak kamienie, drobne główki cebuli, wreszcie czarne i wstrętne wyroby jakiegś z miodu i maku.

Z białej dłoni Meira do chudych i czarnych rąk dziecięcych przeszła znowu wielka, pleciona chała. Lejbele pochwycił ją, poniósł do ust obu rękoma i — odwróciwszy się, wracał do domu, środkiem ulicy idąc, powoli prosto i poważnie.

Po chwili Meir znalazł się na środkowym placu miasteczka. Zdawać się mu mogło, że z ctehlani wyszedł na światło dzienne. Słoneczny blask zalewał okrągłą przestrzeń, wysuszał znajdujące się tu i ówdzie kałuże błota i rozpalał złote iskry w oknach domów otaczających rynek. Na dziedzińcu pobożnego Reb Jankla wznoszono budynek jakiś nowy i obszerny; rudy gospodarz doglądał sam robotników, lubując się widocznie tém pomnażaniem się dobra swego; stuk siekier i zgrzytanie pił napępniały życiem otoczenie niskiego domu, przed którego sklepioną sienią stało parę powozów przejezdnych gości. Dalej nieco, na ganku domu swego, stał, lśniący od atlasów, Morejne Kalman; jedną ręką podnosił do

uśmiechnionych warg cygaro, a drugą głaskał złociste włosy dwuletniego dziecka, które, siedząc na ławie ganku, trzymało w ręku ogromny kawał chleba, obficie posmarowanego miodem, i obmazywało nim sobie pulchną, śmiejącą się do wspaniałego ojca twarzyczkę.

Na dziedzińcu Ezofowiczów słonecznie też było, gwarnie i wesoło. Pośrodku dwaj barczyści traczę pilowali drzewo, przygotowywane na zimę; wśród miękkich odpadków drzewnych bawiło się kilkoro dzieci, czysto odzianych, i stroiło sobie głowy wieńcami z wiórów; u studni dziewczka służąca, hoża i wesoła, czerpała wodę, głośno przemawiając się z traczami; przez otwarte okna domostwa widać było poważne głowy Rafała i Abrama, którzy z wielkiem zajęciem rozprawiali o interesach, i Sarę, stojącą przy szeroko rozpalonem ognisku kuchennem, i ładną Lię, która przed małym lusterkiem zaplatała swe ogromne warkocze.

Gdy Meir wchodził w bramę, traczę przerwali robotę swą, uśmiechnęli się ku niemu i przyjaźnie skinęli głowami. Pochodzili oni z tej samej uliczki, ubogiej i brudnej, którą on opuścił był przed chwilą, lecz znali go widać dobrze.

— Szolem Alejchem! (pokój tobie) — zawołali.

— Alejchem Szolem! — wesoło odpowiedział im Meir.

— Nie pomożesz nam dziś w robocie naszej? — zapytał żartobliwie jeden z robotników.

— Czemu nie? — odpowiedział Meir i zbliżył się do pracujących. Widać było, że praca fizyczna ulubioném była i częstém zajęciem Meira i że robotnicy dziada jego przyzwyczajeni byli do tego, iż dzielił on ją z nimi. Jeden z nich ustępował już mu miejsca swego przy kłodzie drzewa, kiedy przez otwarte okno wychyliła się Lijka i, kończąc zaplatanie czarnego warkocza, zawołała:

— Meir! Meir! gdzie ty tak długo był? Zejde dawno już wołał ciebie!

Kwadrans zaledwie minął od wizyty rabбина; Saul pochylał jeszcze głowę na dłonie w gniewnej i smutnej na-poły zadumie; a o kilka kroków od niego stara Frejda siedziała u okna otwartego na plac, oblana całą złotem słońca i migotliwymi iskrami diamentów.

Ciekawym wielce był proces duchowy, który odbywał się w starzej, lecz krzepkiej jeszcze piersi Saula. W głębi duszy nie lubił on Izaaka Todrosa. Nie rozumiejąc dobrze głębszego znaczenia działań i stanowiska przodka swego, Michała, ani ojca, Hersza, wiedział przecież o tém, że posiadali oni szerokie wpływy pomiędzy „swymi” i ogólny szacunek możnych, choć „obcych” ludzi; dumny więc był obu rodowemi wspomnieniami temi, a niewyraźna téż świadomość krzywd, które wyrządzili tym gwiazdom rodu jego przodkowie Izaaka Todrosa, budziła w nim do tego ostatniego głuchą i nieokreśloną dobrze niechęć.

Oprócz tego, bogaty sam i bogactwem swém chlubiący się wielce, czuł on dla ubóstwa i, jak wyrażał się w głębi myśli swój, dla niechlujstwa, Todrosów tajemną wzgardę. Wszystko to jednak było niczem w porównaniu ze czcią, uczuwaną dla świętej, mądrzej i głębokiej nauki, której głównym przedstawicielem był wielki rabbin. Sam on z żarliwą pobożnością zajmował się czytaniem ksiąg świętych; do ksiąg tych jednak nie przywykł był umysł jego, przez długie lata zaprzątany czém inném. Czytał je, ale mało bardzo zawiły i tajny sens ich rozumiał; wszakże im mniej rozumiał, tém więcej cenił i tém większe było w nim wrażenie grozy i pokory. Teraz groza ta i pokora stanęły naprzeciw miłości istotnej, tkliwej nawet, dla wnuka-sieroty, i toczyły z nią walkę.

— Co jemu z tego przyjdzie? czy on z tego korzyść jaką będzie miał? — myślał stary Saul i gniewnem spojrzeniem spotkał wchodzącego wnuka.

Meir wszedł do bawialnej izby nieśmiałym nieco krokiem. Wiedział o odwiedzinach rabbina, domyślał się ich celu; lękał się gniewu, a bardziej jeszcze — smętku starego dziada.

— Nu, — ozwał się starzec, — chodź tu bliżej! Ja tobie piękne rzeczy powiem, z których ty wielką radość będziesz miał!

A kiedy Meir stanął o parę kroków przed nim, wlepił weń wzrok z pod brwi zjeżonych i rzekł:

— Ja ciebie zaręcze, i ty za dwa miesiące musisz być żonaty!

Meir zbladł, ale milczał.

— Ja ciebie z córką Jankla Kamionkera zaręcze!

Po tych słowach dość długie panowało milczenie. Pierwszy przerwał je Meir.

— Zejde! — rzekł cichym, lecz stanowczym głosem, — ja córki Kamionkera za żonę sobie nie wezmę!

— Dla czego? — tłumiąc gniew, zapytał Saul.

— Dla tego, zejde, — ośmielając się wciąż, odrzekł młody człowiek — że Kamionkier jest zły i niesprawiedliwy człowiek, i ja z nim w pokrewieństwa żadne wchodzić nie chcę!

Saul wybuchnął. Łajał wnuka za zuchwalstwo sądów jego i wychwalał pobożność Reb Jankla.

— Zejde! — przerwał Meir, — on biednych ludzi krzywdzi!

— A co tobie do tego? — krzyknął dziad.

Tym razem oczy młodzieńca błysnęły gorąco.

— Zejde! — zawołał, — on do swoich kieszeni bierze dużo potu i pracy tych nieszczęśliwych, co tam na końcu miasteczka mieszkają, i oni przez niego — złodziejami, kiedy u nich dzieci gołe, a Reb Jankiel za to nowe domy sobie buduje! I on w karczmach tych i browarach, które od panów w dzierżawie trzyma, brzydkie rzeczy robi! Chłopów szynkarze jego poją i oszukują, a wódki pędzi on więcej,

niż pozwolono... Zejde! ty nie patrzaj na to jak on modli się, ale na to jak robi; bo napisane jest: „Nie potrzebne mi modlitwy, ani ofiary wasze! kto uciska biednego, ten krzywdzi Stwórcę!”

Saul bardzo był rozgniewanym, ale cytata wnuka złagodziła go nieco, bo pragnął on gorąco widzieć go uczonym i biegłym w znajomości ksiąg świętych.

— No, — mruknął gniewnie, ale bez uniesienia, — to co, że Rebe Jankiel chłopów poi i wódki pędzi więcej, niż pozwolonem jest! Ty nie wiesz jeszcze, co to takiego interes i jak on się robi. Jak ty ożenisz się z córką Reb Jankla i on cię do interesów swoich przypuści, będziesz tak samo pędził i sprzedawał wódkę!

— Zejde! — szybko odparł Meir, — ja wódki ani pędzić, ani sprzedawać nie będę! Ja do tego ochoty nie mam żadnej.

— A do czego ty ochotę masz? — ty do niczego ochoty nie masz...

Nie dokończył jeszcze wyrazów tych stary Saul, gdy Meir pochylił się ku ziemi, ramionami kolana jego objął i, usta swe do nich przyciskając, mówić zaczął:

— Zejde! puść mię ztąd! pozwól mi w świat szeroki! Ja pójdę uczyć się! ja uczyć się chcę, a tu oczom moim ciemno! Ja ciebie już o to dawno, dwa lata temu prosiłem; ale ty na mnie zagniewałeś się i kazałeś zostać! Ja zostałem, zejde, bo ja ciebie

szanuję i rozkazania twoje są dla mnie święte. Ale teraz, zejde, puść ty mnie ztąd!... Jeżeli pójdę w świat z pozwoleniem i błogosławieństwem twojem, uczonym zrobię się, powrócę tu, i wtedy naprzeciw wielkiego rabбина stanę i będę wiedział jak mu pokazać, że on małym jest. , Teraz...

Nie pozwolił mu Saul mówić dalej.

— Szaaa! — zawołał.

Przejęła go trwogą sama wzmianka o tém, iż wnuk jego stanąć może kiedy do walki z wielkim rabbinem.

Ale Meir wyprostował się i, z czołem w ogniu a łzami na rzęsach, mówił dalej:

— Zejde! przypomnij ty sobie historią Rabbi Eliezera. Kiedy on młody był, ojciec go w świat puszczać nie chciał; on ziemię orał i patrzył na ciemne lasy, co przed nim świat zaciemniały, a serce jego ciekawość i tęsknota gryzły tak, jak teraz moje serce gryzą... I nie wytrzymał on tej zgryzoty i uciekł.. uciekł do Jerozolimy. A kiedy w kilka lat później przyjechał, poszedł do wielkiego mędrca, co wtedy na cały świat słynął, i powiedział mu: niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim mistrzem! Stało się jak powiedział. A kiedy w kilka lat później, ojciec jego, który nazywał się Hyrkan, do Jerozolimy przyjechał, zobaczył on tam pięknego młodzieńca, który na wielkim rynku, z wysokości do ludu bardzo mądrze mówił, a lud słuchał jego i dusza roztopiała mu się jak miód z wielkiej słodyczy,

i wszystkie głowy chyliły się nisko przed młodzieńcem i wołały: Oto nasz mistrz! Hyrkan dziwował się bardzo mądrym słowom tego, co stał na wysokości, i wielkiej miłości, którą dla niego cały lud miał. I spytał się on człowieka, przy którym stał: Jak się nazywa młodzieniec ten, co stoi na wysokości, i gdzie mieszka jego ojciec? bo chcę pójść i pokłonić się temu, którego wnętrzości syna takiego wydały. — A człowiek, którego on tak zapytał się, odpowiedział: Młodzieńcowi temu na imię Eliezer, gwiazda nad głową Izraela, a ojciec jego nazywa się Hyrkan.

Kiedy Hyrkan to usłyszał, krzyknął wielkim głosem, do młodzieńca pobiegł i ramiona swoje przed nim otworzył. I była wtedy wielka radość w sercach ojca i syna, a lud cały pokłonił się Hyrkanowi za to, że wnętrzości jego takiego syna z siebie wydały...

Saul słuchał opowiadania tego bardzo uważnie, z twarzą na poły chmurną jeszcze, na poły rozjaśnioną. Drogie mu były ojczyste podania i lubił sły-
szć je w ustach najulubieńszego z wnuków. Jednak nie zawahał się ani przez chwilę z odpowiedzią. Przymrużył nieco oczy, zakolysał głowę i zaczął:

— Żeby w Jerozolimie nauczał teraz wielki jaki mędrzec izraelski, ja-bym sam bez twego proszenia posłał cię do niego na naukę. Ale na Jerozolimie spoczęła mściwa prawica Pana... ona już nie nasza... będzie ona kiedyś znów nasza... jak przyjdzie wielki

dzień Messyaszowy; ale teraz tam umierać tylko Izraeliciesłodko i dobrze, a uczyć się niema gdzie i u kogo. A w cudzy świat, po cudze nauki ja ciebie nie pošlę... One Izraelicie nie potrzebne... Ty od Edomity nauczyłeś się już tyle, ile ci trzeba, abys w cudzym świecie mógł interesa prowadzić... A i za to ja miałem już od wielkiego rabbina wymówkę... A dla mnie jego wymówki to wielki wstyd i zgryzota... bo choć to mądry i wielki rabbin jest, ale moja dusza cierpi, kiedy on do mego domu przychodzi łając mię, jak melamed małe dzieci w chederze łaje...

Zasepił się stary, mówiąc to, i ponuro w ziemię patrzył. Meir stał przed nim, jak skamieniały, i tylko we wzroku jego, szklisto w przestrzeń wpatrzonym, malowała się bezdnia smutnych i buntowniczych uczuć.

— Zejde! — odezwał się nakoniec wpół prosząco, wpół porywczo, — więc ty mi rzemieślnikiem pozwól być! Ja będę z biednymi ludźmi na jednej ulicy mieszkał, razem z nimi rękoma memi pracował i duże ich od grzechu strzegł. A kiedy oni spytają się mię o co, odpowiem im zawsze: tak, albo nie! i kiedy im chleba zabraknie, rozdzielę pomiędzy nich wszystkich ten chleb, który będzie w moim domu!

Znowu czoło jego zapalało i lzy błysnęły na rzęsach. Ale Saul podniósł na niego wzrok osłupiały od zdziwienia i po chwili dopiero odpowiedział:

— Kiedy ty będziesz miał dwa albo trzy lata

więcej, wtedy poznasz, jaki ty głupi byłeś, kiedy do mnie takie rzeczy gadałeś. We familii Ezofowiczów nie było nigdy rzemieślnika żadnego i, dziękować Bogu, nigdy nie będzie. My kupcy z ojca na syna i pieniędzy u nas dość, a z ojca na syna coraz więcej. I ty kupcem będziesz, bo Ezofowicz każdy kupcem musi być...

Ostatnie wyrazy wymówił stanowczym głosem; po chwili, łagodniej nieco, ciągnął dalej:

— Ja tobie łaskę chcę zrobić... kiedy ty nie chcesz żenić się z córką Reb Jankla, już ja ci pozwolę nie żenić się z nią... Ale ja ciebie zaręcę z córką Elego Witebskiego, wielkiego kupca. Tobie smutno za nauką, nu! to ja tobie dam żonę edukowaną... ją rodzice na pensyi w Wilnie trzymają... ona po francuzku mówić umie i na fortepianie grać... Nu, kiedy, ty taki kapryśny jesteś, to ta dziewczyna jak raz będzie dla ciebie... Ona ma szesnaście lat. Ojciec da za nią wielki posag i zaraz ciebie do swoich interesów przypuści...

Z wyrazu twarzy Meira poznać można było, że wrzał wewnątrz.

— Ja córki Witebskiego nie znam! moje oczy nigdy jęj nie widziały — wyrzekł ponuro.

— A na co tobie ją znać? — krzyknął Saul. — Ja ją tobie daję! Ona za miesiąc wróci z Wilna do rodziców i ty z nią za dwa miesiące ożenisz się! To ja tobie mówię, a ty milcz i rozkazań moich słuchaj.

Ja tobie do tego czasu za wiele pozwalałem, ale teraz już będę z tobą inaczej. Izaak Todros powiedział, żebym ja stopę swoją na twoich plecach postawił...

Rumieńce wytrysnęły na bladą twarz Meira. Z oczu jego posypały się iskry.

— Niech Rabbi Izaak sam stawi stopę swoją na plecach tych, co jak psy liżą jego nogi! — zawołał.

— Ja Izraelita jak i on... ja nie jestem nieczym niewolnikiem... ja...

Skonały słowa na drżących ustach jego, bo stary Saul stanął przed nim wyprostowany, potężny, rozpłomieniony gniewem, i już rękę swą na niego podnosił. Lecz w téjże chwili pomiędzy ręką tą starca, suchą, lecz silną jeszcze, a twarzą młodzieńca, wzburzoną, i płomienną, zawisła dłoń mała, od starości wyschła, pomarszczona i drżąc rozdzieliła je z sobą. Była to dłoń Frejdy, która, obecna całej rozmowie dziada i wnuka, zdawała się drzemać na słońcu i nic nie słyszeć; ale, kiedy się rozległ w izbie namiętny wykrzyk Meira, a Saul powstał rozgniewany i groźny, ona powstała także, wyprostowana i milcząca, postąpiła parę kroków, i biedną, starą dłonią swą, niby tarczą, zasłoniła prawnuka... Ręka Saula opadła w dół... Zmiękłym już nieco głosem zawoławszy tylko ku Meirowi: — Weg! — opuścił się na ławę i ciężko oddychał.

Prababka usiadła znowu przy otwartém oknie, w słońcu cała; Meir opuścił izbę.

Wyszedł z głową schyloną i chmurném czołem.

Uczuł w tój chwili całą niemoc swą wobec wszystkiego, co wzbijało się nadeń wiekiem, znaczeniem, powagą; uczuł ciężące na sobie kajdany patryarchalnego ustroju rodziny. I tylko przy wspomnieniu o tój małej, wyschlęj, drżącej dłoni kobiecej, która zasłoniła go przed grubiańskim aktem przemocy, uśmiech rzewnej tkliwości przewinął mu się po ustach. Był to także uśmiech nadziei.

— Żebym ja to pisanie mógł dostać! — rzekł do siebie, dłoń przesuając po czole.

Myślał o pisaniu Michała Seniora, i o tём, że jedna tylko stara prababka wiedziała, kędy go szukać trzeba, i o tём także, iż gdyby je miał, wiedziałby może co mówić, jak czynić.

Saul tymczasem siedział długo na ławie, sapiąc ze zmęczenia i ze zmartwienia wzdychając. Parę razy spojrzał na matkę i uśmiechnął się. Dziwném zdawało mu się może to nagle wstawienie się za prawnikiem, wiecznie drzemającą i milczącą, stuletniej rodzicielki jego, a może i wdzięcznym jej był w głębi serca za to, iż nie pozwoliła, aby w uniesieniu gniewnem skrzywdził wnuka-sierotę.

— Rafał! — zawołał po chwili donośnym głosem.

Do izby wszedł najstarszy z synów jego, poważny, siwiejący, czarnooki mężczyzna. Był on po Saulu najstarszym w rodzinie; wnuki już dorosłe miał, szeroko rozgałęzione interesa handlowe po świecie prowadził; ale, wołanie ojca usłyszawszy, porzucił wnet

rachunkowe księgi swe, przerwał żywą rozmowę z bratem i stanął przed ojcem.

— Czy Eli Witebski jest w domu?—zapytał Saul.

— On wczora z dalekiej drogi powrócił i teraz w domu swoim odpoczywa, — odrzekł syn.

— Niech ktokolwiek zaraz pójdzie do niego i powie, że ja chcę, aby on przyszedł tu, i ze mną o ważnych rzeczach pogadał.

— Ja pójdę sam, — rzekł Rafał — ja wiem o jakich rzeczach chcesz, ojcze, z Witebskim gadać. Te rzeczy dobre są, i trzeba je co najprędzj do skutku doprowadzić. Z Meirem źle będzie, jeżeli on prędko nie ożeni się i interesów prowadzić nie zacznie.

Saula oczy z niepokojem utonęły w twarzy syna.

— Rafał! czy ty myślisz, że jak ożeni się, to będzie zaraz inny?

Rafał twierdząco skinął głową.

— Ojcze! — rzekł, — przypomnij sobie Bera. On był na takiej drodze, na jakiej teraz jest Meir; ale jak ożenił się z naszą Sarą, a ty, ojcze, do interesów swoich jego przyjąłeś, i jak dzieci jego zaczęły rodzić się jedno po drugim, jemu wszystkie głupstwa z głowy powylały.

— Idź! zawołaj do mnie Witebskiego — zakończył rozmowę Saul.

Rafał wyszedł po chwili i zmierzał ku domostwu, które, przy zbiegu dwóch najpokaźniejszych ulic stojąc, okna miało duże i wysoki ganek. Na ganku

siedziała kobieta, otyła nieco, w jedwabnej sukni i mantyli, spiętej złotą broszą, ze złotemi długimi kolcami w uszach i starannie uczesaną peruką na głowie. Lat mogła mieć około czterdziestu, wyglądała świeżo i rumiano, na ustach miała uśmiech zadowolenia i dumy, a w ręku trzymała robótkę jakąś z cienkiej bawełny. Kiedy Rafał wchodził na schody wysokiego ganku, kobieta powstała i z najwytworniejszym dygiem, jaki kiedykolwiek dokonany mógł być w Szybowie, na powitanie ku przybywającemu wyciągnęła rękę. Żadna kobieta w Szybowie, oprócz pani Hany Witebskiej, nie witała się w ten sposób z żadnym mężczyzną. Owe angielskie *shake-hand*, rozpowszechnione po całym ucywilizowanym świecie, nie bardzo snadź przypadło do smaku poważnemu Rafałowi, bo trochę niechętnie dotknął się końcami palców pulchnej dłoni pani Hany i, po krótkim wzajemnem pozdrowieniu, zapytał ją o jej męża.

— On w domu! — rzekła kobieta, uśmiechając się wciąż z chronicznem jakby zadowoleniem i również chroniczną dumą. — A jakże! on wczoraj z wielkiej drogi wrócił i teraz w domu swoim odpoczywa.

— Ja przyszedłem, aby z nim pogadać — rzekł Rafał.

— Proszę! proszę! — zawołała kobieta, z pośpieszną uprzejmością otwierając drzwi, prowadzące do sieni domu. — Mój mąż będzie bardzo kontent z takiego gościa! proszę! proszę!

Rafał na światowe grzeczności pani Hany odpowiedział w sposób bardzo umiarkowany, szybkiem skinieniem głowy, i wszedł w głąb domu. Pani Hana usiadła znowu na ławce ganku, wzgardliwie nieco przymrużyła oczy i szepnęła do siebie:

— Nu! jacy to ludzie w tym Szybowie! oni z kobietami gadać nie chcą i tacy dzicy są jak niedźwiedzie!

Westchnęła, pokiwała głową i dodała:

— Czy ja do takich ludzi przyzwyczajona! U nas w Wilnie ludzie grzeczni i edukowani, nie tak jak tu! pfe!

Splunęła lekko, westchnęła raz jeszcze i znowu, robiąc machinalnie robótkę swą, z uśmiechem dumy i zadowolenia patrzała na miasteczko i ruszających się po niēm ludzi. Niebawem w drzwiach domu ukazali się dwaj mężczyźni; rozmawiając, przeszli szybko przez ganek; na panią Hanę nie spojrzeli i ku domowi Ezofowiczów skierowali się.

Eli Witebski, idący teraz przez plac, obok Rafała, bynajmniej do towarzysza swego podobnym nie był. Kupiec, tak jak i tamten, przedstawiał on przecież powierzchownością swą odrębny całkiem rodzaj kupca-Izraelity. Światowcem był widocznie i elegantem. Ubranie jego, nie zupełnie wprawdzie krótkie, (najmniej przecież o pół łokcia krótszēm było od sięgającego do stóp ubrania Rafała, i innym nieco krojem sporządzone. Na atlasowėj kamizelce jego połyski-

wał gruby łańcuch złoty, a na palcu—pierścień z wielkim brylantem. Twarz miał pogodną, oczy bystre, przenikliwe, małą złotawą bródkę, ku której często podnosiła się ręka jego, brylantem ozdobiona, gięstem powolnym i rczważnym.

Szedł on obok Rafała z pośpiechem i ochotą widoczną. Nie było zresztą w Szybowie całym ani jednego, by najbogatszego, kupca i gospodarza domu, któryby w podobny sposób nie śpieszył na wezwanie Saula Ezofowicza. Od dziesięciu już lat bowiem Saul na własną rękę interesa prowadzić przestał, i nigdzie z domu swego, prócz do bożnicy, nie wychodził. Przychodzili za to do niego wszyscy, którzy czerpać chcieli ze skarbnicy wielkiego doświadczenia i nie mniejszej biegłości w interesach handlowych starego kupca. Zdarzało się często, iż siadywał on w bawialnej izbie na kanapie owęj z żółtą, wysoką poręczą; przed nim, na stole, spoczywała roztwarta księga nabożna, której czytanie przerwano mu; wkoło niego siedzieli mężowie dojrzały, uchodzący w gminie całej za bogaczy i uczonych, a do niego przybyli po radę, pomoc, niekiedy zaś nawet na rozsądzenie i godzenie spraw spornych. Stary Saul radził; pomocy, o ile mógł bez krzywdy dzieci swych, udzielał; rozstrzygał, godził, i wielką z tego dumę na pomarszczonem czole miał. A kiedy potem sam, dla własnych spraw swoich, potrzebował z dostojnikami gminy porozmawiać, wzywał ich przez synów lub wnuków swoich,

a oni chętnie i uprzejmie doń śpieszyli. Pośpieszał więc, na wezwanie starego patryarchy gminy, elegancki i bogaty Eli Witebski. Do bawialnej izby Ezofowiczów wszedł uśmiechniony i rozpromieniony, i gospodarza powitał:

— *Szolem Alejchem!* (pokój tobie).

Nie witał on już w ten przestarzały sposób niko-go po-za Szybowem; owszem, do spotykanych na świecie ludzi bardzo poprawnie mawiać umiał: — *gut morgen*, albo: dzień dobry! Lecz obyczajem jego niezłomnym było: stosować się we wszystkiem do tych, z którymi miał do czynienia.

Rafał chciał odejść, ale giestem rozkazującym zatrzymał go ojciec. Zamknęli wszystkie drzwi izby i we trzech rozmawiali długo i zeicha. Jakkolwiek jednak, rozmawiając, zniżali głosy, ciekawa i swawolna Lijka, córka Rafała, przytknąwszy nosek swój do drzwi zamkniętych, a czarne oko do dziurki od klucza, usłyszała wyraźnie powtarzane często imiona Meira i Mery, córki Witebskich, naprzód, a potem swoje i jakiegoś Leopolda, kuzyna pani Hany, na wielkim świecie przebywającego. Odskoczyła ode drzwi, spłoniona cała, zawstydzona nawpół, a nawpół tajemną radością zjęta, i wciąż już tylko wyglądała przez okno, ażeby ujrzeć co prędzej wracającego do domu stryjecznego brata.

Słońce już zachodziło, kiedy Witebski opuścił dom Ezofowiczów, rozpromieniony, uśmiechniony i wi-

docznie rad wielce z załatwionego interesu, czy może dwóch naraz interesów załatwionych.

W téjże prawie chwili Meir wracał do domu. Lijka wybiegła na spotkanie brata i — w bramie dziedzińca otoczywszy ramieniem szyję jego, do ucha mu szeptała:

— Czy ty wiesz, Meir! dziś wielkie rzeczy u nas działy się. Zejde nasz i ojciec mój długo rozmawiali z Elim Witebskim i o nas umówili się. Witebski przyrzekł dla ciebie córkę swoją, Merę, a mnie zejde i ojciec przyrzekli dla siostrzeńca pani Hany, co na wielkim świecie żyje i bardzo edukowany jest. — Szeptala to, płonąc cała i nie śmiać ze wstydu podnieść oczu na brata. Nagle uczuła, że wysunął się szybkim ruchem z jej objęcia. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła Meira, odchodzącego znowu od wrót domowych.

— Meir! — zawołała za nim dziewczyna, — gdzie ty idziesz? Czy ty wieczery jeść z nami nie będziesz?

Odchodzący nie odpowiedział nic na dziewiczy głos, który przyzywał go ku rodzinnemu stołowi. Głęboka zmarszczka przerzynała mu gniewne czoło. Zrozumiał w téj chwili całą nicość wykrzyku, wydanego wobec dziada przed kilku godzinami: „ja nie jestem niczym niewolnikiem!” Rozporządzano się, bez najlżejszego w tém udziału woli jego, rodziną jego przyszlnością, a on wiedział, że jak rozkażą starsi, tak stać się będzie musiało...

Nie! wzdrygał się on cały na myśl, aby stać się *tak* mogło? Dla czego? wszak nie znał młodej Mery, która kędyś na świecie uczyła się nauk tych, których on sam tak bardzo był żądny! Lecz, idąc wciąż przez miasteczko i puste grunta, oddzielające je od Karaimskiego wzgórza, idąc powoli, z rękoma założonemi w tył i pochyloną głową, myślał wciąż uparcie, machinalnie prawie, nieprzerwanie: „Ja nie jestem niczym niewolnikiem!” Wrzała w nim i kipiała dumą i żądza swobody, niewiedzieć z kąd w nim powstała, — z tych tajemniczych zapewne technień przyrody, które na wszelkich gruntach sieją duchy szlachetne i mocne, wolności, sprawiedliwości i wiedzy spragnione...

* *

U stóp Karaimskiego wzgórza, w chatce tulącej się do piaszczystej jego ściany, błyszczało małe, żółte światelko. Nad nią, w gałęziach wierzby rosochatěj, połyskiwały drobne gwiazdy, a dalej, na polach, słały się szare cienie wieczoru.

We wnętrzu chatki, pod niską ścianą, siedział na snopie zmiętej słomy starzec zgarbiony, bezkształtną odzieżą okryty, i drżącemi rękoma przebierał giętkie pręty łoziny. Postać jego szarzała zaledwie wśród mrocznego kąta, a rysy pochylonej twarzy były niewidzialnemi.

Blżej żółtego płomyka świecy, na stołku drewnia-

nym, siedziała wysmukła dziewczyna, z chudą twarzą i wyprostowaną postacią. W spuszczonej ręce jej okręcało się z cichem fruwaniem wrzeciono, a nad głową podnosiła się deska prząsnicy z przymocowanym do niej grubym zwojem wełny.

Z pod ściany, przy której szarżała zgarbiona postać starca, wydobywał się głos trzęsący i chrypiący: — „Pośrodku pustyni takiej wielkiej, że jej końca nigdzie widać nie było, podnosiły się dwie góry takie wysokie, że głowy ich chowały się w chmurach. Góry te nazywały się Horeb i Synai”.

Ochryply, drżący głos starca umilkł, a dziewczyna, która, przędąc, wciąż słuchała z poważnym wzrokiem, wymówiła:

— Zejde! mów dalej!

Lecz w téjże chwili ozwał się tuż za otwartem oknem przyciszony głos mężki:

— Gołda!

Przędki nie przelekło ani zdziwiło to nagłe wymówienie imienia jej przez głos obcy. Możnaaby rzec, iż co chwila spodziewała się ona usłyszeć głos ten obok siebie: tak poważnie i bez najlżejszego drgnienia powstała i ku oknu podeszła. Tylko oczy jej zapłonęły gorąco z za czarnych rzęs, a głos narzmiął był niewypowiedzianą słodyczą, gdy, stanawszy u okna, rzekła zeicha:

— Meir! ja wiedziałam, że ty obietnicy swój dotrzymasz i przyjdiesz.

— Ja przyszedłem do ciebie, Gołdo, — mówił za oknem przyciszony głos mężki, — bo mnie dziś bardzo ciemno przed oczyma i ja chciałem popatrzeć na ciebie, żeby świat zrobił mi się jaśniejszym...

— A dla czego tobie dziś tak ciemno zrobiło się przed oczyma? — zapytała dziewczyna.

— Ja mam wielką zgryzotę. Rabbin Izaak oskarżył mię przed zejdem, i zejde chce mię ożenić...

Umilkł i spuścił oczy. Dziewczyna ani drgnęła. Najlżejsze poruszenie postaci, ani twarzy, nie zdradziło wzruszenia jęj; tylko śniada i ogorzała twarz jęj stała się, na mgnienie oka, białą jak opłatek.

— Z kim zejde chce cię ożenić? — zapytała, a w głosie jęj ozwały się brzmienia ponure.

— Z Merą, córką kupca Witebskiego.

Wstrząsnęła głową.

— Nie znam jęj.

A potem zapytała nagle:

— Czy ty z nią ożenisz się, Meir?

Młodzian nie odpowiedział, a jednak Gołda nie pytała dłużej. Śniade czoło jęj opłynęło rumieńcem, a wyraz szczęścia niewysłowionego napełnił oczy; bo wzrok Meira tkwił w jęj twarzy, łagodny, litościwiwy jakiś, głęboki i zarazem ognisty.

Milczeli oboje, a w ciszy, przerywanęj tylko szemraniem gałęzi wiszących nad dachem, chrypiał, dygotał znowu głos siedzącego pod ścianą starca.

— „Kiedy Mojżesz zstępował z góry Synai, umil-

kły, grzmoty, zgasły błyskawice, wichry pokładły się na ziemię, a Izrael powstał jako jeden człowiek i wielkim głosem krzyknął:—Mojżesz! powtórz nam słowa Przedwiecznego!”

Meir wsłuchiwał się w stary głos opowiadającego prastare dzieje Izraela, z natężoną uwagą. Gołda spojrzała na dziadka.

— On tak zawsze różne historye opowiada — rzekła — a ja przędę, albo przy nogach jego leżę i słucham...

— Meir, — dodała z powagą w wejrzeniu i głosie — wejdź ty do domu naszego i pozdrów mego dziada.

Po chwili skrzypnęły drzwi od małej sionki. Stary Abel podniósł głowę z nad prętów łożowych, które przebierały wciąż i splatały drżące, lecz czynne dłonie jego, i, widząc rysującą się w zmroku dorodną postać młodzieńca, zapytał:

— A kto tam przyszedł?

— Zejde! — rzekła Gołda — Meir Ezofowicz, wnuk bogatego Saula, przyszedł do domu naszego, aby cię pozdrawić...

Na dźwięk nazwiska wymówionego przez Gołdę, szara postać, skureczona przy ścianie, podniosła się nagle i, wspierając się rękoma o wież zmiętą słomy, wyciągnęła żółtą, w łachmanach ukrytą szyję. Wtedy wychyliła się też pod światło żółtego płomyka głowa, z której zwisały aż na ramiona długie, bujne pasma

włosów złotawej białości, i twarz mała, skureczona, niewidzialna prawie z pod ogromnego zarostu, który ją okrywał. Gołda mówiła prawdę, że włosy jej dżiada stały się od starości jako śnieg, a jak korale były od łez oczy jego. Teraz z pod koralowych tych nabrzmiałych powiek źrenice zgasłe patrzyły z osłupieniem strachu naprzód, a potem z wyrazem oburzenia, czy nienawiści:

— Ezofowicz! — wymówił starzec głosem nie tak już drżącym i ochrypłym, jak pierwój. — A poco ty tu przyszedł i próg domu mego przestąpił, kiedy ty Rabbanitą jesteś... wrogiem... prześladowcą... a pradziad twój wyklął przodków moich i świątynię ich w proch obrócił?... Ty idź ztąd! niech stare oczy moje nie trują się, patrząc na ciebie!

Mówiąc ostatnie wyrazy, trzęsącą rękę wyciągał ku drzwiom, któremi wszedł młodzieniec.

Ale Meir zwolna postąpił naprzód i, chyląc nisko głowę przed rozgniewanym starcem, wymówił:

— Pokój tobie!

Na dźwięk głosu tego, o łagodnym, głębokim brzmieniu, i wymówionych przezeń wyrazów, które błogosławieństwo i prośbę o zgodę zawierały w sobie, starzec umilkł, opuścił się ciężko na niskie swe siedzenie i po długiej chwili dopiero, żałośliwym już tylko, jęczącym głosem mówić zaczął:

— Po co ty do mnie przyszedłeś! Rabbanitą jesteś i prawnikiem potężnego Seniora. Ciebie wyklną

twoi, gdy zobaczą, że ty mój próg przestąpiłeś, bo ja ostatnim Karaitą jestem, co tu pozostał, ażeby gruzów świątyni naszej i popiołów naszych ojców strzedz! Ja nędzarz! ja żebrak! ja wyklęty przez twoich! ja ostatni Karaita!

Meir słuchał żałośliwych słów starca w milczeniu, pełnem szacunku.

— Rebe! — ozwał się po chwili — ja przed tobą nisko głowę moję pochylam, bo trzeba, żeby sprawiedliwość na świecie stała się, i żeby prawnuk tego, co wyklinał, pokłonił się prawnukowi wyklętych...

Abel Karaita słuchał wyrazów tych z uwagą wielką, nadstawiawszy ucha. Potem milczał jeszcze długo, jakby znaczenie ich w zmęczonym umyśle swym rozważał, aż nakoniec zrozumiał je całkiem, i szepnął:

— Pokój tobie!

Gołda stała z ramionami skrzyżowanemi na piersi i w Meira wpatrywała się, jak w obraz święty wpatrują się pobożni. Usłyszawszy wyraz pokoju, wychodzący z ust dziada, przysunęła Meirowi jeden z dwóch stołków znajdujących się w chacie, wzięła z kąta izdebki mały, lśniący dzbanek i wyszła do sieni.

Meir usiadł opodal nieco od starca, który pogrążył się znowu w swej robocie i zrazu szeptać coś zaczął. Po chwili szepet ten stawał się coraz głośniejszym, aż przemienił się w chrypliwe i drżące opowiadanie. Opowiadania takie były snadź ciągłym zwy-

czajem Abła. Miał on ich pełną pamięć i pierś, i nie-
mi sobie nędzne życie swe rozpromieniał.

Pierwszych wyrazów, szeptem przez Abła wymówionych, Meir nie dosłyszał, i wtedy dopiero pochwycił wątek słów jego, gdy starzec głośnieję zaczął:

— „Nad brzegami Babilonu siedzieli oni płaczący, a wiatr jęczał w lutniach ich, które sobie z oczyszczonych przynieśli i w smutku zawiesili na drzewach.

„I przyszli do nich panowie ich i mówili:—„Weźcie do rąk waszych te lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!“ A oni odpowiedzieli:—„Jakoż grać i śpiewać będziemy na ziemi wygnania, kiedy język nasz usechł od wielkiej goryczy, a serca nasze wołać umieją tylko: Palestyna! Palestyna!“ Ale rzekli do nich panowie ich:—„Zdejmcie z drzew lutnie wasze, grajcie i śpiewajcie!“

„Wtedy prorocy Izraela obejrzeni się na siebie i zapytali:—„Kto z nas pewny, że męki wytrzyma, a grać i śpiewać nie będzie na ziemi wygnania?“

„A kiedy nazajutrz przyszli do nich panowie ich i powiedzieli: — „Zdejmcie z drzew lutnie, grajcie i śpiewajcie!“ — Prorocy Izraela popodnosili swoje ręce krwawe i zawołali:

„—Jakże zdjąć je możemy, kiedy ręce nasze przecięte są na dwoje i palców u nich niema!

„Rzeki Babilonu głośno szumiały od wielkiego dziwu, a wiatr płakał w lutniach na drzewach wiszących, bo prorocy Izraela rozcięli sobie ręce na dwoje,

ażeby nikt zmusić ich nie mógł do śpiewu na ziemi wygnania!“

Kiedy Abel wymawiał ostatnie wyrazy starzej legendy, do izby weszła Gołda. Niosła ona w jednej ręce, na splecionej ze słomy podstawie, dwa kubki gliniane, w drugiej — dzbanek lśniący, napełniony mlekiem. W drzwiach, które roztwartemi za nią zostały, stanęła koza, odbijając białością na czarnym tle sionki. Dziewczyna, w długiej spłowiałej spódnicy, z czarnym warkoczem, rzuconym na plecy szarej koszuli, wylała w kubki pieniące się mleko i podawała je dziadowi i gościowi. Chodziła po izbie cicho i lekka, z uśmiechem tylko na poważnych ustach. Potem usiadła i prząść znowu zaczęła. Izbę zaległa cisza zupełna. Stary Abel rozpoczynał jeszcze dawną historią jakąś cichym szeptem; ale wkrótce zamknęły się usta jego, ręce opadły na snop łożowych prętów, a głowa nieruchomo spoczęła przy ścianie.

Koza zniknęła z progu. Słyszać było jeszcze przez chwilę szamotanie się jej w ciemnej sionce; lecz po chwili i to umilkło. Młodzi ludzie zostali sami jedni wobec uśpionego starca i gwiazd, które zaglądały przez niskie okienko. Ona przędła — ze wzrokiem utkwionym w twarz młodzieńca, siedzącego zdaleka; on spuścił powieki i myślał.

— Gołda! — ozwał się po długiej chwili — prorocy Izraela, którzy sobie ręce porozcinali na dwoje, aby niewolnikami swoich panów nie być, wielkimi byli ludźmi...

— Oni nie chcieli nic robić przeciw sercu swemu! — poważnie odpowiedziała dziewczyna.

Milczeli znowu. Wrzeczono szemrało w rękę Goldy, ale coraz ciszej jakoś i wolniej. Przez źle spojone stare deski ścian wnikały powiewy wiatru i chwiały żółtym płomykiem świecy.

— Goldo! — ozwał się Meir, — czy tobie nie straszno w tej samotnej chacie, kiedy jesień i zima długie, czarne ciemności na świat spuszczają, a wichry wielkie przez te stare ściany do izby wlatują i jęczą?

— Nie — odpowiedziała dziewczyna, — mnie nie straszno, bo Przedwieczny strzeże biednych chat, co w ciemnościach stoją, a kiedy wiatry wlatują tu i jęczą, ja słucham historyi tych, które opowiada zejde, i jęczenia tego nie słyszę.

Wzrok Meira, miękki i pełen litości, spoczywał na twarzy poważnego dziecka. Gołda patrzyła na niego nieruchomemi oczyma, które błyszczały zdala, jak czarne, ogniste gwiazdy.

— Gołda! — rzekł znowu Meir, — czy ty pamiętasz historyą o Rabbi Akibie?

— Ja jęj do końca życia mego nie zapomnę... — odpowiedziała.

— Gołda! — czy ty-byś mogła, jak piękna Rachela, czekać czternaście lat?...

— Ja-bym do końca życia mego czekała...

Wymówiła to spokojnym głosem i poważnemi usty, ale wrzeczono wymknęło się z jej ręki, która opadła w dół jak bezwładna.

— Meir, — rzekła tak cicho, że słowa jej przysłuszał nieledwie cichy szept wieczornego wiatru, — daj ty mnie obietnicę jedną! Kiedy tobie nie dobrze będzie w domu dziada twego Saula i kiedy ty smutek na swojém sercu poczujesz, przychodź ty wtedy do domu naszego. Niech ja o każdym smutku twoim wiem, i niech zejde mój pociesza ciebie temi pięknemi historyami, które on opowiadać umie!

— Gołdo! — rzekł silnym głosem, — ja, jak prorocy Izraela, ręce swoje na dwoje raczej rozetnę, niż cokolwiek kiedy przeciw sercu memu zrobię!

Rzekłszy to, wstał i skinął głową ku dziewczynie.

— Pokój tobie! — rzekł.

— Pokój tobie! — odpowiedziała cicho i głową zwolna ku niemu skinęła.

Wyszedł z chaty, a po chwili dziewczyna powstała ze stołka, zdmuchnęła żółty płomyk dogorywającej świecy i, owinąwszy się szarą jakąś płachtą, u nóg uśpionego na słomie starca spoczęła. Spoczęła — lecz długo jeszcze patrzyła szeroko rozwartemi oczyma na gwiazdy, które migotały za oknem.

VI.

Eli Witebski posiadał w umyśle swym i charakterze niepospolite dyplomatyczne zdolności. Nie urodził się on i nie wzrósł w Szybowie, jak wszyscy bez wyjątku mieszkańcy miejsca tego, ale od trzech lat zaledwie sprowadziły go tu interesa i różne rodzinne okoliczności.

Był zatem wśród miejscowej ludności, znającą się wzajem od dziadów, pradziadów, cudzoziemcem nieledwie; a w dodatku, życie całe spędziwszy w dużem gubernialnem mieście, przywiózł z sobą wiele nowości, które zadziwiać i razić mogły ultrakonserwatywnych mieszkańców zapadłego kąta. Nowościami temi były: strój odmienny znacznie co do kroju i długości, noszenie pierścienia z brylantem na palcu, nienoszenie jarmułki na głowie, krótkie przystrzeganie złotawej bródki, zupełny brak w mieszkaniu ksiąg talmudycznych i kabalistycznych, przedewszystkiem zaś posiadanie żony takiej, jaką była pani

Hana, córki uczącej się gdzieś na pensyi, i oprócz téj ostatniej — dwojga *tylko* dzieci. Nowości te, ważne niezmiernie, niewidzianie, niesłychane, powinny były ściągnąć na eleganckiego kupca ogólną niechęć publiczności szybowskiéj; nie ściągnęły jednak. Zrazu wprowadzie ci i owi poszeptywali pomiędzy sobą, że jest on *misnagdimem*, postępowcem, i w rzeczach wiary indyfferentem. Podejrzenia te jednak rozproszyły się szybko, a siłą, która je zażegnała, była nadzwyczajna łagodność, uprzejmość i giętkość Elego. Grzeczny zawsze, uśmiechniony, pogodny, nie sprzeczał się nigdy z nikim, ustępował każdemu, potwierdzał wszystko, spierającyc h się ludzi unikał, aby nie być zmuszonym do wzięcia strony jednego z nich a obrażenia na siebie drugiego; jeżeli zaś w żaden sposób uniknąć tego nie mógł, to tak ładnie, płynnie, słodko i przenikająco przemawiać umiał, iż zwaśnione strony, elokwencyą jego zachwycone, miękły, godziły się, a dla niego wdzięczność i uwielbienie w sercach unosiły, mówiąc z zachwytem: *a kluger mensz!* Bo co do właściwych obrządków i przepisów religijnych Witebski okazywał się ortodoxem doskonałym. Świącił sabbaty i zachowywał koszery z punktualnością najdrobiazgowszą; wielkiemu rabbinowi, ilekroć go spotkał, kłaniał się bardzo nisko i umiał nawet to, czego nikt w gminie całej nigdy nie potrafił, — rozechmurzać posępne czoło i rozjaśniać zadumane oczy mędrca wesołemi przypowieściami jakie-

miś, branemi niewiedzieć zkąd, ale układanemi zawsze w ten sposób, iż posiadały coś z mistycznego lub patryotycznego nastroju i trafiały tém do smaku najsurowszym nawet słuchaczom. Niewiele czasu spędzał on w domu, jeżdżąc wciąż po świecie za interesami, któremi zajmował się gorliwie, ale ilekroć znajdował się w Szybowie, widywano go niechybnie w Bet-ha-Midraszu, słuchającego z czcią przynależną mądrych nauczania rabbina Todrosa i uśmiechającego się z lubością, gdy kilkunastu lub kilkudziesięciu starych i młodych mędrców gminy zawzięcie toczyło z sobą Pilpul, czyli rozprawy i spory nad różnemi komentarzami i komentarzami komentarzy, których pełne są 2,500 drukowanych arkuszy Halachy, Hagady i Gemary. W domu modlitwy bywał też zawsze, ilekroć bywali tam wszyscy, a choć nie mógł zaliczyć się do rzędu najgoręcej modlących się, więc najgłośniej krzyczących i najgwałtowniej kołyszących się nabożnych, to jednak postawa jego i wyraz twarzy bywały niewzruszenie i doskonale przystojne.

Nie należy przecież mniemać, aby, postępując w ten sposób, Witebski był obludnikiem. Bynajmniej; lubił on szczerze zgodę i spokój, nie chciał więc ich zamącać ani sobie ani innym. Powodziło mu się w życiu, czuł się szczęśliwym i zadowolonym: lubił więc ludzi wszystkich, i najzupełniej, najszczerzej było mu to obojętnem: czy człowiek, z którym do czynienia miał, był Talmudystą, Kabbalistą, Chassy-

dem, prawowiernym, odszczepieńcem lub nawet Edomitą, byleby tylko nie szkodził mu osobiście. O Edomitach zresztą dowiedział się po raz pierwszy wtedy dopiero, gdy do Szybowa przyjechał; w kółku bowiem, w którym obracał się dotąd, nazywano chrześcian *gojami*, ale to rzadko kiedy i tylko pod wpływem wyjątkowych uczuć gniewu lub obrazy, najczęściej zaś po prostu—chrześcianami. Gdy jednak przyjechał do Szybowa i usłyszał o Edomitach, pomyślał w duchu: niech sobie będą i Edomici! Odtąd też nie dawał inną nazwy chrześcianom, gdy rozmawiał o nich z którym z Szybowskich mieszkańców. Ale nie było w tém nazywaniu najmniejszej odrobiny nienawiści, albo choćby niechęci. Edomici nie mu dotąd osobiście złego nie wyrządzili: za cóżby więc miał ich nie lubić? Po za Szybowem przyjaźnił się z nimi i wielu z nich nawet lubił, ale w Szybowie — jak wszyscy, tak i on!

Religijną edukacją otrzymał był w dzieciństwie, ale potem rozwiało się jakoś wszystko i rozproszyło z pamięci jego, wśród świeckich całkiem zatrudnień i starań. W Jehowę wierzył i cenił go głęboko; o Mojżeszu wiedział, i wiedział coś także o starożytniej niewoli Babilońskiej i o nowożytnych dziejach żydowskiego narodu;—ale co się tycze głębszych rzeczy téjże natury, nie znał się na nich wcale. W gruncie niewiele go też obchodziło, co i jak powiedział lub nakazał Tanaita albo rabbin jaki. Nie przeczył jed-

nak niczemu ani słowem, ani postępkim, ani nawet myślą. Robił wszystko, co wszystkim przykazane było, mówiąc sobie: co to szkodzi! Może to tak sobie ludzkie wymyślenie jest, a może i rozkazanie samego Boga, — na co ja mam przeciw sobie Jego obracać?...

Dyplomatyżując w ten sposób z ludźmi i z Bogiem, nie obawiał się niczego, i dobrze mu było na świecie.

Byłoby mu na świecie zupełnie a zupełnie dobrze gdyby nie przywiózł był z sobą największej i najbardziej dla mieszkańców Szybowa zdumiewającej nowości, — żony swój, Hany. O ile on, żyjąc w małej mieścinie, pragnął i usiłował okazywać się takim, jakimi byli wszyscy, o tyle najpilniejszém staraniem pani Hany było czynić inaczej, niż wszyscy. Gdy przebywali wśród szerszego świata, panowała pomiędzy nimi harmonia niebieska, oparta zresztą na rzeczywistém przywiązaniu i jednostajności gustów. Tu jednak pani Hana stała się dla męża swego przedmiotem ciągłego kłopotu i niejakięj obawy.

Pani Hana rozkochana była w cywilizacyi, która przedstawiała się jej w postaci ładnych sukni, własnych włosów na głowie, pięknie umeblowanych po, koi, bardzo grzecznego obchodzenia się z ludźmi, francuzkiego języka i muzyki. Za muzyką przepadała. Mieszkając w dużém mieście, chodziła zawsze słuchać jej do publicznego ogrodu, gdzie — przechadzając się z przyjaciółkami swemi w szeleszczącej je-

dwabnéj sukni i kwiecistym kapeluszu, i przypatrując się pięknym panom, rozmawiającym grzecznie z pięknymi paniami—czuła się doskonale szczęśliwą, a bardziej jeszcze z towarzyskiego położenia swego w świecie dumną. Pewne szczególniej produkta cywilizacyi wprawiały ją w prawdziwy zachwyt. Raz, ujrzawszy w publicznym ogrodzie jakimś fontannę, przypatrywała się jej przez parę godzin z rozkoszą niewysłowioną, a wróciwszy do miasta swego, które nie posiadało wcale fontanny, przez rok cały opowiadała przyjaciółkom swym o widzianém nadzwyczaj piękném zjawisku.

Zwierciadła posiadały téż szczególną jej predylekcyą, i ilekroć znalazła się naprzeciw jakiejś taffi zwierciadlanej większych nieco rozmiarów, nie mogła oczu oderwać od niej, a zwłaszcza od ukazującego się w niej obrazu własnej osoby, którą przedstawiała się jej wcale piękną, wówczas nadewszystko, gdy miała w uszach złote kolce, a na głowie ładny czepeczek z kwiatami. Co do filozofii religijnej i w ogólności życiowej, na téj pani Hana mniej jeszcze znała się od męża swego. W Pana Boga wierzyła, a nawet w głębi serca srodze się go bała, i w szatanów wierzyła, bojąc się ich jeszcze srożej, niż Pana Boga; wierzyła także w to, iż ktokolwiek cienia swego w noc święteczną nie zobaczy, ten w ciągu roku umrze, i w to jeszcze, iż kto świecę postawioną na sabbatowym stole z miejsca poruszy, temu wielkie nieszczęście

może się stać. W zamian przecież, w wiele innych innych rzeczy, zupełnie tamtym podobnych, nie wierzyła, nazywając je wzgardliwie zabobonami; będąc zaś gospodynią skrzętną i zapobiegliwą, uznawała w duszy, iż lepiej-by było, gdyby Żydzi jedli takie samo mięso jak chrześcianie, bo przychodziłoby im ono daleko taniej, i gdyby w gospodarstwie niepotrzebnem było takie wielkie mnóstwo naczyń kuchennych, które istnieć muszą w każdym domu prawowiernym dla utrzymania jadła w stanie doskonałego koszeru. Co się zaś tycze tkanin, zawierających w sobie mieszaninę lnu i wełny, tych pani Hana, zamykając już oczy i uszy na zakazy wszelkie, stanowczo używała, bo były one ładne i tanie.

Przybywszy do Szybowa, pani Hana przerażona formalnie została widokiem miejsca, do którego mąż ją przywiózł. Ani śladu cywilizacyi! Publicznego ogrodu niema, muzyki grającej na otwartem powietrzu również, fontanny ani śladu, pięknych pań i panów, grzecznie rozmawiających z sobą, ani cienia, francuzkiego języka ani echa! Gwałtu! pani Hana położyła się do łóżka i zakopana w piernatach dwa dni i dwie noce płakała i lamentowała, wołając, że ona tu nie wytrzyma, że umrze i dzieci swoje sierotami zostawi! Nie umarła przecież, z łóżka wstała; bo trzeba było sprzęty przywiezione rozpakować, gospodarstwo urządzić i dzieci ładnie poubierać, aby, wychodząc pierwszy raz na ulicę, zadziwiły pięknnością

swą i strojem całe to, jak wyrażała się pani Hana ze wzgardliwym gościem: „pospólstwo“. Wystrojone zostały, wybiegły i istotnie zadziwiły wszystkich. Była to pierwsza pociecha, której nieszczęsna wygnanka cywilizacyi na wygnaniu swém doświadczyła. Przyszły potém różne inne pociechy, tój podobne. Pani Hana zadziwiała, imponowała czém mogła: strojem, meblami, manierą, wysłowieniem; a ilekroć zdarzyła się jej sposobność do tego, czuła się niewymownie szczęśliwą. W gruncie była może szczęśliwszą jeszcze, niż w opuszczoném przez się wielkiem mieście. Tam patrzała tylko na świat cywilizowany i pyszniła się tęp, że jest drobną jego częścią; tu była samą cywilizacją, całą summą cywilizacyi, jaka istniała w Szybowie.

Zadziwienie to i imponowanie, które stanowiło teraz, po gospodarstwie i dzieciach, pierwsze zajęcie umysłu pani Hany i główne źródło jej szczęścia, nabawiało Elega niepokojem i obawą. Zasłyszał on odzywające się z razu szemrania, iż *misnagdimem* był; dowiedział się, że publiczność oburzona jest srodze na żonę jego za to, iż ta nosi tkaniny mieszane z lnu i wełny, w sobotę w domu swym samowar nastawiać każe i głośno z tęp się odzywa: „Szybów jest nie na ziemi, ale pod ziemią“. Dowiedział się o tęp, struchlał, i połowicy swęj walki wytaczać zaczął: o tkaniny z lnu i wełny, o samowar w sobotę i o położenie nadziemne czy podziemne miasta Szybowa. Połowica

walczyła długo, ale dyplomatyczny mąż zwyciężył w końcu co do tkanin i samowarów. Co do położenia Szybowa, nie zwyciężył; bo pani Hana, gdyby nawet najmocniej postanowiła z należytym uszanowaniem zostawać względem miejsca pobytu swego, nie potrafiłaby tego dokazać. Jeśli nawet milczała, mówiły za to oczy wzgardliwie przymrużające się, usta dumnie uśmiechnione, strój zawsze wyszukany i maniera tak pełna wykwintnej grzeczności, iż grzeczniejszą nad nią trudno-by chyba znaleźć na świecie.

W gruncie rzeczy, pani Hana doskonale była szczęśliwą ze swym łagodnym, acz w niektórych razach stanowczym, mężem, z ładnymi i zawsze ustrojonymi dziećmi i z wiekuistym w duszy poczuciem wyższości własnej nad wszystko, co ją otaczało. I jedną tylko miała istotną zgryzotę, a była to myśl, że nigdy już nie będzie mogła zaimponować mieszkankom Szybowa własnymi włosami: raz dla tego, że na odchowanie ich było już zapóźno, następnie, że Eli na podobne publiczne zgorszenie i niebezpieczne narażenie się nie pozwoliłby nigdy. Nosiła więc bardzo piękną czarną perukę na strapionej swjej głowie i pocieszała się myślą, iż chwila powrotu z Wilna córki jej, Mery, ostateczny już i największy sprowadzi jej tryumf. Eli niepokoił się tem mocno, że z pojawieniem się w miasteczku Mery okaże się ojcem, nie takim, jak wszyscy szybowscy ojcowie; pani Hana zaś

nie posiada się z radości, iż okaże się matką inną, niż wszystkie szybowskie matki.

Stało się nakoniec. W miesiąc po rozmowie Elega z Saulem w bawialnym pokoju Witebskich znajdowało się pięć osób: trzy kobiety i dwóch mężczyzn.

A był to pokój bawialny nie lada! Przyozdabiała go kanapa sprężynowa, zielonym rypsem wybita (jedyny tego rodzaju egzemplarz w całym Szybowie), kilka podobnych kanapie krzeseł i fortepian. Był to wprawdzie fortepian nie pierwszej młodości; owszem, politura, w wielu miejscach starta, wąskość klawiatury i żółtość klawiszy zdradzały głęboką nawet jego starożytność. Zawsze jednak był to fortepian jedyny w całym Szybowie; przywieziony tu przed rokiem, w przewidywaniu powrotu Mery, i dla niej wyłącznie, wywołał w miasteczku małą rewolucyą, a serce pani napełniał wciąż wielką dumą. Nie brakło też w saloniku tym firanek u okien i kilku glinianych naczyń, w których rosły bardzo brzydkie, co prawda, i źle utrzymywane kaktusy i pelargonie. Zdarzyło się przecież raz, przed rokiem, że jeden z kaktusów, wypadkiem jakimś, rozkwitł. Pani Hana postawiła go na oknie od ulicy, a wszystkie dzieci z całego miasteczka zbiegały się pod dom jej i przypatrywały się godzinami całemi wielkiemu czerwonemu kwiatowi.

Owóz, na sprężynowej zielonej kanapie siedziała pani Hana i siostra jej, kupcowa z Wilna, w której domu mieszkała Mera, uczęszczając ztamtąd przez

trzy lata na pensyą, a która teraz osobiście odwiozła do rodziców siostrzenicę swą, przywożąc zarazem syna swego, Leopolda. Postać miała ona okazałą, tak jak i pani Hana, aksamitną mantylę, własne włosy na głowie i wiele złota wszędzie. Z dwóch stron stołu, przed kanapą stojącego, siedzieli: gospodarz domu i młody siostrzeniec pani Hany, Leopold; Mera, ładna dziewczyna, z płowemi włosy i białą twarzą, krążyła dokoła fortepianu, pragnąc widocznie uderzyć co prędzój w klawisze, aby odgłosem hucznej muzyki swój napęłnić całe miasteczko, ale nie śmiąc uczynić tego, bo był to dzień sobotni.

W dzień sabbatu na instrumencie żadnym grać wolno. Wiedziała o tém Mera, ale nie robiłaby sobie nic z tego, gdyby nie wzrok ojca, który wciąż zwracał się ku niej i strzegł ją tém od popełnienia grzechu. Tytuniu palić w dzień sabbatu nie wolno także. Jednak młody Leopold, ładny, wysmukły chłopak, lat dwudziestu, siedząc na fotelu w arcy-nie-dbałej postawie, palił papierosa, z którego, na domiar biedy, cienkie nici dymu przez otwarte okno ulatywały w świat. Eli wstał i okno zamknął. Na kształtnych ustach Leopolda ukazał się wzgardliwy uśmiešek, Mera nieznacznie ramionami wzruszyła, a pani Hana splonęła cała wstydem.

Na stole, na posrebrzanój tacy, stały różne częstunki: konfitury w miodzie smażone, pierniki z miodu i maku, słodkie wina i t. d. Pani Hana uprzej-

nie raczyła gości swych przysmakami temi, które uzupełniały obiad, złożony z ryby gotowanej wczoraj i wczoraj upieczonego kugla. Ale kupcowa z Wilna zajęta była czém inném wcale, niż zjadaniem przysmaków. Z wielkiem zajęciem i zachwyceniem przyglądała się ona pięknym złotym broszom, koleczykom i bransoletom, które błyszczały przed nią na tle aksamitem wybitych pudełek, a z których kilka przyozdobionych było nawet rubinami, perłami i brylantami.

Były to zaręczynowe podarunki, które Saul, w imieniu Meira, przysłał Merze, nazajutrz zaraz po jej przebyciu do Szybowa. Od dwóch dni patrzyły już na nie matka i ciotka narzeczonej, a napatrzeć się jeszcze nie mogły. Matka Leopolda czuła się jednak zmartwioną nieco tęp, że syn jej przywiózł przyrzeczonej sobie Lii podarunki nierównie skromniejsze niż te, które od Meira otrzymała Mera.

— Nu! szczęśliwa dziewczyna! — mówiła, kołyszając głową, — jej Pan Bóg prawdziwe szczęście dał! takie podarunki! tacy bogaci ludzie!... Co to! a dla czego on tu nie przychodzi? — zwróciła się z zapytaniem do siostry.

— Iii! — z pogardliwym giestem odrzekła pani Hana, — to prości ludzie! U nich taki zwyczaj, że narzeczeni nie bywają u swoich narzeczonych!

— On młody! — wtrącił Eli — wstydzi się!...

Mera usiadła w tej chwili przy stole i, oparłszy

głowę na ręce, smutnie jakoś zamyśliła się; Leopold, przeciwnie, zaśmiał się głośno.

— Już ja pewno nie pošlę zaręczynowych podarunków, — rzekł, — dopóki dziewczyny téj nie zobaczę.

— Nu! ty ją zobaczysz! — uspakajająco odrzekła matka, — my do nich z wizytą wszyscy pójdziemy!

— A co to za dziewczyna? — zapytała znowu siostry.

— Iii! — odparła jak pierwój pani Hana, — prosta dziewczyna!

— Ojciec jēj, Rafał, daje za nią piętnaście tysięcy rubli, — wtrącił Eli.

Leopold ściągnął brwi chmurnie.

— A co mnie z tego? — rzekł, czy ja mogę z piętnastu tysięcy utrzymać się?

— Handel zaczniesz! — zauważył kupiec.

Ale matka ładnego chłopca z gniewem nieledwie zwróciła się ku szwagrowi.

— Handel! — zawołała, — on nie do handlu wychowany! Czy my na to dawaliśmy jemu wielką edukacyą, żeby on handlował? On pięć klas skończył i urzędnikiem jest! Teraz on bierze małą pensyą, to prawda; ale co to można wiedzieć, co z człowiekiem stanie się! On może gubernatorem będzie! Co to można wiedzieć?

Leopold podniósł brwi w sposób oznaczający, iż czuł się w istocie stworzonym do przepowiadanych

mu przez matkę zaszczytów, i że przeciw ukazywanej mu perspektywie gubernatorstwa nic a nic nie ma.

Eli uśmiechnął się nieznacznie, ale nie zaprzeczał niczemu. „A co to szkodzi—myślał—że oni głupstwa gadają? niech sobie gadają!”

W téjże chwili ładniuchna Mera podniosła utrofioną główkę i do ciotecznego brata przemówiła:

— Cousin! comme c'est ennuyant ici!

— Oui, cousine! cette vilaine petite ville est une place très ennuyante! — odparł, wydymając usta, młody człowiek.

Siedzące na kanapie matki nic a nic nie zrozumiały, ale spojrzały wzajem na siebie, zarumieniły się z radości, a pani Hana, wyciągając przez stół pulchną swą rękę, pogłaskała nią włosy córki:

— *Fiszele!* — rzekła z nieopisanym uśmiechem błogości i miłości na ustach.

Na Elim francuzkie mówienie córki sprawiło także niejakié wrażenie. Twarz jego, stroskana nieco w dniu tym, stała się znowu pogodną jak zwykle. Wstał i zawołał wesoło:

— Nu! chodźmy! już czas!

Po kilku minutach całe towarzystwo zstępowało z ganku na ulicę. Eli miał znowu minę zafrasowaną. Nic na świecie heretyczniejszém być nie mogło nad ubranie młodego jego krewnego. Składało się ono z krótkiego, modnego tużurka, połyskującego obuwia i bardzo szeroko roztwartéj kamizelki, która ukazy-

wała całe piersi, okryte śnieżną białości koszulą. W dodatku, młodzieniec ten miał na głowie malutką, zgrabną czapkę, z urzędniczą srebrną gwiazdką i — przed wyjściem z domu zapalił znowu papierosa.

Elemu z trudnością przychodziło sprzeciwiać się komukolwiek w czémkolwiek, témbardziej więc gościowi swemu i ulubieńcowi dwóch wspaniałych kobiet, które swoją drogą szanował też wielce. Wyszedszy jednak na ganek i spostrzegłszy tłumy ludu, które w dzień sobotni jak mrówki wychodziły na słońce, nie mógł powstrzymać się od przestrogi.

— Słuchaj, Leopold! — rzekł zeicha i łagodnie, — rzuć ty tego papierosa! To głupi lud! na co jego przeciw sobie obracać!.. A może, — dodał natychmiast — i sam Pan Bóg zabronił palić w sabbat! co to można wiedzieć?

Leopold zaśmiał się głośno.

— Już ja nie boję się niczego! — rzekł, i zbiegłszy z ganku, podał ramię Merze.

Leopold tedy i Mera szli przodem, trzymając się pod ręce. Za nimi postępowały dwie wspaniałe matki w bombiastych sukniach, aksamitnych mantylach i kapeluszach z ogromnemi kwiatami. Eli zamykał orszak, idąc zwolna, z twarzą widocznie stroskaną i z rękoma w tył założonemi.

Jeżeli zwrócenie na siebie uwagi liczного tłumu poczytywanem być może za tryumf, pochod rodziny Witebskich przez plac miasteczka był tryumfalnym

pochoodem. W mgnieniu oka zbiegła się za nimi ogromna gromada dzieci różnej płci i wieku i — z ci chemi zrazu okrzykami, potem z wrzaskiem nieopi- sanym, biedz za nimi zaczęła. Wkrótce do dzieci przyłączyli się podrastający, a nawet całkiem dorośli ludzie; dostojniejsze rodziny wysypały się na ganki domostw otaczających rynek; we wrotach szkolnego dziedzińca stał melamed, w zwykłym, pierwotnym ubraniu swém, i jakby nie chcąc wierzyć własnym, szeroko roztwartym, oczom, patrzył na sunące ryn- kiem dziwowisko.

Największą uwagę publiczności zwracała na sie- bie młoda para, idąca przodem: Leopold, w swym eleganckiem tużurku i z papierosem w ustach, i Mera, w nazbyt bombiastej, barwniej sukni, zwieszona na ramieniu kuzyna i krygująca się trochę, aby tém le- piej okazać swe wielkoświatowe maniery.

Eli szedł jak po żarzących się węglach; pani Hana stąpała jak po wawrzynach. Kupcowa z Wilna roz- glądała się po ciemnym tłumie z przymrużonemi oczy- ma i podniesioną głową.

— *Zi! Zi! a szejne puryc! a szejne panienkies!* — krzyczały dzieci, biegnąc, skacząc, palce wyciągając i chmury pyłu nogami podnosząc.

— Kto oni są? czy to Izraelici? — zapytywali dorośli i palcami wskazywali na krótkie ubranie i pa- pieros Leopolda.

— *Misnagdim!* — nagle ktoś krzyknął w tłumie

i mały kamyczek, niewiedzieć przez kogo rzucony, przeleciał obok głowy Leopolda. Młody człowiek zbladł i odrzucił papierosa, przedmiot ogólnego zgorzsenia. Eli zmarszczył czoło. Ale pani Hana wyżej jeszcze podnosiła głowę i dość głośno rzekła do siostry:

— Nu trzeba im przebaczyć! to taki ciemny lud!

Leopold przecież nie przebaczył ciśnionego nań kamyczka; widać to było po zaięknionych oczach jego a zaciśniętych ustach, z jakimi wszedł do bawialnej izby Ezofowiczów.

Tam, na honorowem miejscu, więc na kanapie z żółtą poręczą, siedział stary Saul, w otoczeniu synów swoich, synowych i kilkorga starszych wnuków. Przy jednem z okien, w wygodnym fotelu, spoczywała, ubrylantowana jak zwykle i jak zwykle drzemiąca, prababka, przy drugim stał Meir.

Kiedy rodzina Witebskich weszła do obszernej bawialnej izby, Meir przelotnie tylko spojrział na Merę, jakby osoba jej nie obchodziła go wcale, a za to ciekawy, bystry, gorący wzrok utkwiał w Leopolda. Zdawałoby się, iż pragnął co najprędzej zbliżyć się ku człowiekowi temu, przybywającemu z szerokich światów, i przeniknąć go nawskróś.

Przez czas jakiś trwały gwarne powitania i wstępne rozmowy. Saul nie opuścił honorowego miejsca swego na kanapie. Córka jego, Sara, żona Bera, robiła honory domu, częstując gości przysmakami i po-

dziwiałąc głośno piękność kapeluszy i sukni przybyłych pań.

Mera usiadła z gracyą na brzeżku prostego stołka i, bawiona przez nieśmiałą, zawstydzoną, a razem rozradowaną Lię, rzucała z ukosa wejrzenia na stojącego u okna młodzieńca, o którym domyśliła się, że był jęj narzeczoną. Ani razu przecież nie spotkała się z jego wzrokiem. Meir zdawał się nie wiedzieć wcale o jęj istnieniu; patrzył wciąż na Leopolda.

Pani Hana, opowiadając z ożywieniem wielkiem i dumą nie mniejszą otaczającym ją kobietom o pięknej fontannie, którą widziała kędyś na wielkim świecie i o muzyce grającej co niedziela w publicznym ogrodzie Wileńskim, rozglądała się po bawialnej izbie Ezofowiczów. Naprawdę, izba ta, obszerna i schludna, ze swym długim stołem rodzinnym po środku, z prostemi drewnianemi stołkami i figurującą wśród nich odwieczną żółtą kanapą, posiadała charakter zamożności, oszczędnej a porządną, i była niezrównanie piękniejszą od pstrego saloniku pani Hany. Znajdowały się w niej też dwie szafy: jedna — oszklona i pełna starych ksiąg, które, według tradycyi rodzinnej, należały niegdyś do Michała Seniora; druga — napełniona naczyniami stołowemi, a u szczytu której stał, połyskujący jak złoto, ogromny samowar. Kiedy wzrok pani Hany padł na ostatni ten przedmiot, — spłonęła rumieńcem zawstyżenia. Samowar w bawialnym pokoju rodziny jęj przyszłego zięcia!

Było to wręcz sprzeczne ze wszystkimi przepisami cywilizacyi, o których wiedziała. Wnet potem jednak, z wysoce z nieprzystojnego przedmiotu tego wzrok jęj przesunął się na drżemiącą w fotelu prababkę. W tej chwili promień zachodzącego słońca padał na nieruchomą postać tę i roziskrzył klejnoty, któremi była okrytą. Jak gwiazda płomienna, jaśniało nad pomarszczonem czołem jęj spięcie barwistego zawoju; kolce u uszu rzucały tysiące iskier, a perły, okrywające pierś, przybrały blado-różową barwę.

Pani Hana lekko trąciła siostrę ramieniem.

— *Zi!* — szepnęła, wskazując jęj głową prababkę, — jakie brylanty!

Kupcowa z Wilna aż przymrużyła oczy z zachwytu.

— *Aj! aj!* — zawołała, — toż-to skarby! A na co takięj staręj kobiecie takie bogate rzeczy na sobie nosić? co jęj z tego?

Usłyszał wykrzyk ten stary Saul i z grzeczną powagą, pochylając się ku gościom, wyrzekł:

— Ona sobie na to zasłużyła, żeby u nas takie poważanie mieć i żebyśmy ją wszystkimi drogościami okrywali, jakie cała nasza familia posiada. Ona była koroną swego męża i my wszyscy, jak gałęzie od drzewa, od nięj początek bierzemy!

Przymrużył nieco oczy, zakolysał głowę i mówił dalej:

— Ona bardzo stara jest teraz, ale kiedyś była

młodą i bardzo piękną. A gdzie piękność jęj podziała się? Starły ją te lata, te miesiące i te dni, co przeleciały nad nią, jak te ptaki, które, jeden za drugim lecąc, obrywają z krzaczka po jagodzie, aż wszystkie oberwą. Ona teraz ma wiele zmarszczek na swojej twarzy; to prawda! Ale z kąd wzięły się te zmarszczki? Ja to wiem, bo, kiedy na nie patrzę, to w każdej z nich widzę jakiś obraz. Kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona na powiekach i przy oczach swoich ma, przypominam sobie, jak byłem mały i chorowałem bardzo, a ona nad kołyską moją siedziała, śpiewała mi do snu, a z jęj oczu lały się łzy. A kiedy ja patrzę na te zmarszczki, co ona ich tak wiele na policzkach swoich ma, mnie przypominają się wszystkie kłopoty i zgryzoty, które ona przenosiła, gdy wdową została, drugi raz za mąż iść nie chciała, a handel sama prowadziła i powiększała majątek swoich dzieci. A kiedy patrzę na tę zmarszczkę, co ona ją pośrodku czoła swego nosi, mnie zdaje się, że ja widzę ten moment, gdy dusza ojca mego, Hersza, rozwiódła się z ciałem, i gdy moja matka padła na ziemię jak nieżywa i długo tak leżała, nie płacząc, nie krzycząc, nie jęcząc, tylko wzdychając cicho: „Hersz! Hersz! mój Hersz!” Był to największy smutek, co spotkał ją w jęj życiu, i od tego powstała pośrodku jęj czoła największa zmarszczka...

Tak prawil stary Saul, ze wskazującym palcem, wzniesionym w górę, i z zamyślonym uśmiechem na

żółtych wargach. Słuchając go, kobiety wstrząsały głowami wół smutnie, wół przytwardzając i, spoglądając na siebie, mówiły zcicha:

— *Herst! herst!*

Pani Hana zaś była tak rozrzewnioną i zachwyconą, że aż łzy ukazały się na jej rżęsach. Otarła je batystową chustką, którą trzymała wciąż w ręce, a potem rękę tę wyciągnęła ku Saulowi:

— *Danke! danke!* — mówiła z uśmiejchem wdzięczności na ustach.

— *Danke!* — powtórzyła za nią większość obecnych, a kupcowa z Wilna, Witebski i parę innych, obcych rodzinie osób, rzekli pół-głosem:

— *A kluger mensz! erlycher mensz!...* (mądry człowiek! zacny człowiek!)

Miłość i cześć synowska okazana przez Saula, a także obrazowe opowiadanie jego o macierzyńskich zmarszczkach, mile wzuszyły wszystkie serca i wyobraźnię.

Młody tylko Leopold, który dotąd, albo siedział i chmurny, albo półgłosem z Merą po francuzku rozmawiał, powstał z miejsca swego i zbliżył się ku oknu, przy którym stał Meir. Wkoło kanapy rozpoczęła się znowu ożywiona rozmowa, zagajona wyrażonem przez panią Hanę ubolewaniem, że była to sobota i że fortepianu tu nie było, że zatem córka jój nie może zagrać takich pięknych melodyj, iż od nich roztapia się jój serce, a przed oczyma staje ogród bo-

taniczny wileński, grająca w nim orkiestra i rozmaite inne rzeczy, należące do utraconego przez nią rajy cywilizacyi.

Dwaj młodzi ludzie pozostali w odosobnieniu zupełném; rozmowy ich usłyszeć nikt nie mógł. Zdało się, że Leopold nie miał zrazu zamiaru przemówienia do Meira. Oddalił się on był od towarzystwa w innym wcale celu, który zdradzała wydobyta z kieszeni srebrna cygarnica. Ale Meir, gdy tylko zobaczył go zmierzającego ku sobie, postąpił parę kroków naprzód. Twarz jego zajaśniała radością.

— Jestem Meir, wnuk Saula, — rzekł, podając gościowi rękę — chcę bardzo ciebie poznać, ażeby wiele rzeczy tobie powiedzieć i wiele od ciebie posłyszeć...

Leopold uklonił się wykwintnie, lecz ceremonialnie, i zaledwie dotknął otwartęj, ciepłej dłoni rówieśnika. Smutek mignął w rozjaśnionych radością oczach Meira.

— Ty nie bardzo chcesz mnie poznać, — rzekł, — i ja temu nie dziwię się. Ty jesteś edukowanym, nauki wszystkie posiadasz, a ja prosty Żyd, który Biblią i Talmud zna dobrze, ale więcej nic. Jednak ty mię posłuchaj! Ja wiele różnych myśli w mojej głowie noszę, ale tylko one jeszcze w nieporządku są. Może ty mi powiesz co takiego, co mię mądrym zrobi?

Leopold słuchał mowy téj, drżącój naprzód łagodną pokorą, a potém zapalęm młodzieńczym, z ciekawością, w której był téż odcień szyderstwa.

— I owszem! — rzekł — jeżeli pan chce dowiedzieć się czego ode mnie, to ja panu powiem. Cemu nie? ja wiele mogę powiedzieć!

— Leopold! ty nie nazywaj mię panem. Mnie to przykro, bo ja ciebie bardzo kocham...

Leopolda zdziwiło widocznie naiwne to oświadczenie.

— Mnie to bardzo miło! — wymówił, — ale my pierwszy raz widzimy się z sobą!

— To nie! — zawołał Meir, — ale ja dawno już chciałem zobaczyć takiego Izraelitę, jak ty jesteś... i powiedzieć jemu, jak Rabbi Eliezer powiedział jerozolimskiemu mędrcewi: — „Niech ja będę twoim uczniem, a ty bądź moim nauczycielem!“

Tym razem zdziwienie wyraźnie już bardzo odmalowało się na twarzy młodego światowca i wyraźniejszym stał się towarzyszący mu odcień szyderstwa. Widać było, że nie a nie nie zrozumiał mowy młodzieńca i uważał go jakby za wpółdzikiego człowieka.

Meir w zapale swym nie spostrzegał wywieranego przez się wrażenia.

— Leopold! — zaczął — wiele ty lat uczyłeś się w obcej szkole?

— W jakiej obcej szkole? — zapytał Leopold.

— Nu, w tój szkole, w którój różnych nieżydowskich nauk ludzie uczą się?

Leopold zrozumiał. Przymrużył oczy, wydał usta i odpowiedział:

— No! ja do gimnazjum przez pięć lat chodził.

— Pięć lat! — zawołał Meir. — To ty bardzo uczonym jesteś, kiedy tak długo do tój szkoły chodziłeś!

— No! — z pobłażliwym uśmiechem odparł gość, — są na świecie ludzie uczeńsi jeszcze ode mnie!

Meir przybliżał się coraz bardziej do towarzysza i oczy jego coraz żywiej błyszczały.

— A czego tam uczą w tój szkole? — zapytał.

— Różnych rzeczy!

— A jakie to są te różne rzeczy?

Leopold, z ironicznym nieco uśmiechem na ustach, z wolna recytować zaczął nazwy wszystkich nauk, udzielanych w szkołach.

Przerwał mu żywo Meir:

— I ty wszystkie te nauki znasz?

— A jakże! — odpowiedział gość.

— A co ty teraz z tē m robisz?

Pytanie to, wymówione z ciekawością nadzwyczajną, wprowiło w osłupienie ładnego chłopca.

— Jakto, co robię? — zapytał.

— Nu, ja chcę wiedzieć: jakimi myślami nauki te napełniły twoję głowę i co ty z myślami swemi na świecie robisz?

— No! jakto, co ja robię? Ja urzędnikiem jestem, w kancelaryi samego gubernatora ważne bardzo papiery przepisuję.

Meir pomyślał chwilę.

— To nic, że ty w kancelaryi papiery przepisujesz; ja nie o tём chciałem wiedzieć. To ty dla zarobku robisz. Każdy człowiek zarabiać musi. Ale ja chciałem wiedzieć: co ty sobie myślisz, kiedy czasem sam jeden zostaniesz, i co tobie te myśli twoje robić na świecie każą?

Leopold otwierał szeroko oczy.

— No! — zawołał zniecierpliwiony, — o czём ja mam myśleć? Jak powrócę z biura, to siedzę sobie w domu, papierosa palę i myślę, że jak ożenię się i posag wezmę, a ojciec mi odda to, co mi od niego należy się, kamienicę sobie kupię, na dole w kamienicy piękne sklepy urządzę, pierwsze piętro bogatym jakim ludziom warendę puszczyć, a sam na drugiem mieszkać będę. Teraz nawet sprzedają tam jedną kamienicę bardzo piękną i ja-byłem ją chciał sobie kupić. Ona ze dwa tysiące rubli na rok dochodu da i oficyny jeszcze są przy niej dobre...

Tym razem przyszła na Meira kolej dziwienia się.

— I ty, Leopold, o niczём więcej nie myślisz, tylko o tój kamienicy? — zapytał.

— No, a o czём ja mam myśleć! U mnie, dziękować Bogu, kłopotów żadnych na głowie niema.

Mieszkanie i stół u rodziców mam, a na ubranie wystarcza mi ta pensya, co ją w kancelaryi biore.

Meir utkwiał wzrok w ziemi. Na czole jego zarysowała się zmarszczka, jak zwykle u niego bywało, gdy uczuwał się czémś przykro dotkniętym.

— Słuchaj, Leopold — rzekł po chwili głębokiego namysłu — czy tam u was, w wielkiem mieście, niema wcale biednych i ciemnych Żydów?

Leopold zaśmiał się.

— A gdzie ich niema? Jest ich i tam bardzo dużo!

— A co ty sobie myślisz, kiedy na nich patrzysz?

— gwałtownie zapytał Meir.

— Co ja mam myśleć? Myślę, że oni są bardzo głupi — i brudni!

— I ty, patrząc na nich, o niczem więcej nie myślisz? — powtórzył Meir, ale szeptem już prawie.

Leopold otworzył cygarnicę i wydobywać z niej zaczął papierosa. Meir, w zamyśleniu swém, nie zwrócił na to uwagi.

— Leopold! — zaczął po chwili z rozbudzoną na nowo energią, — ty téj kamienicy w wielkiem mieście nie kupuj!

— A dla czego ja kupować jój nie mam?

— Ja tobie powiem dla czego. Tobie siostrę moją stryjeczną przyrzekli... To dobra i rozumna dziewczyna. Ona edukacyi żadnej nie ma, ale chciała za-

wsze ją mieć i bardzo ucieszyła się, gdy jęj powie-
dzieli, że ona edukowanego męża będzie miała. Ty
z nią ożenisz się, a jak ożenisz się, to poproś wiel-
kich urzędników, żeby tobie w Szybowie pozwolili
szkołę dla Żydów urządzić, taką szkołę, w którejby
nietylko Tory i Talmudu, ale i innych *cudzych* nauk
uczyli... Ty sam nad tą szkołą cały zarząd będziesz
trzymał, a mnie nauczysz, jak ja tobie pomagać mam...

Leopold śmiał się, ale Meir, cały rozpromieniony
radością, jaką sprawiał mu pomysł własny, nie spo-
strzegał tego. Pochylił się bardziej jeszcze ku towa-
rzyszowi i na ucho prawie mu szeptał:

— Ja tobie powiem, Leopold! U nas w Szybowie
wielka ciemnota panuje i jest wielu bardzo biednych
ludzi, co w wielkiej nędzy żyją. Ale są tutaj i tacy
ludzie — wszyscy młodzi — którym bardzo smutno,
że oni innego świata i innych nauk nie znają. Oni
bardzo chcieliby je poznać, ale niema nikogo, ktoby
pomógł duszom ich z ciemnicy powychodzić. I jest tu
jeden wielki rabbin, Izaak Todros, bardzo srogi, któ-
rego wszyscy lękają się; i są kahalni urzędnicy, któ-
rzy biedny naród bardzo uciskają... Żebyś ty tu przy-
jechał i innych edukowanych ludzi ze sobą przywiózł
i razem z nimi dopomógł nam wszystkim wyjść z cie-
mnoty, biedy i smutku!

Mówił to wszystko z nadzwyczajnym zapalem,
z tryumfującym czołem i gorącą prośbą w głosie.
Lecz nie dorównać-by nie mogło zdziwieniu i zarazem

szyderstwu, z jakim mowy jego słuchał młody Leopold. Wydobywał on teraz ze srebrnego pudełeczka zapalną i twarz pochylał nieco, aby nie ukazać wstrząsających nią uśmiechów.

— Nu,—rzekł Meir—co ty sobie myślisz o tém, co ja powiedziałem? czy to dobry projekt?

Leopold dotknął ściany końcem zapalniczki i odpowiedział:

— Ja myślę sobie, że jak ja o twoim projekcie powiem mojej rodzinie i moim kolegom w biurze, to oni z niego bardzo śmiać się będą...

Iskrzące się przedtém oczy Meira zgasły nagle.

— Z czego tu śmiać się? — szepnął.

W téjże chwili Leopold zapalił trzymanego w ręku papierosa. Błękitny, wonny dymek rozszedł się po izbie i zaleciał ku miejscu, w którym liczne towarzystwo obsiadło było stół przed żółtą kanapą. Rafał podniósł głowę ze zdziwieniem i obejrzał się. Spojrzał też w stronę okna stary Saul i podniósł się nieco z kanapy.

— Bardzo przepraszam, — rzekł grzecznie, ale stanowczo — ja nie pozwalam, żeby w moim domu ludzie robili to, na co nie pozwala święty nasz Zakon!

Rzekłszy to, usiadł spokojnie, patrząc jednak na Leopolda z pod siwych brwi, które zjeżyły się nieco.

Leopold poczerwieniał czerwonością szkarłatu, rzucił papierosa na ziemię i z tłumionym gniewem zgasił go nogą.

— No! ot, jaka tu u was grzeczność! — rzekł do Meira.

— A na co ty, Leopold, w sabbat papierosy palisz?

— A ty nie palisz? — z ironią i niedowierzaniem patrząc w oczy towarzyszowi, zapytał gość.

— Nie palę — stanowczo odparł Meir.

— To ty chcesz dusze ludzkie z ciemnicy wyprowadzać, a wierzysz, że nie palić tytoniu w sabbat to święty Zakon?

— Nie, ja w to dawno przestałem wierzyć! — równie stanowczo jak pierwój odparł Meir.

— To ty chcesz buntować ludzi przeciw wielkiemu rabbinowi i kahalnym, a sam ustępujesz?

Oczy Meira zaświeciły znowu, ale tym razem gniewnie jakoś i szydersko.

— Żeby szło o to — zaczął — aby jaką duszę ludzką od ciemnoty, albo jakie ciało ludzkie od nędzy wybawić, ja-bym nie ustępował, bo to ważne rzeczy są; ale kiedy idzie o to, aby ustom moim przyjemność zrobić — ja ustępuję, bo to głupstwo jest: a choć ja nie wierzę, aby Zakon ten świętym był i od samego Pana Boga pochodził, ale starsi w to wierzą; a mnie się zdaje, że kto starszym sprzeciwia się dla głupstwa, ten wielką niegrzeczność robi!

Leopold, wysłuchawszy przemówienia tego, odwrócił się od Meira i poszedł ku siedzącej wciąż na brzegu krzesła Merze. Meir wiódł jeszcze za nim

przez chwilę wzrokiem, w którym malowały się uczucia zawodu i gniewu, potem odszedł od okna i szybko izbę opuścił.

Nagle to oddalenie się młodego człowieka wywarło silne wrażenie na kobiecej części towarzystwa. Mężczyźni zaledwie zwrócili na niego uwagę: tak im się to naturalnem, a po części i chwalebnem wydawało, że narzeczony, przez skromność i zawstydzenie, unikał widoku wybranej dla siebie przez starszych oblubienicy. Ale kupcowa z Wilna i pani Hana zasępiły się widocznie, a Mera pociągnęła matkę za suknię i szepnęła:

— *Maman!* idźmy już do domu!

Meir tymczasem szybko zmierzał ku mieszkaniu przyjaciela swego, Eliezera, lecz zajrzał tylko przez otwarte okno nizkiej budowy i poszedł dalej, bo izdebka kantora była pustą. Wiedział snadź gdzie szukać towarzyszy swych. Zdązał prosto ku znajdującą się za miasteczkiem łące.

Jak przed kilku tygodniami, łąka ta, prawdziwa tu oaza ciszy i świeżości, kąpała się cała w różowych blaskach zachodu. Porastające ją bujne trawy nie posiadały wprawdzie wiosennej, szmaragdowej barwy, bo zwarzyły je nieco letnie upały; lecz w zamian rozkwitały pośród nich puszyste kępy, albo wysmukłe kielichy dzikich kwiatów, napęlniających powietrze mocną wonią.

U stóp gaju, pod gęsto rosnącemi brzozaami, sie-

działa i wpół leżała na trawie gromadka ludzi, złożona z dorosłych już, lecz bardzo młodych mężczyzn. Jedni z nich, pochyleni ku sobie, rozmawiali półgłosem; inni machinalnie rwali wzrastające dokoła nich rośliny i układali z nich barwiste wieżę; inni jeszcze, z twarzami zwróconemi ku błękitnym obłokom, po których mknęły złotawe chmury, nucili zeicha.

Opodał nieco, przy sadzawce, której brzegi zwieńczone były teraz gęstemi kępami niezapominajek, a powierzchnię pokrywały długie liście i szerokie kwiaty wodnych roślin, siedziała w nieruchomej postawie wysmukła dziewczyna, z ciemną, chudą twarzą, z ogromnemi czarnemi oczyma i koralowym naszyjnikiem, opadającym na grubą koszulę. Obok niej, wśród kalinowych krzaków, obciążonych grokami ponsowych jagód, pasła się biała koza, skubiąc tu i ówdzie trawę i liście.

Meir szybko zdążał ku gromadce młodych ludzi, czerniącej u stóp gaju. Widać było, że oni także oczekiwali przybycia jego z niejaką niecierpliwością, bo ci z nich, którzy leżeli na trawie, spostrzegłszy go, podnieśli się i usiedli z wlepionemi w twarz jego oczyma.

Wszedł pomiędzy towarzyszy swych, nie witając ich ani jednym słowem, nie patrząc na nich, i usiadł na obalonym przez burzę grubym pniu brzoźowym. Smutnym wydawał się, ale bardziej jeszcze gniewnym. Młodzi ludzie milczeli i patrzali na niego

z niejakiem zdziwieniem. Eliezer, który leżał na trawie, z ramieniem wspartem o kłodę, na której usiadł Meir, pierwszy zapytał:

— Nu, a co? widziałeś jego?

— Widziałeś jego? — powtórzyło teraz chórem kilka głosów. — Jaki on jest? czy on bardzo uczony i rozumny?

Meir podniósł twarz i z uniesieniem zawołał:

— On uczony jest, ale bardzo głupi!

Wykrzyk ten obudził pośród młodych ludzi najwyższe zdziwienie. Po dość długiem milczeniu Aryel, syn wspaniałego Morejne Kalmana, wymówił z namysłem:

— A jak to może być, żeby człowiek uczonym był i razem głupim?

— A zkąd ja mogę wiedzieć, jakim sposobem to może być? — odpowiedział Meir i oczy jego rozszerzyły się szeroko, jakby spoglądał w niezgłębioną straszną jakąś przepaść.

Wnet potem zawiązała się rozmowa, złożona z nadzwyczajnie szybko następujących po sobie pytań i odpowiedzi.

— Co on tobie mówił?

— On mnie same tylko głupie i złe rzeczy mówił.

— Dla czego ty nie pytałeś się o rzeczy rozumne?

— Ja pytałem się, ale on nie rozumiał nawet czego ja od niego chcę.

— A czy on tobie nie powiedział: o czém on myśli?

— On powiedział, że myśli o tém, żeby kupić sobie piękną kamienicę, która jemu dwa tysiące rubli dochodu dawać będzie.

— O kamienicy on może sobie myśleć; ale o czém on więcej myśli?

— On powiedział, że o niczém więcej nie myśli!

— A co on tam na świecie robi?

— On w kancelaryi papiery przepisuje, a jak powróci z kancelaryi, papierosy pali i o kamienicy myśli.

— A co on o tych Żydach myśli, którzy edukacyi takięj, jak on, nie odebrali i w wielkięj ciemności, albo w wielkięj nędzy żyją?

— On o nich myśli, że to głupi i brudny naród jest!

— A co on tobie mówił, jak ty jemu powiedziałeś o nas wszystkich, którzy chcemy dusze nasze z ciemnicy wybawić, a nie możemy?

-- On mówił, że jak o tém swojéj familii, swoim kolegom opowie, to oni będą bardzo śmiać się!

— A z czego tu śmiać się? — zapytali chórem młodzi ludzie.

Potém nastąpiło długie milczenie, aż ze wszystkich razem piersi wybuchnął nagły i namiętny wykrzyk:

— *A szlechter mensz!* (Zły człowiek!)

Po chwili stryjeczny brat Meira, Chaim, syn Abrama, wymówił:

— Meir! to ta edukacya i nauka, któręj my bardzo chcemy, złą chyba jest, kiedy ona ludzi złymi i głupimi robi?

A dwaj czy trzěj inni młodzieńcy jednocześnie zawołali:

— Meir! wytłómacz ty nam to!

Meir spojrział po twarzach towarzyszy mętnym wzrokiem i, opuszczając bladą twarz na obie dłonie, odpowiedział:

— Ja już nie nie wiem!

W krótkiej odpowiedzi těj ozwało się głębokie, stłumione łkanie. Ale w těj chwili podniosła się w górę biała ręka kantora i odciągnęła od zmartwionej twarzy przyjaciela, zakrywające ją, dłonie jego.

— Niech serca wasze w wielki smutek nie zapadają, — wymówił Eliezer — ja zaraz poproszę mistrza naszego, ażeby on na to pytanie wasze odpowiedział.

Mówiąc to, podniósł z ziemi wielką księgę, starannie w zaroślach gaju ukrytą, i z tryumfującym uśmiechem na łagodnych ustach ukazał towarzyszom pierwszą jej kartę. Na karcie těj wielkimi literami wydrukowane było imię i nazwisko Mojżesza Majmonidesa.

Młodzi ludzie, przedstawiający teraz ściśle zbliżoną ku sobie gromadkę, wyprostowali postawy swe, a na twarzach ich rozlał się wyraz uroczystej uwagi.

Mędrzec izraelski przemówić do nich miał ustami ukochanego ich piewcy. Mistrz to był stary, zapomniany przez jednych, przez innych wyklęty, lecz dla nich święty i drogi, bo dotąd jedyny. Odkąd duch mistrza tego, w postaci kilku ksiąg grubych, przywiezionych tu przez wracającego z dalekich światów Eliezera, wionął nad ich głowami, uczuli oni nieznanym im dawniej wir myśli i bunt uczuć, — smucić się, tęsknić i pragnąć zaczęli. A jednak za smutek i tęsknotę wdzięczni mu byli, a w strapieniach i wątpliwościach swych biegli ku niemu. Niestety! nie na wszystkie zapytania i skargi ich miał on odpowiedź i pociechę! Wieki upłynęły, czasy zmieniły się, długi łańcuch nowych i coraz nowe prawdy niosących geniuszów nad światem przeciągnął... Ale oni o żadnych innych geniuszach, prócz tego jednego, nie wiedzieli nic; a teraz, gdy otworzono przed nimi wielką księgę, gotowali się, z radością i uroczystym nastrojem, do przyjęcia w piersi swe oddechu starzej jego mądrości.

Eliezer jednak nie zaraz czytać zaczął. Przewracał karty książki, szukając ustępu stosownego do okoliczności.

Tymczasem dziewczyna, siedząca dotąd u brzegu sadzawki, powstała z pośród niezapominajek i kalin i brzegiem gaju zwolna i cicho przesuwiała się ku gromadce młodych ludzi. Zdawało już widzieć można było jak czarne ogromne jej oczy tkwiły nieruchomo

w twarzy Meira. Biała koza szła tuż za nią. Zniknęły obie na chwilę w zaroślach gaju, poczem wśród uplotów gałęzi brzozowych zjawiała się i o parę kroków za Meirem stanęła Gołda. Przyszła tak cicho, że nikt jej nie spostrzegł; ramieniem otoczyła cienki pień brzozy i, głowę opierając na kołyszącej się lekko gałęzi, wzrokiem objęła pochyloną nieco głowę Meira. Innych tam obecnych ludzi zdawała się nie widzieć.

W téjże chwili, dźwięcznym, czystym jak kryształ głosem Eliezer zawołał:

— Słuchaj, Izraelu!

Słowami temi zaczyna się wiele świętych psalmów i każde pobożne czytanie Izraelitów. Dla młodzieńców, otaczających Eliezera, słuchanie słów starego mistrza psalmem czci i głęboką modlitwą ducha być miało.

Eliezer śpiewnym i kołyszącym się nieco głosem czytać zaczął:

„Uczniowie moi! zapytujecie mię, jaka siła pociąga w górę świetliste istoty niebieskie, które zowiemy gwiazdami, i dla czego jedne z nich podnoszą się tak wysoko, że giną w mlecznych mgłach, a drugie ciężko płyną pod niebo i zostają daleko za siostrami sweni?

„Odkryję przed wami tajemnicę, której ciekawi jesteście.

„Siłą pociągającą w górę świetliste ciała niebieskie jest Doskonałość, która mieszka na wysokościach najwyższych, a która w języku ludzkim ma imię Bóg.

Gwiazdy, zjęte dla Doskonałości miłością i tęsknotą, podnoszą się wciąż w górę, aby dostąpić większej jej bliskości, a z Mądrości jej i Dobroci coś dla siebie wziąć. Płyną one po przestrzeni przez wieki wieków, i te z nich, które najbardziej rozkochane są w Doskonałości, zapłynęły już wyżej, a te, co z cięższej materii złożone, słabiej też pragną przyjąć w siebie cząstkę boskiej światłości, zostały daleko za siostrami swemi...

„Uczniowie moi! od tych istot świetlistych, które najmocniej tęsknią i pragną i najbliżej Doskonałości są, pochodzą wszystkie zmiany, które stają się na podksiężycowym świecie... One-to sprawiają przecho-dzenie i powstawanie, z nich rodzą się kształty i obrazy rzeczy...”

Umilkł Eliezer i podniósł twarz z nad książki. Turkusowe oczy jego promieniały radością.

Młodzi ludzie jednak milczeli i myśleli długo, usiłując dopatrzeć w przeczytanym im ustępie mędrca rozstrzygnięcie dręczących ich wątpliwości. Meir pierwszy zawołał:

— Eliezer! ja zrozumiałem!

— Wytlómacz nam! — zawołali chórem młodzieńcy. Meir z rozwagą odpowiedział:

— Są ludzie, co jak świetliste istoty niebieskie, o których pisze mędrzec, podnoszą dusze swoje w górę z tęsknoty za Doskonałością. Oni wiedzą o tém, że Doskonałość jest, i pragną z Mądrości i Dobroci jej wziąć coś w siebie. Ale są i tacy ludzie, co, jak te

gwiazdy, z cięższej materji złożone, o których pisze mędrzec, nie kochają Doskonałości i nie pną się pod górę z tęsknoty za nią. Tacy ludzie trzymają duchy swoje bardzo nisko...

Zrozumieli teraz wszyscy. Radość promieniała na wszystkich twarzach. Tak drobnęj okruszyny wiedzy i prawdy trzeba było, aby rozradować duchy te ubogie, a przecież tak bogate!

Meir pochwycił z rąk przyjaciela dobrze snadź znaną sobie książkę i na innęj karcie jej przeczytał jeszcze:

— „Aniołowie sami równymi sobie nie są. Stoją oni jeden nad drugim, jak na szczeblach drabiny, a najwyższym z nich jest Duch, wydający z siebie myśl i poznanie. Ten Duch jest ożywiającym Rozumem a Hagada nazywa go Książęciem Świata! (*Sarha-Olam.*)“

— Najwyższym Aniołem jest Duch, wydający z siebie myśl i poznanie, a Hagada nazywa go „Książęciem świata“, — powtórzył za Meirem chór głosów młodzieńczych.

Wątpliwości ich rozproszonemi zostały. *Poznanie* odzyskało znowu cześć w ich umysłach, obudziło tęsknotę w sercach, a przed oczyma przesunęło się w postaci Anioła nad Aniołami, leżącego nad światem w purpurze książęcej, ze świetlistą obłoną wyłonionych przez się myśli.

Zaduma legła na czołach i w oczach młodzieńców.

Zadumą cichego wieczora oblekała się w kolo nich kwiecista łąka i leżąca za nią żółta równina. Przed nimi stały nad dalekim lasem szkarłatne chmury, za które skryła się tarcza słoneczna; za nimi gaj zielony drzemał nieruchomo i w mroczny cień zapadał.

Po łące i dalekich polach popłynął srebrzysty, przeciągły głos Eliezera.

— „We śnie ujrzałem ducha ludu mego!” — śpiewać zaczął biały piewca Jehowy.

A pieśń to była niewiedzieć zkad, niewiedzieć jak powstała. Kto utworzył ją? nikt powiedzieć-by nie potrafił. Wiersz jej pierwszy podał podobno przyjaciołom swym Eliezer, po jednym ze snów swych tajemniczych i ekstatycznych, które nawiedzały go często; drugi dorobił Aryel, syn Kalmana, wtedy, gdy w cienistym gaju samotnie grał na skrzypcach. Były w niej i takie, które wybuchnęły z piersi Meira, i inne, które nieśmiało wyszeptał, dziecięcemi prawie usty, Chaim, syn Abrama.

Tak powstają wszystkie pieśni ludowe. Rodowodem ich — serca tęskniące, myśli uciśnione, instynktowe rwanie się ku lepszemu życiu.

Tak powstała i w Szybowie pieśń, którą teraz śpiewać zaczął kantor:

— „We śnie ujrzałem ducha ludu mego!
„Czy miał on na ramionach purpurową szatę?
„Czy po świecie nosiły go wozy bogate?...

Tu z głosem piewcy połączyły się głosy inne, a po łąkach i polu rozległ się potężny chór odpowiedzi:

— „W prochu dróg kamienistych były stopy jego!
I prochem siwa głowa była osypana!
I łachmany słoniły mu chude kolana,
Które drżały!

W tém miejscu, w chór śpiewających głosów młodzieńczych wmieszał się szept, wychodzący z brzo-
zowych zarośli.

— Szaa! tu są ludzie, co was słuchają!

W istocie na drodze gaj przerynącej czerniało w zmroku kilka postaci męskich, bardzo powoli postępujących ku łące. Ale śpiewacy nie słyszeli ani przestrogi Gołdy, ani szmeru nadchodzących kroków.

Druga strofa rozbrzmiała po łące:

— „Och! smutny, biedny duchu ludu mego!
Czy na los twój zamknięte oko Pana twego?
Gdzie rozwiała się wielka pyszność Twego tronu?
Czy na wieki powiedły już róże Syonu?
Czy złamały się nawskróś już cedry Libanu?
Czy nie zabrzmi już nigdy na podziękę Panu
Chóralny Twój śpiew?“

Ostatni wiersz pieśni brzmiał jeszcze, gdy z drogi, gaj przerynącej, weszli na łąkę trzej mężczyź-

ni. Mieli oni na sobie odświętne, czarne, długie ubrania, a przepasani byli kolorowemi chustkami, które w dzień sabbatu noszone zwykłym sposobem być nie mogą, ale, opasując odzież, część jej stanowią, i grzechu nie czynią.

Pośrodku siedł ojciec kantora, Jankiel Kamionker; po obu stronach jego postępowali Abram Ezofowicz, ojciec Chaima, i Morejne Kalman, ojciec Aryela.

Pomimo zmroku, przy ostatnich światłach dnia ojcowie poznali synów swych, a synowie ojców. Głosy młodzieńców zadrżały, przycichły i z kolei milkły, aż zamilkło całe grono śpiewaków, i jeden tylko głos nie umilkł, lecz śpiewał dalej:

— „Czy nie wyjdiesz już nigdy z głębokich ciemności,
Czy nie zadrżą w mogiłach ojców twoich kości

Z dumy i rozradowania?“

Był to głos Meira.

Poważni mężowie, przebywający łąkę, stanęli i obróci się twarzami ku skupionéj u gaju gromadce młodzieńców, a w téjże chwili z samotnym głosem męzkim połączył się głos kobiecy, czysty, donośny głos Goldy, która, ujrzawszy rozgniewane postacie mężów, stojących śród łąki, zawtórowała Meirowi tak, jakby chciała połączyć się z nim we wspólnéj odwadze i we wspólném może — niebezpieczeństwie.

I nie zważając na milczenie towarzyszy, ani na

groźne, ciemne postacie, wśród łąki stojące, połączone ze sobą głosy te śpiewały dalej:

— „Niechaj nogi twe spoczną, niech rany się zgoją,
Niechaj blaski świetliste ze źródła mądrości
Ukoją twoje bóle, nędze i ciemności;
Niechaj zabrzmi dla ciebie trąba Zmartwychwstania;
Niechaj z kajdan uwolni smutną duszę twoją —
Anioł poznania!”

Pieśń miała tylko trzy te strofy. Umilkły więc z ostatnim jej wierszem śpiewające ją głosy: mężczyźni i kobiety.

Dostojnicy gminy, stojący dotąd wśród łąki, zwrócili się ku miasteczku i, głośno, gniewnie rozmawiając z sobą, dążyli ku domowi Ezołowiczów.

* *

Abram, syn Saula, różnił się wielce od starszego brata swego Rafała. O ile wysoki, czarnowłosy, piękny jeszcze mimo swych lat pięćdziesięciu kilku Rafał poważnym był, rozważnym i mało mównym, o tyle niski, przygarbiony, z popielatemi od siwizny włosami Abram, zapalczywym wydawał się, wrażliwym i namiętnym. Mowa jego była prędką; giesty posiadały gwałtowność namiętniej natury; wzrok iskrzył się i ponuro najczęściej spuszczał się ku ziemi.

Obaj bracia byli uczeni i uczonością swą zdobyli sobie oddawna wysoko cenioną w gminie godność morejnowską. Ale Rafał studyował przedewszystkiem Talmud i uchodził za jednego z największych znawców jego; Abram zaś przekładał mistyczne zaciekania się w przepaściste tajemnice Zoharu. Rafał posiadał, w daleko wyższym stopniu, niż brat jego, szacunek i zaufanie innowierców, z którymi wiódł interesa liczne; Abram za to cieszył się żywszą sympatją ludności Szybowskięj, większą łaską Rabbina i ściślejszą przyjaźnią z dostojnikami, więc z mędrca-
mi i bogaczami gminy.

Najściślejsza przyjaźń łączyła go z dwoma wysokimi urzędnikami kahału: Morejne Kalmanem i pobożnym Janklem Kamionkierem. Po-za miasteczkiem trzej ci mężowie współnikami byli w wielu handlowych sprawach, takich, jak: kupna, sprzedaże, dzierżawy; w miasteczku, w dniach odpoczynku, schodzili się ze sobą często na wspólne nabożne czytania i rozmyślania, a każdęj Soboty odbywali razem przechadzki zamiejskie, o tyle dalekie, o ile pozwolone jest prawemu Izraelicie oddalać się w dzień ten od ściany mieszkania swego. Nigdy więc nikt nie widział, aby oddalali się oni od mieszkań swych więcej niż o 2000 kroków, i czasem tylko, kiedy głębie ciennistego gaju wabiły zbyt ponętnie czoła ich, spalone skwarem i osypane kurzawą, napełniającą miasteczko, pochylali się ku ziemi i na miejscu tém, na któ-

rękoma stopa ich stanęła po raz dwutysięczny, zakopywali mały okrawek domowego chleba. Tym sposobem miejsce, chroniące w sobie okrawek domowego chleba, przedstawiało już sam dom ich, i wolno im było przedłużyć przechadzkę swą o drugie 2000 kroków. Idąc zresztą, milczeli zazwyczaj, ponieważ ze skrupulatnością nieporównaną liczyli w myśli swęj czynione przez się kroki; ludzie zaś prości, ubodzy na ciele i duchu, widując ich idących tak zwolna, w milczeniu i z zamyślonemi twarzami, dziwowali się wielce mądrości i uwielbiali prawowierność uczonych swych i bogaczy; podnosili się z miejsc swych na widok ich i nie siadali póty, dopóki nie tracili z oczu poważnie sunących ich postaci, albowiem napisane jest: „Kiedy zobaczysz przechodzącego mędrca, powstawaj i nie siadaj dopóty, dopóki nie zniknie z oczu twych!”

Przy powrocie jednak z przechadzek rozwiązywały się języki trzech dostojników. Nie potrzebowali już oni zwracać pilnej uwagi na każde stąpienie nóg własnych: toczyli więc rozmowy poufne i ożywione, w których przecież Kamionkier brał udział największy, a Kalman najmniejszy; pierwszy bowiem najgadatliwszym był, a drugi najbardziej milczącym z pomiędzy wszystkich mędrców, którym przyświecało kiedy słońce. Kalman uśmiechał się zawsze pulchnemi usty i wydawał się wzorem łagodności, jako też doskonałego zadowolenia z całej

go świata i przedewszystkiē z samego siebie; Kamionkier, przeciwnie, nie śmiał się nigdy prawie, miał pozór człowieka wiecznie czēms zgryzionego, a małe oczy jego miewały czasem błyski dzikiēj srogości.

Nigdy przecieŜ mieszkańcy nędznych uliczek, połoŜonych u skraju miasteczka, nie widzieli trzech powaŜnych i powaŜanych mēzów, idących tak śpiesznie i rozmawiających tak gwarnie, jak wieczoru tego, w którym po zielonēj łące i żółtēj równinie rozbrzmiewały echa chóralnēj pieśni młodziēczēj. Sam nawet wspaniały Kalman odzywał się od czasu do czasu; niezmienny uśmiejch swój utracił i jednę rękę z kieszeni wydobył. Co się tycze Jankla Kamionkera, ten tak gwałtownie ruchy wykonywał, idąc, że aż poły długiej odzieŜy jego rozwiewały się na obie strony naksztalt czarnych, łopocących skrzydeł, a Abram Ezofowicz chustkę, którą opasany był, rozwiązał i w rękę nieść ją zaczął. Oznakę tę bezprzytomnego prawie uniesienia spostrzegł Kalman i wnet cichemi słowy przestrzegł przyjaciela przed popełnionym w nieuwadze grzechem. Abram umilkł nagle, bo strasznie przeraził się własnym czynem, i z pośpiechem wielkim biodra swoje na nowo chustką przepasał.

Stało się to już na ganku domostwa Ezofowiczów. W ciemnym wązkim kurytarzu zaszumiały szybkie kroki, i gwałtownie rozwiewające się poły szat. Trzej mēzowie weszli do izby, w któręj stary Saul

siedział na żółtej kanapie, czytając wielką księgę jakąś, przy świetle dwóch świec, palących się w ciężkich, staroświeckich srebrnych lichtarzach.

• Saul, ujrzawszy wchodzących gości, zdziwił się nieco, pora była bowiem spóźniona i do odwiedzin niewłaściwa. Powitał ich przecież przyjaznym skinieniem głowy i wskazał ręką krzesła, przy kanapie stojące. Przybyli dostojnicy nie zajęli miejsc im wskazanych, lecz stanęli wszyscy trzej przed Saullem. Jakkolwiek twarze ich gniew rozognił, postawy ich uroczystymi były. Ułożyli się snadź z sobą o sposób i porządek oskarżenia, pierwszy bowiem Kamionkier głos zabrał:

— Rebe Saul!—rzekł, — przyszedliśmy tu ze skargą na wnuka twego, Meira.

Po twarzy Saula przebiegło przykre, bolesne niemal drgnienie.

— A co on złego znowu zrobił?—zapytał cichym głosem.

Kamionkier, zrazu uroczyście, potem zaś coraz bardziej unosząc się i miotając, mówić zaczął:

— Wnuk twój, Meir, synów naszych psuje! on dusze ich buntuje przeciw nam i świętym Zakonom naszym; czyta im książki wyklęte, w sabbat świeckie pieśni z niemi śpiewa! Ale on nie tylko to robi! On z Karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma, i my widzieliśmy teraz na łące, jak synowie nasi u nóg jego, niby u nóg mistrza jakiego, leżeli, a nad

głową jego Karaimska dziewczyna stała i razem z nim śpiewała obrzydliwe pieśni!

Zdyszany od zapalczywego mówienia, umilkł na chwilę Reb Jankiel, a Morejne Kalman, patrząc na Saula swemi miodowymi i nieco osowiałemi oczyma, wyrzekł z wolna:

— Mój syn Aryel tam był i ja jego za to ukarzę!

Abram, patrząc ponuro w ziemię, wymówił także:

— I mój syn, a twój, ojcze, wnuk, Chaim, tam był, i ja jego za to ukarzę!

A potem wszyscy trzej rzekli razem:

— Ukarz Meira!

Saul pochylił nieco twarz zasmuconą bardzo.

— Panie świata! — szepnął drżącemi usty, — czy ja zasłużyłem na to, abyś światło oczu moich w ciemności zamieniał?

Potem podniósł głowę i wyrzekł stanowczym głosem:

— Ja jego ukarzę!

Abrama oczy tkwiły w twarzy ojca i iskrzyły się.

— Ojcze, — rzekł — myśl ty najwięcej o tej karaimskiej dziewczynie. Ta nieczysta przyjaźń, którą oni z sobą trzymają, wstydem jest wielkim dla całej rodziny naszej. Ty wiesz, ojcze, jaki u nas jest obyczaj. Żaden z prawych Izraelitów znać nie powinien przez całe życie swoje inną kobietę nad tę, którą rodzice jego za żonę mu dadzą...

— Nie powinien! — krzyknął gwałtownie Reb

Jankiel, a twarz Kalmana z różowej stała się ponsonową. Czystość obyczaju ludzi tych była tak wielką, że, mając siwe włosy na głowie, rumienili się ze wstydu przy rozmowie o nieczystej przyjaźni mężczyzny z kobietą. Zdawało się, że nawet pomarszczone czoło Saula oblekło się blado-różową barwą.

— Ja Meira ożenię prędko! — rzekł.

Abram odpowiedział:

— Dopóki on karaïmską dziewczynę widywać będzie, dopóty żenić się nie zechce!

— A co z nią zrobić, żeby on jej nie widywał?

— z rozpaczą prawie zawołał starzec.

Trzej stojący przed nim mężowie spojrzeli wzajem na siebie.

— Z nią trzeba coś zrobić! — wymówili jednocześnie.

Po chwili długiego milczenia, myślenia i wzajemnego na siebie patrzenia, dwaj goście skłonili się przed Saulem i odeszli. Abram pozostał w izbie.

— Ojczy! — rzekł, — a jak ty go ukarać myślisz?

— Ja jemu każę przez cały tydzień w Bet-ha-Midraszu siedzieć i Talmud czytać.

— Co to pomoże? — z niecierpliwym giestem rzucił Abram, — ty, ojczy, każ go lepiej wybić!

Saul trzymał wciąż twarz nisko pochyloną.

— Ja jego bić nie każę! — odpowiedział po chwili milczenia.

I dodał ciszej:

— Dusza Michała przeszła w ciało ojca mego, Hersza, a dusza ojca mego, Hersza, zamieszkała w ciele Meira...

— A zkąd to można wiedzieć? — zapytał Abram, tknięty jednak żywo i widocznie słowami ojca.

— Duszę tę poznała naprzód prababka jego, żona Hersza, a potem poznał ją Rabbi Izaak.

Westchnął ciężko Saul i powtórzył:

— Ja jemu każę przez cały tydzień w Bet-ha-Midraszu siedzieć i Talmud czytać! On przez cały tydzień nie będzie jadł, ani spał pod dachem moim, a *Szames* (posłaniec Synagogi) karę i wstyd jego po całym mieście rozgłosi!...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



DZIEŁA ORZESZKOWEJ

4 za rs. 15 kopiejek 40

pojedynczy kop. 35

na prowincję kop. 8½ od tomu.

a częściowo tomami pojedynczemi.

zbiorowe wydanie dzieł
następujące utwory zna-
utorki:

ś, tom 1.—Z życia realisty, t. 1.

om 1.—Na prowincyi, tom. 2.—

Wacław, tom. 4 — Pan Graba,

otliwi, tom 1.—Wesoła teoria i

yka, tom 1.—Na dnie sumienia,

ta, tom 1.—Eli Makower, tom. 3.

rochwiczów, tom. 2.—Pompaliń-

-Marya, tom 1.—Meir Ezofowicz,

wek Cmentarnik, tom 1.—Zyg-

, tom 1.—Nowelle i obrazki z róż-

m. 5.—Niziny, powieść z ilustra-

ego, tom 1.—Dziurdziowie, t. 1.

om 1.—Stare obrazki, tom 1.—

n 1.—Kilka słów o kobietach,

otyzm i kosmopolityzm, tom 1.

Cham, tom 1.

S. LEWENTALA w Warszawie,

owy-Swiat Nr. 41.

Orzeszkowa

Pompalińscy.

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106335